



Gabrielle Zevin

Gdzie Indziej

Rzadko można spotkać książkę o tak oryginalnej i przykuwającej uwagę fabule, która zdaje się wymykać wszelkim kategoriom.

New York Times

Gabrielle Zevin

Gdzie Indziej

Tłumaczenie Grażyna Smosna



initium

wydawnictwo

Kraków 2010

Dla HCC

Prolog: Koniec

– Koniec nastąpił szybko, nie czuła bólu. – Czasami ojciec szepcze te słowa matce, a czasami matka szepcze je ojcu. Lucy słyszy te szepty ze szczytu schodów, ale ich nie komentuje.

Przez wzgląd na Lizzie Lucy chce wierzyć, że koniec naprawdę nastąpił szybko i bezboleśnie – szybki koniec to przecież dobry koniec. Mimo to nie potrafi pozbyć się wątpliwości: *Skąd u nich ta pewność? Moment zderzenia musiał być bolesny* – myśli Lucy. *A co, jeśli ten moment wcale nie był krótki?*

Lucy wlecze się do pokoju Lizzie i rozgląda się dokoła w przygnębieniu. Życie nastolatki to kolekcja przypadkowych przedmiotów, takich jak turkusowy biustonosz, przerzucony przez monitor komputera, nieposłane łóżko, wypełnione dżdżownicami akwarium, sflaczały balon z ubiegłorocznych walentynek, wisząca na kłamce plakietka z napisem: NIE WCHODZIĆ, dwa niewykorzystane bilety na koncert kapeli Machine, leżące pod łóżkiem. Jakie to wszystko ma znaczenie w obliczu końca? Czyżby w ostatecznym rozrachunku człowiek był wart tyle, co garstka śmieci?

Jedyne, co może zrobić Lucy, gdy ogarnia ją ten depresyjny nastrój, to kopanie – tak długo, aż zapomni o wszystkim i wszystkich. Chciałaby się przekopać przez różowy dywan do pokoju, który jest pod nim piętro niżej. Kopać, dopóki nie wpadnie do powstałej w ten sposób dziury. Kopać, kopać, kopać, kopać...

Lucy właśnie udało się wejść we właściwy rytm oczyszczającego kopania, gdy poczuła, że Alvy – siedmioletni brat Lizzie, podnosi ją z dywanu i kładzie na swoich kolanach.

– Nie martw się – mówi Alvy. – Choć należałaś do Lizzie, ktoś zawsze cię nakarmi, umyje i wyprowadzi na spacer do parku. Od tej pory możesz mieszkać w moim pokoju.

Lucy siedzi sztywno na zbyt wąskich kolanach Alvy’ego i wyobraża sobie, że Lizzie po prostu wyjechała na studia. Miała prawie szesnaście lat i, tak czy inaczej, za dwa lata by do tego doszło. Błyszczące broszury uczelni zaczęły już zalegać na podłodze w jej pokoju. Od czasu do czasu Lucy zdarzało się nasikać na którąś z nich lub odgryźć róg innej, wiedziała jednak, że nic nie powstrzyma Lizzie od wyjazdu. Pewnego dnia miała się wyprowadzić do akademika, w którym nie można trzymać psów.

– Jak myślisz, gdzie ona teraz jest? – pyta Alvy.

Lucy przekrzywia głowę.

– Czyżby była... – robi krótką pauzę – tam, na górze?

O ile Lucy dobrze się orientuje, tam, na górze jest tylko strych.

– Cóż – mówi Alvy, unosząc brodę w wyzywającym geście. – Wierzę, że właśnie tam jest. Wierzę, że są tam anioły, harfy, mnóstwo puchatych obłoczków, białe, jedwabne pizamy i cała ta reszta.

Może i tak – myśli Lucy. Jakoś nie wierzy w krainę wiecznych łowów ani w most z tęczy, prowadzący na drugą stronę. Jej zdaniem każdy mops kręci się po świecie tylko raz. I koniec pieśni. Chciałaby pewnego dnia znowu zobaczyć Lizzie, ale nie pokłada w tym pragnieniu wielkich nadziei. Nawet jeśli jest jakieś „później”, skąd wiadomo, czy będzie tam istniała karma dla psów, drzemki, świeża woda, mięciutkie kolana i czy w ogóle będą tam psy? A najgorszy w tym wszystkim jest fakt, że tamtego świata tu nie ma!

Lucy jęczy, głównie z żalu, ale też (trzeba to w końcu powiedzieć głośno) z głodu. Kiedy rodzina traci jedyną córkę, przerwy między posiłkami mopsa mogą się znacząco wydłużyć. Lucy przeklina swój zdradziecki żołądek: co z niej za zwierzę, skoro myśli o jedzeniu nawet wtedy,

gdy straciła najlepszą przyjaciółkę?

– Szkoda, że nie potrafisz mówić – odzywa się Alvy. – Na pewno myślisz o czymś ciekawym.

– Szkoda, że nie potrafisz słuchać – odszczekuje Lucy, lecz Alvy i tak jej nie rozumie.

Następnego dnia matka Liz zabiera Lucy do parku. Po raz pierwszy od śmierci Lizzie ktoś pomyślał o wyprowadzeniu psa na spacer.

W drodze do parku Lucy wyczuwa woń spowijającego je obie matczyne smutku. Usiłuje skojarzyć, co przypomina jej ten zapach. Deszcz? Pietruszkę? Burbona? Stare książki? Welniane skarpetki? Banany – decyduje w końcu.

Po dotarciu na miejsce Lucy kładzie się na ławce. Jest samotna, w depresji i (czy to się wreszcie skończy?) głodna. Pudel miniaturka imieniem Coco pyta, co się stało, a Lucy odpowiada z westchnieniem. Jako że pudel jest niepoprawnym plotkarzem, wieść roznosi się po całym parku lotem błyskawicy.

Bandyta, jednooki mieszaniec, który w mniej wyrafinowanym towarzystwie zostałby pewnie nazwany kundlem, przekazuje Lucy wyrazy współczucia. Zaraz potem pyta:

– Wyrzucą cię teraz na bruk?

– Nie – odpowiada Lucy. – Będę mieszkać z tą samą rodziną.

– W takim razie nie widzę problemu – mówi Bandyta.

– Ona miała tylko piętnaście lat.

– I co z tego? My dożywamy dziesiątych, góra piętnastych urodzin i nikt nie robi z tego powodu tragedii.

– Tylko że ona nie była psem – szczeka rozżalona Lucy. – Była człowiekiem, moją panią, i została potrącona przez samochód.

– I co z tego? Nas ciągle ktoś potrąca. Uszy do góry, mopsiku. Za dużo się martwisz. Pewnie dlatego masz tyle zmarszczek.

Lucy słyszała ten żart już wiele razy i myśli sobie – może trochę niesprawiedliwie, bo Bandyta nie jest złym psem – że nigdy jeszcze nie spotkała kundla z odpowiednim poczuciem humoru.

– Dobrze ci radzę, znajdź sobie nowego pana. Gdybyś miała w sobie tyle mądrości życiowej, co ja, wiedziałabyś, że wszyscy ludzie ulepieni są z jednej gliny. Zostaję z nimi dopóty, dopóki dbają, bym miał pełną miskę. – Co powiedziawszy, Bandyta porzuca Lucy i biegnie w kierunku leżącego w powietrzu frisbee.

Lucy wzdycha i zaczyna się nad sobą użalać. Ze smutkiem przygląda się pochłoniętym zabawą kolegom.

– Spójrzcie tylko na te psy, jak obwąchują się pod ogonami, uganiają za piłką i biegają w kółko! Wyglądają tak beztrosko! Gdzie się podział naturalny porządek rzeczy? Pies nie powinien żyć dłużej od swojego pana! – wyje żałośnie Lucy. – Nikt, kto sam tego nie przeżył, mnie nie zrozumie. Co więcej, wygląda na to, że wszyscy mają to gdzieś. – Lucy potrząsa małą, okrągłą główką. – To takie dołujące. Nie chce mi się nawet machnąć ogonem. W ostatecznym rozrachunku, kiedy czyjeś życie się kończy, przejmują się tym wyłącznie rodzina, przyjaciele i znajomi tej osoby – skamle mops. – Dla całej reszty to po prostu kolejny koniec.

Część I: Nil

Na morzu

Elizabeth Hall budzi się w dziwnym łóżku, w dziwnym pokoju, z dziwnym wrażeniem, że pościel usiłuje ją udusić.

Liz (dla nauczycieli Elizabeth, dla rodziny Lizzie – chyba że coś przeszkrobała – a dla reszty świata po prostu Liz) siada i uderza głową o coś, co okazuje się piętrowym łóżkiem. Z góry natychmiast dobiega ją rozgniewany, obcy głos:

– O cholera!

Liz zagląda na górną koję, gdzie śpi, a przynajmniej próbuje spać, jakaś nieznajoma dziewczynka. Jest mniej więcej w wieku Liz, ma na sobie białą koszulę nocną, a jej długie ciemne włosy tworzą płataninę ozdobionych barwnymi paciorkami warkoczyków. W oczach Liz dziewczynka wygląda jak królowa.

– Przepraszam – zaczepia ją Liz. – Nie wiesz czasem, gdzie jesteśmy?

Dziewczynka ziewa i przeciera oczy z resztek snu. Obrzuca spojrzeniem Liz, sufit, podłogę, okno i ponownie zatrzymuje wzrok na twarzy dziewczynki. Dotyka palcami swych warkoczyków i wzdycha.

– Na statku – mówi, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Jak to na statku?

– Normalnie. Widzę wodę, całe mnóstwo wody. Wyjrzyj przez okno – odpowiada, po czym z powrotem zanurza się w pościeli. – Oczywiście mogłaś wpaść na ten pomysł, zanim mnie obudziłaś.

– Przepraszam – szepcze Liz.

Wygląda przez okno, które znajduje się na wysokości jej łóżka. Rzeczywiście, jak okiem sięgnąć, widzi bezkresny ocean i szarość wczesnego poranka, przykryte pierzyną mgły. Mrużąc oczy, jest w stanie wypatrzeć nadmorski deptak, na którym dostrzega – sylwetki rodziców i swojego młodszego brata Alvy'ego. Chociaż z każdą sekundą robią się mniejsi i bardziej rozmazani, Liz dostrzega, że ojciec płacze, a matka obejmuje go ramieniem. Mimo dzielącej ich odległości Alvy patrzy prosto na Liz i macha w jej kierunku. Dziesięć sekund później mgła całkowicie pochłania jej rodzinę.

Liz z powrotem kładzie się do łóżka. Chociaż czuje się zadziwiająco przytomna, z kilku powodów jest pewna, że śni. Po pierwsze, w żaden sposób nie mogłaby się znaleźć na statku, skoro właśnie powinna kończyć dziesiątą klasę. Po drugie, jeśli nawet są wakacje, to rodzice i Alvy niestety zapewne byłiby tu z nią. Po trzecie, tylko we śnie można oglądać rzeczy, których nie powinno się widzieć, takie jak własna rodzina stojąca na odległym o setki mil deptaku. Dobrnawszy do czwartej przyczyny, Liz postanawia wygramolić się z koi. *Marnować sen, śpiąc – cóż to byłaby za strata* – myśli.

Starając się nie zbudzić nieznajomej dziewczynki, Liz idzie na paluszkach przez cały pokój, aż dociera do stojącej pod ścianą komody. Jest przykręcona śrubami do podłogi, co ostatecznie utwierdza Liz w przekonaniu, że znajduje się na morzu. Mimo że pokój nie jest brzydki, robi na niej wrażenie opuszczonego i przygnębiającego, jakby gościł wiele osób, z których żadna nie zdecydowała się zostać w nim na dłużej.

Liz otwiera szuflady komody, żeby sprawdzić ich zawartość. Są puste – wewnątrz nie ma nic, nawet egzemplarza Biblii. Chociaż Liz stara się nie hałasować, ostatnia szuflada wymyka jej się z rąk i uderza z hukiem o podłogę, w rezultacie czego nieznajoma dziewczynka ponownie się budzi.

– Niektórzy usiłują tu spać! – wrzeszczy.
– Wybacz mi. Chciałam tylko sprawdzić szuflady. Jeśli jesteś ciekawa, są puste. – Liz przeprosza i siada ponownie na dolnej koi. – A tak w ogóle to masz ładną fryzurę.
Dziewczynka dotyka warkoczyków.
– Dzięki.
– Jak masz na imię? – pyta Liz.
– Thandiwe Washington, ale mówią na mnie Thandi.
– Jestem Liz.
Thandi ziewa przeciągle.
– Masz szesnaście lat?
– Będę miała w sierpniu – odpowiada Liz.
– Ja miałam szesnaste urodziny w styczniu. – Thandi zagląda z góry do koi Liz. – Liz – mówi z lekko południowym akcentem, przez co jedna sylaba przeciąga się w dwie: *Li-iz*. – Mogę ci zadać osobiste pytanie?
– Jasne.
– Chodzi o to... – Thandi przerywa. – Hm, czybyś była skinheadem albo kimś takim?
– Skinheadem? Nie, oczywiście, że nie. – Liz unosi pytająco brew. – Skąd ci to przyszło do głowy?
– No bo... Nie masz włosów. – Thandi wskazuje na głowę Liz, która jest kompletnie łysa, nie licząc delikatnego meszku w kolorze jasnego blondu.
Liz dotyka dłonią głowy, zaskoczona jej dziwaczną gładkością. Jedyne włosy, jakie czuje pod palcami, przypominają puch na świeżo wyklutym kurzym pisklęciu. Wstaje z łóżka i spogląda na swoje odbicie w lustrze. Widzi szczupłą dziewczynkę w wieku około szesnastu lat, z bardzo bladą skórą i oczami koloru błękitu z domieszką zieleni. Dziewczynka rzeczywiście nie ma włosów.
– To dziwne – mówi Liz. Przecież w rzeczywistości ma długie, proste, blond włosy, które łatwo się plączą.
– Nie wiedziałaś o tym? – dziwi się Thandi.
Liz długo zastanawia się nad odpowiedzią. W głębokich zakamarkach pamięci widzi siebie, jak leży na łóżku stojącym na środku oślepijająco jasnego pokoju, a ojciec goli jej głowę. Nie. Liz przypomina sobie, że zrobił to ktoś inny. Miała wrażenie, że to jej ojciec, bo mężczyzna był w podobnym wieku. Wyraźnie pamięta, że płakała, a matka pocieszała ją:
– Nie martw się, Lizzie, włosy odrosną.
Nie, to też nieprawda. Płakała nie Liz, tylko jej matka. Przez chwilę dziewczynka zastanawia się, czy to wydarzenie naprawdę miało miejsce. W końcu postanawia dłużej tego nie rozważać i pyta Thandi:
– Chcesz zobaczyć, jak wygląda reszta statku?
– Czemu nie? Skoro już nie śpię. – Thandi schodzi ze swojej koi.
– Ciekawe, czy znajdę tu gdzieś kapelusze – mówi Liz. Nie jest przekonana, czy chce być dziwaczną, łysą dziewczynką, nawet w tak nieprawdopodobnym śnie. Otwiera szafę i zagląda pod łóżko, ale wszędzie świeci pustką, podobnie jak w komodzie.
– Nie przejmuj się z powodu włosów – mówi łagodnie Thandi.
– Wcale się nie przejmuję, tylko nie chcę wyglądać jak dziwadło – wyjaśnia Liz.
– Hej, ja też mam coś dziwnego. – Thandi unosi włosy do góry, niczym kurtynę w teatrze.
– Ta da! – wykrzykuje, odsłaniając niewielką, lecz głęboką, zaognioną ranę u podstawy czaszki.
Mimo że rana ma zaledwie centymetrową średnicę, Liz domyśla się, że musiała być wynikiem bardzo poważnego urazu.

– Boże, Thandi, mam nadzieję, że to nie boli.

– Na początku bolało jak diabli, ale już przestało. – Thandi opuszcza włosy. – Myślę nawet, że zaczyna się goić.

– Jak to się stało?

– Nie pamiętam – mówi Thandi, pocierając czubek głowy, jakby chciała pobudzić swoją pamięć. – Równie dobrze mogło się to zdarzyć wiele lat temu, jak i wczoraj. Wiesz, co mam na myśli?

Liz tylko kiwa głową. Choć jej zdaniem w słowach Thandi trudno dopatrzeć się sensu, wie, że nie warto spierać się z ludźmi niespełna rozumu spotkanymi we śnie.

– Powinnyśmy już iść – mówi Liz.

Kierując się do drzwi, Thandi rzuca przelotne spojrzenie w stronę lustra.

– Jak myślisz, czy to, że obie jesteśmy ubrane w piżamy, ma jakieś znaczenie? – pyta.

Liz spogląda na białą koszulę nocną Thandi. Sama ma na sobie piżamę w męskim stylu.

– Dlaczego miałyby mieć? – pyta Liz, myśląc, że bycie łysem jest i tak o wiele gorsze niż brak normalnego ubrania. – A zresztą, w co masz być ubrana, skoro śpisz, Thandi?

Liz kładzie dłoń na klamce. Ktoś powiedział jej kiedyś, żeby nigdy, za żadne skarby, nie otwierała we śnie drzwi. Ponieważ nie pamięta teraz, kto jej to mówił i dlaczego wszystkie drzwi mają pozostać zamknięte, postanawia zignorować tę radę.

Curtis Jest

Liz i Thandi stoją w korytarzu, gdzie znajdują się setki drzwi identycznych z tymi, które właśnie za sobą zamknęły.

– Jak teraz znajdziemy nasz pokój? – pyta zaniepokojona Thandi.

– Wątpię, żebym musiała go szukać – odpowiada Liz. – Pewnie wcześniej się obudzę, nie sądzisz?

– W razie czego – mieszkamy pod numerem 130002 – oznajmia Thandi.

Liz wskazuje palcem na wiszącą w końcu korytarza tabliczkę z ręcznie sporządzoną notatką:

UWAGA,

WSZYSCY PASAŻEROWIE STATKU *NIL*!

JADALNIA ZNAJDUJE SIĘ TRZY PIĘTRA WYŻEJ,

NA POKŁADZIE Z OTWARTYM BASENEM.

– Jesteś głodna? – pyta Thandi.

– Jak wilk. – Liz sama jest zaskoczona swoją odpowiedzią. Nigdy wcześniej nie czuła głodu, będąc pogrążoną we śnie.

Najbardziej niezwykłą rzeczą w jadalni statku, kiedy już do niej docierają, jest wiek stołujących się tu gości. Wszyscy są starzy – kilkoro może być w wieku rodziców Liz, ale większość wygląda na dużo starszych. Siwe włosy lub łysina i obwisła skóra upstrzona brązowymi plamkami to tutaj norma. Nigdy wcześniej nie widziała tylu starszych osób zebranych w jednym miejscu, nawet podczas wizyty u babci, która mieszka w Boca. Liz przeczesuje wzrokiem jadalnię.

– Czyżbyśmy trafiły w niewłaściwe miejsce? – pyta.

Thandi wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale wygląda na to, że mamy towarzystwo.

Rzeczywiście, w ich kierunku idą trzy kobiety. Liz kojarzą się one z wiedźmami z *Makbeta*, obowiązkowej lektury dla klas dziesiątych, którą właśnie skończyła czytać.

– Witajcie, gołąbeczki – odzywa się z nowojorskim akcentem mała jak liliput staruszka. – Mam na imię Doris, to jest Myrna, a to Florence. – Wspiąwszy się na palce, Doris wyciąga dłoń, by pogłaskać Liz po porośniętej pierzastym meszkiem głowie. – Dobry Boże, jaka ona jest młodziutka!

Liz posyła jej uprzejmy uśmiech, ale cofa się o krok, chcąc uniknąć dalszego poklepywania.

– Ile masz lat? – Liliputka Doris mruży oczy i przygląda się Liz badawczym wzrokiem. – Dwanaście?

– Piętnaście – poprawia ją Liz. – Z włosami wyglądam bardziej dojrzałe.

Do rozmowy włącza się Florence.

– Co wam się stało, dziewczynki? – pyta zachrypniętym głosem nałogowej palaczki.

– Jak to, co nam się stało? – Liz nie rozumie pytania.

– Dostałam strzał w głowę, proszę pani – oznajmia Thandi bez zastanowienia.

– Mów głośniej – odzywa się Myrna z nastroszoną białą gąsienicą wąsów pod nosem. – Słuch mi szwankuje.

– STRZELONO MI W GŁOWĘ!

Liz odwraca się w stronę Thandi.

– Przecież mówiłaś, że nie pamiętasz, skąd się wzięła ta dziura w twojej głowie.

– *Właśnie* sobie przypomniałam – rzekła przeproszającym tonem Thandi.

– Strzał w głowę! – odzywa się zachrypnięta Florence. – Hm, brzmi dość ekstremalnie.

– O, to nic takiego. Tam, skąd pochodzę, takie rzeczy są na porządku dziennym – wyjaśnia beztrosko Thandi.

– Co?! – wtrąca się wąsata Myrna. – Powiedz mi to do lewego ucha! Na prawe nie słyszę!

– POWIEDZIAŁAM, ŻE TO NIC TAKIEGO! – krzyczy Thandi.

– Może powinnaś iść do centrum zdrowia? – sugeruje Florence. – Znajduje się na pokładzie Portofino. Myrna była tam już dwa razy.

Thandi kręci głową.

– Wydaje mi się, że rana dobrze się goi i bez tego.

Liz nie rozumie ani słowa z tej rozmowy. Z jej żołądka wydobywa się donośne burczenie.

– Przepraszam – mówi.

Liliputka Doris macha ręką w kierunku bufetu.

– Idźcie coś zjeść, dziewczynki. Pamiętajcie, że jeśli chcecie się załapać na najlepsze kąski, warto przyjść wcześniej.

Liz wybiera na śniadanie naleśniki i budyń z tapioki, a Thandi sushi, trufle i pieczoną fasolę. Liz spogląda podejrzliwie na stojące przed dziewczynką potrawy.

– Ciekawa kombinacja – stwierdza.

– W domu nie mamy nawet połowy tego, co tutaj – wyjaśnia Thandi. – Zamierzam spróbować wszystkiego, zanim dopłyniemy na miejsce.

– Thandi... – rzuca lekko Liz. – Jak myślisz, gdzie właściwie jest to „miejsce”?

Thandi zastanawia się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Jesteśmy na statku – mówi wreszcie. – A każdy statek dokądś płynie.

Dziewczynki siedzą nieco na uboczu, przy stoliku w pobliżu okna. Liz w rekordowym tempie zmiata swoje naleśniki z talerza. Czuje się tak, jakby od wielu tygodni nie miała nic w ustach.

Zeskrobując resztki budyniu z dna miseczki, Liz spogląda na Thandi.

– Wiesz, nie znałam dotąd nikogo postrzelonego w głowę.

– Czy możemy porozmawiać o tym, gdy już skończę jeść? – pyta Thandi.

– Przepraszam – mówi Liz. – Chciałam tylko podtrzymać rozmowę.

Liz wygląda przez okno. Mgła się uniosła i tafla wody była krystalicznie przejrzysta. Liz nigdy nie widziała czystszej. *To dziwne* – myśli dziewczyna – *jak bardzo niebo przypomina morze. Morze wygląda jak rozmoczone niebo, a niebo jak wyżęte morze.* Liz zastanawia się, dokąd płynie ten statek, czy zdąży się obudzić, zanim dotrą do celu podróży, i jak jej matka wytłumaczy ten sen. Mama jest psychologiem dziecięcym i zna się na tych sprawach. Rozmyślenia Liz przerywa jakiś głos.

– Mogę się przysiąść? – pyta mężczyzna z brytyjskim akcentem. – Wygląda na to, że jesteście tu jedynymi osobami poniżej osiemdziesiątki.

– Oczywiście. I tak już skończy... – Liz urywa w pół słowa na widok mężczyzny, który ma około trzydziestki i błyszczące, błękitne oczy, pasujące do nastroszonych niebieskich włosów. Liz, podobnie jak większość nastolatków, poznałaby te oczy wszędzie. – Ty jesteś Curtis Jest, prawda?

Niebieskooki mężczyzna posyła jej uśmiech.
– Wygląda na to, że kiedyś nim byłem. – Curtis wyciąga dłoń na powitanie. – A wy kim jesteście?
– Ja mam na imię Liz, a to jest Thandi. Nie mogę uwierzyć, że z tobą rozmawiam.
Machine to moja ulubiona kapela! – piszczy Liz.
Curtis posypuje solą frytki i uśmiecha się.
– Cóż, to nie lada komplement – mówi – bo świat jest naprawdę ogromny. Sam zawsze wołałem Clash.
– To najfajniejszy sen, jaki kiedykolwiek miałam – mówi Liz, zadowolona z tego, że jej podświadomość zadbała o obecność Curtisa Jesta w tym śnie.
Curtis przekrzywia głowę.
– Sen, powiadasz?
Thandi szepcze do niego:
– Ona jeszcze nic nie wie. Sama dopiero co się domyśliłam.
– Interesujące – mówi Curtis i zwraca się do Liz. – Jak myślisz, gdzie się teraz znajdujemy, Lizzie?
Liz odchrząkuje. Tak właśnie nazywają ją rodzice. Nagle z niewiadomego powodu zaczyna za nimi rozpaczliwie tęsknić.
Curtis przygląda się Liz z z troskaniem.
– Wszystko w porządku?
– Tak, tylko... – Liz postanawia zmienić temat na bezpieczniejszy. – Kiedy wychodzi wasza nowa płyta?
Curtis wkłada frytkę do ust. A po chwili następną.
– Nigdy – odpowiada.
– Kapela się rozpadła? – Liz słyszała co prawda plotki o możliwym rozwiązaniu Machine, ale nigdy nie zostały one potwierdzone.
– Można tak powiedzieć – odpowiada wymijająco Curtis.
– Co się stało? – pyta Liz.
– Odszedłem.
– Ale dlaczego?! Graliście super. – Na urodziny Liz dostała bilety na ich koncert w Bostonie. – Nic nie rozumiem.
Curtis podciąga lewy rękaw białej piżamy, odsłaniając wewnętrzną część ramienia; głębokie, podłużne blizny, fioletowe siniaki i pokryte strupami rany biegną od łokcia do nadgarstka. Między bicipsem a przedramieniem Curtisa zieje, szeroka na kilka milimetrów, kompletnie czarna dziura. Liz myśli, że jego ręka wygląda na martwą.
– Bo byłem głupcem, moja droga Lizzie – wyjaśnia Curtis.
– Liz? – zwraca się do koleżanki Thandi.
Liz w milczeniu przygląda się ramieniu Curtisa.
– Liz, wszystko w porządku? – nie ustępuje Thandi.
– Ja... – zaczyna Liz. Widok jest tak odrażający, że znosi go z trudem, nie mogąc jednocześnie oderwać wzroku od ręki Curtisa.
– Na miłość boską! Mógłbyś to w końcu schować?! – krzyczy mu Thandi. – Działasz jej tym na nerwy. Doprawdy, Liz, to wcale nie wygląda gorzej niż dziura w mojej głowie.
– Masz dziurę w głowie? – pyta Curtis. – Mogę zobaczyć?
– Oczywiście. – Zainteresowanie muzyka tak bardzo pochlebia Thandi, że natychmiast zapomina o Liz i zabiera się za demonstrowanie rany.
Perspektywa widoku śladu po kuli i martwego ramienia jednocześnie jest ponad siły Liz.

– Przepraszam – mówi.

Liz wybiega z jadalni na główny pokład statku. Otaczają ją starsi ludzie ubrani w białe piżamy przeróżnego kroju, pogrążeni w grze w krążki. Dziewczyna przechyła się przez poręcz statku i przygląda się falom. Tafla wody jest zbyt daleko, by mogła w niej dostrzec swoje odbicie, lecz kiedy wychyli się dostatecznie mocno, jest w stanie dostrzec swój cień – niewyraźną plamkę czerni w oceanie błękitu.

To tylko sen – myśli. *Lada moment zadzwoni budzik i się obudzę.*

Obudź się, obudź się, obudź się! – rozkazuje sobie w myślach i szczypie się w ramię najmocniej, jak potrafi.

– Au! – krzyczy.

Następnie wymierza sobie siarczysty policzek. Nic się nie dzieje. Uderza się jeszcze raz. Nadal nic. Zaciska z całych sił powieki, po czym szeroko otwiera oczy w nadziei, że znajdzie się z powrotem w swoim łóżku przy Carroll Drive w Medford, w stanie Massachusetts.

Liz wpada w panikę. Do jej oczu napływają łzy, które ociera z wściekłością wierzchem dłoni.

Mam piętnaście lat, jestem dorosłą osobą z tymczasowym prawem jazdy, a za trzy miesiące, kiedy zdam egzamin, dostanę prawdziwe – myśli. *Nie jestem już dzieckiem, któremu śnią się koszmary.*

Zaciska powieki i wrzeszczy: MAMO, MAMO! ŚNI MI SIĘ KOSZMAR! Czeka, aż matka ją obudzi.

Na pewno lada chwila matka ją obudzi.

Lada chwila przy łóżku Liz pojawi się jej matka ze szklanką zimnej wody.

Lada chwila.

Liz otwiera jedno oko. Nadal stoi na głównym pokładzie statku, tylko że teraz gapią się na nią ludzie.

– Młoda damo – odzywa się starszy pan w okularach w rogowej oprawce. Wygląda, jakby był nauczycielem. – Zakłócasz innym spokój.

Liz siada pod barierką i chowa twarz w dłoniach. Bierze głęboki oddech i stara się uspokoić. Decyduje, że najlepsze, co może w tej sytuacji zrobić, to zapamiętać jak najwięcej szczegółów snu i rano opowiedzieć o wszystkim mamie.

Jak właściwie zaczął się ten sen? – zastanawia się Liz. Trudno sobie przypomnieć początek snu, który w dalszym ciągu się śni. Ach tak! Jednak pamięta.

Sen zaczął się w jej domu przy Carroll Drive.

Jechała na rowerze do Cambridgeside Galleria, gdzie miała się spotkać ze swoją przyjaciółką Zooney, która chciała sobie kupić sukienkę na bal. (Liz nie została jeszcze zaproszona.) Pamięta, że podjechała do skrzyżowania przed centrum handlowym. Po przeciwnej stronie ulicy znajdowały się stojaki na rowery. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się, pędząca w jej stronę, taksówka.

Pamięta wrażenie szybowania w powietrzu, które zdawało się nie mieć końca. Pamięta, że czuła się wtedy jednocześnie beztroska, szczęśliwa i pokonana. Pamięta, co wtedy pomyślała: *Jestem ponad grawitacją.*

Liz wdycha. Patrząc na to trzeźwym okiem, prawdopodobnie śni, że umarła. Dziewczyna zastanawia się nad znaczeniem snu, w którym się umiera, i postanawia o to zapytać mamę zaraz po przebudzeniu. Nagle przychodzi jej do głowy, że być może ponowne zaśnięcie rozwiąże problem. Kiedy znów się obudzi, na pewno wszystko będzie jak dawniej. Jest wdzięczna Thandi za to, że kazała jej zapamiętać numer ich kabiny. Przemierzając szybkim krokiem pokład, Liz zauważa kamizelkę ratunkową z nazwą statku *Nil* i uśmiecha się na jej

widok. Tydzień wcześniej na lekcji historii prowadzonej przez panią Early uczyła się o starożytnym Egipcie. Mimo że zajęcia wydawały się Liz dość ciekawe (wojna, zaraza, plagi, morderstwo), uznała całe to budowanie piramid za stratę czasu i energii. Zdaniem Liz piramida nie różniła się w gruncie rzeczy od sosnowej trumny czy metalowej puszkii – zanim faraon mógł nacieszyć się swoim grobowcem, i tak już nie żył. Liz uznała, że Egipcjanie powinni mieszkać w piramidach, a zmarłych grzebać w chatkach (o ile to właśnie w nich mieszkali).

Pod koniec lekcji pani Early przeczytała uczniom wiersz o Egipcie, zaczynający się od słów: *Spotkałem wędrowca z antycznego kraju*. Słyszając ten wers, Liz z jakiejś przyczyny poczuła ciarki na plecach, te przyjemne, i przez cały dzień powtarzała go sobie pod nosem: *Spotkałem wędrowca z antycznego kraju, spotkałem wędrowca z antycznego kraju*. Liz podejrzewa, że właśnie z powodu lekcji z panią Early śni jej się sen na statku o nazwie *Nil*.

Dla uczczenia pamięci Elizabeth Marie Hall

Noc w noc Liz kładzie się spać, lecz ani razu nie budzi się w Med-ford. Czas mija, ale Liz nie czuje jego upływu. Mimo dokładnego przeszukania statku, ani jej, ani Thandi nie udało się znaleźć żadnego kalendarza, telewizora, telefonu, komputera czy nawet radia. Liz ma pewność co do jednego: nie jest już łysa – jej głowę porastają włosy długości kilku milimetrów. *Jak długo rosną włosy?* – zastanawia się. *Jak długo musi trwać sen, zanim stanie się życiem?*

Liz leży w łóżku ze wzrokiem wlepionym w górną koję, gdy nagle jej uszu dobiega szloch Thandi.

– Thandi – odzywa się Liz, wyciągając do góry szyję. – Dobrze się czujesz?

Łkanie przybiera na sile. Wreszcie Thandi jest w stanie wydusić z siebie kilka słów.

– Tę-tę-tęsknię za swoim chłopakiem.

Liz podaje Thandi chusteczkę. Może i na *Nilu* brakuje nowoczesnych, elektronicznych urządzeń, ale za to chusteczek jest tu pod dostatkiem.

– Jak ma na imię?

– Reginald Christopher Doral Monmount Harris Trzeci – odpowiada Thandi. – Ale nazywam go Slim, chociaż wcale nie jest chudy. A ty masz faceta, Liz?

Dziewczyna potrzebuje chwili na zastanowienie. Ze smutkiem stwierdza w końcu, że jej życie uczuciowe praktycznie nie istniało. Kiedy chodziła do drugiej klasy, Raphael Annuncio podarował jej na walentynki pudełko czekoladek w kształcie serduszek, ozdobionych napisami. Gest wydał się Liz obiecujący. Niestety, już następnego dnia Raphael poprosił ją o zwrot bombonierki. Spóźnił się jednak: w międzyczasie Liz zjadła wszystkie czekoladki oprócz tej z napisem: TY I JA = SŁODYCZ x 2.

W ósmej klasie wymyśliła sobie chłopaka, żeby zyskać na atrakcyjności w oczach najpopularniejszych dziewczyn w szkole. Liz twierdziła, że podczas odwiedzin u kuzynki w Andover poznała Steve'a Detroit (tak właśnie go nazwała!). Chociaż Steve Detroit był tylko wytworem wyobraźni dziewczynki, nie przeszkodziło jej to uczynić z niego prawdziwego drania. Zdradzał Liz, nazywał ją grubasem, zmuszał do odrabiania swoich prac domowych, a nawet pożyczył od niej dziesięć dolarów, których nigdy nie zwrócił.

W wakacje poprzedzające dziewiątą klasę Liz poznała na obozie chłopca. Był nim Josh, jeden z opiekunów, który pewnego razu jakby złapał ją za łokieć podczas ogniska. Liz uznała ten gest za niewymownie przyjemny i zdumiewający. Po powrocie do domu napisała do Jo-sha płomienny list, na który jednak nie otrzymała odpowiedzi. Później zaczęła się zastanawiać, czy Josh w ogóle był świadomy, że trzyma jej łokieć. Może wziął go za fragment oparcia krzesła?

Póki co najpoważniejszym związkiem Liz był ten z Edwardem, trenującym biegi przełajowe. Liz i Edward chodzili na te same zajęcia z matematyki. Liz zerwała z nim w styczniu, przed rozpoczęciem wiosennego sezonu. Nie mogła znieść myśli o kolejnej randce. Biegi na przełaj, zdaniem Liz, były prawdopodobnie najnudniejszą dyscypliną sportową na świecie. Zastanawiała się teraz, czy jej śmierć w ogóle Edwarda obesza.

– No więc, Liz – nie ustępuje Thandi – masz chłopaka czy nie?

– Właściwie to nie – przyznaje Liz.

– Szczęściara z ciebie. Slim pewnie wcale za mną nie tęskni.

Liz nie odpowiada. Nie wie, czy powinna się uważać za szczęściarę.

Wstaje z łóżka i przegląda się w wiszącym nad komodą lustrze. Wyjąwszy niecodzienną fryzurę, nie wygląda najgorzej, a mimo to chłopcy z jej klasy nigdy nie wydawali się nią

szczególnie zainteresowani. Liz z westchnieniem patrzy na odrastające włosy. Wygina szyję, usiłując zobaczyć, jak wyglądają z tyłu. Wtedy właśnie nad lewym uchem zauważa szereg szwów ułożonych w kształt litery C. Rana zaczyna się goić, a włosy powoli zarastają szwy, które mimo to wciąż są doskonale widoczne. Liz ostrożnie przesuwa po nich palcami. Szwy wyglądają tak, jakby miały boleć, ale dziewczynka w ogóle ich nie czuje.

– Thandi, widziałaś je wcześniej?

– Tak, masz je na głowie, odkąd się tutaj zjawiłaś.

Liz jest zdumiona faktem, że nie zauważyła ich aż do tej pory.

– To dziwne, nie sądzisz? – pyta. – Ty masz z tyłu głowy dziurę, a ja szwy nad uchem, a mimo to nic nam nie jest. Chodzi mi o to, że nie boją.

– Nie pamiętasz, skąd się tam wzięły?

Liz zastanawia się przez chwilę.

– We śnie... – zaczyna i natychmiast urywa. – Podejrzewam, że uległam pewnemu... pewnemu wypadkowi, kiedy jeździłam na rowerze.

Nagle Liz czuje, że musi usiąść. Robi jej się zimno i nie może złapać tchu.

– Thandi – odzywa się. – Chcę wiedzieć, jak powstała ta dziura w twojej głowie.

– Już ci mówiłam. Zostałam postrzelona.

– Tak, ale co się dokładnie stało? Chcę poznać więcej szczegółów.

– O ile dobrze pamiętam, szłam ze Slimem ulicą, przy której mieszkam. Tak na marginesie, mieszkam w Waszyngtonie. Ta głupia kulka pojawiła się nie wiadomo skąd. Slim wrzasnął, żebym schyliła głowę, a po chwili zaczął krzyczeć: „ONA KRWAWI! DOBRY BOŻE, ONA KRWAWI!”. Zanim się obejrzałam, trafiłam na ten statek, a ty obudziłaś mnie, pytając o to, gdzie jesteś. – Thandi okręca jeden z warkoczyków wokół palca. – Wiesz, Liz, na początku też nie wszystko pamiętałam, ale później zaczęło mi się rozjaśniać w głowie.

Liz przytakuje.

– Jesteś pewna, że to nie sen?

– Znam twoją opinię na ten temat, ale jestem pewna, że nie śpię. Sen to sen, a to miejsce w niczym go nie przypomina.

– Ale to nie może się dziać naprawdę. Ty dostajesz kulkę w głowę, ja ulegam poważnemu wypadkowi, a mimo to obie jesteśmy zdrowe i rozmawiamy o tym, jak gdyby nigdy nic.

Thandi kręci głową, lecz powstrzymuje się od komentarza.

– Poza tym skąd wziął się tutaj Curtis Jest? Czy spotkanie z gwiazdą rocka nie jest jedną z tych rzeczy, które dzieją się wyłącznie w snach? – pyta Liz.

– Ale, Liz, pamiętasz ślady na jego ręce?

– Tak.

– Miałam taką kuzynkę w Baltimore, miała na imię Shelly. Widziałam u niej podobne ślady. Powstają one w wyniku zażywania...

Liz nie pozwala Thandi dokończyć.

– Nie interesuje mnie to. Curtis Jest w niczym nie przypomina twojej kuzynki Shelly z Baltimore. W niczym!

– W porządku, przestań się na mnie wściekać. Sama zaczęłaś ten temat.

– Przepraszam, Thandi – łagodzi Liz. – Po prostu staram się to wszystko zrozumieć.

Thandi głośno i długo wypuszcza z płuc powietrze.

– Dziewczyno, chowasz głowę w piasek.

Zanim Liz ma szansę poprosić Thandi o wyjaśnienie, ktoś przeciska dużą beżową kopertę pod drzwiami ich kajuty. Wdzięczna za odwrócenie uwagi od rozmowy, Liz podnosi z ziemi kopertę zaadresowaną granatowym atramentem:

Pasażerka Elizabeth M. Hall,
wcześniej zamieszkała w Medford, Massachusetts,
w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej,
a obecnie na statku pasażerskim *Nil*, w kabinie 130002,
na dolnej koi

Liz otwiera drzwi. Rozgląda się w obie strony, ale w korytarzu nikogo nie ma.

Wróciwszy na swoją koję, zagląda do koperty. Wewnątrz znajduje prostą, pergaminową karteczkę i dziwną sześciokątną monetę z okrągłą dziurką pośrodku. Moneta przypomina Liz jeden z żetonów do metra, których używała w domu. Z przodu wytłoczono nominał: JEDEN WIECZNY, a z tyłu napis: OFICJALNA WALUTA GDZIE INDZIEJ. Karteczka wygląda jak zaproszenie, choć trudno powiedzieć, na co.

Droga Pasażerko Hall,
prosimy o stawienie się:
Taras Widokowy,
stanowisko nr 219.
Dzisiaj,
TERAZ!

– Kto słyszał o wysyłaniu zaproszenia na wydarzenie, które odbywa się „teraz”?
Człowiek jest z góry skazany na spóźnienie – mówi Liz, pokazując Thandi karteczkę.
– Właściwie, Liz, człowiek jest z góry skazany na to, że stawi się dokładnie o czasie.
„Teraz” jako pojęcie względne i takie tam – mówi Thandi.
– Chcesz iść ze mną? – pyta Liz.
– Chyba będzie lepiej, jeśli pójdziesz sama.
– Jak chcesz. – Liz nadal jest trochę zła na Thandi i w głębi duszy cieszy się, że będzie tam sama.
– Poza tym, ja już mam to za sobą – przyznaje Thandi.
– Poszłaś beze mnie? Kiedy? – pyta Liz z niedowierzaniem.
– Kiedyś – odpowiada wymijająco Thandi. – Nieważne.
Liz kręci głową. Z jej punktu widzenia jest już spóźniona i nie ma w tej chwili czasu na dalsze wypytywanie koleżanki.
W drodze do drzwi Liz odwraca się i spogląda na Thandi.
– Heroina – mówi. – To od niej Curtis ma te ślady na ramieniu?
Thandi kiwa potakująco głową.
– Myślałam, że nie wiesz.
– W prasie zawsze huczało od plotek, że Curtis Jest to ćpun – wyjaśnia Liz – ale trudno wierzyć we wszystko, co się czyta.

Taras Widokowy znajduje się na najwyższym piętrze statku. Chociaż Liz i Thandi dokładnie zwiedziły *Nil*, nigdy nie udało im się tutaj dotrzeć. (*A przynajmniej nie razem* – myśli Liz.) Teraz dziewczyna zachodzi w głowę, dlaczego właściwie nie wspięły się na ostatnie piętro. Liz czuje, że powinna się tam znaleźć jak najszybciej. Ma wrażenie, że na Tarasie Widokowym wydarzy się coś niezwykłego.

Liz pokonuje biegiem liczne piętra dzielące jej kabinę od Tarasu Widokowego. Nagle uświadamia sobie, że powtarza pod nosem wers wiersza, który pani Early czytała im na zajęciach z historii: *Spotkałem wędrowca z antycznego kraju. Spotkałem wędrowca z antycznego kraju. Spotkałem wędrowca z antycznego kraju.* Kiedy wreszcie dociera na samą górę, jest zlna potem i z trudem łapie oddech.

Taras Widokowy składa się z długiego rzędu lornetek, takich, które przypominają ludzika narysowanego z kresek, pozbawionego rąk, lub parkometr. Przed każdą parą lornetek ustawiono metalowy taboret, który sprawiał wrażenie niewygodnego. Patrzący przez lornetki ludzie są dziwnie pobudzeni, choć ich indywidualne reakcje bardzo się od siebie różnią. Niektórzy się śmieją, inni płaczą, a jeszcze inni robią jedno i drugie, na przemian. Część osób po prostu patrzy przed siebie z obojętnym wyrazem twarzy.

Każda lornetka jest oznaczona numerem. Z mieszkanką ciekawości i strachu Liz znajduje stanowisko numer 219 i siada na metalowym taborecie. Wyjmuje z kieszeni dziwną monetę, wrzuca ją do szczeliny, po czym przykładą twarz do lornetki dokładnie w momencie, gdy spada z niej przesłona. Jej oczom ukazuje się coś, co wygląda niemal jak trójwymiarowy film.

Akcja rozgrywa się w kościele. Liz rozpoznaje miejsce, do którego czasami zabierała ją matka, tłumacząc się nieodpartą potrzebą „wzbogacenia życia duchowego Liz”. W tylnych ławkach dziewczynka zauważa kilkoro dzieci ze swojego liceum, ubranych na czarno. W miarę jak kamera przesuwa się do przodu Liz dostrzega innych, starszych ludzi, których kojarzy z dawno zapomnianych wakacyjnych posiłków i przyjęć podglądanych ze szczytu schodów, chociaż powinna już wtedy leżeć w łóżku. Tak, te osoby to jej krewni i znajomi rodziców. Wreszcie kamera zatrzymuje się przy ołtarzu. W pierwszym rzędzie siedzą matka, ojciec i brat Liz. Matka nie ma na twarzy śladu makijażu i mocno ściska rękę ojca. Brat jest ubrany w przyciasny granatowy garnitur.

Na ambonie stoi dr Frederick, dyrektor liceum Liz, z którym nigdy nie zamieniła słowa.

– Piątkowa uczennica – mówi tonem zarezerwowanym dla publicznych wystąpień. – Elizabeth Marie Hall była dumą rodziców i naszej szkoły. – Liz wybucha śmiechem. Chociaż jej stopnie wahały się od przyzwoitych do bardzo dobrych, z całą pewnością nie można jej było nazwać piątkową uczennicą. Dostawała głównie czwórki, z wyjątkiem matematyki i fizyki. – Czego może nas nauczyć śmierć tak młodej i obiecującej osoby? – Dla podkreślenia wagi swoich słów dr Frederick uderza pięścią w pulpit. – Tego, jak istotną sprawą jest bezpieczeństwo na drodze. – W tym momencie ojciec Liz wybucha urywanym, histerycznym szlochem. W całym swoim życiu Liz nie widziała, żeby płakał w ten sposób. – Dla uczczenia pamięci Elizabeth Marie Hall – ciągnie dyrektor – proszę was, byście zawsze oglądali się w obie strony, zanim przejdziecie przez ulicę, zakładali kask, nim wsiądziecie na rower, zapinali pasy, kupowali wyłącznie samochody wyposażone w poduszki powietrzne... – Wyglądało na to, że dr Frederick nie zamierza skończyć. *Ale z niego gaduła* – myśli Liz.

Przesuwa lornetkę w lewo. Obok ambony zauważa białą, prostokątną, lakierowaną trumnę z tandetnymi różowymi kwiatkami wyrzeźbionymi po bokach. W tej chwili Liz nie ma już większych wątpliwości co do tego, kto znajduje się w trumnie. Mimo to wie, że musi się przekonać o tym na własne oczy. Zagląda do wnętrza trumny i widzi martwą dziewczynkę w blond peruce i brązowej, aksamitnej sukience, leżącą na białej satynie. *Zawsze nienawidziłam tej sukienki* – myśli Liz. Odchyła się na swoim niewygodnym metalowym taborecie i wzdycha. To, co do tej pory jedynie podejrzewała, okazało się prawdą: jest martwa. Martwa, a mimo to – przynajmniej na razie – wcale się tak nie czuje.

Liz po raz ostatni spogląda przez lornetkę, upewniając się, że w pogrzebie uczestniczą wszyscy, którzy powinni tam być. Edward, biegacz przełajowy, po męsku wyciera nos w rękaw.

Jest jej nauczycielka angielskiego i WF-u. Liz jest mile zaskoczona widokiem pani od historii powszechnej. Zastanawia się tylko, gdzie podziały się algebra i biologia? (To były jej ulubione przedmioty.) Nie może też znaleźć swojej najlepszej przyjaciółki. Czy to nie z winy Zooey pojechała tamtego feralnego dnia do centrum handlowego? Gdzie, u diabła, podziewa się Zooey? Zniesmaczona Liz odchodzi od swojego stanowiska jeszcze przed zakończeniem seansu. Zobaczyła już wystarczająco dużo.

Jestem martwa – myśli Liz, a następnie wypowiada te słowa na głos, żeby usłyszeć, jak brzmią:

– Jestem martwa. Martwa.

Bycie martwym to dziwne uczucie. Ciało Liz wcale się tak nie czuje, jest dokładnie takie samo jak zawsze.

Idąc wzdłuż długiego szeregu stanowisk obserwacyjnych, Liz zauważa Curtisa Jesta, który, z umiarkowanym zainteresowaniem, zerka przez lornetkę tylko jednym okiem. Drugim natychmiast zauważa Liz.

– Cześć, Lizzie. Jak tam życie po drugiej stronie? – pyta Curtis.

Liz wzrusza ramionami, starając się wyglądać obojętnie. Chociaż nie wie, na czym dokładnie polega „życie po drugiej stronie”, jednego jest pewna: nigdy więcej nie zobaczy swoich rodziców, brata ani przyjaciół. Do pewnego stopnia czuje się tak, jakby wcale nie umarła, jakby to ona była jedynym gościem na zbiorowym pogrzebie wszystkich osób, które kiedykolwiek znała. W końcu Liz decyduje się na odpowiedź, która w najmniejszym stopniu nie odzwierciedla tego, co naprawdę czuje.

– Jest nudne – mówi.

– A pogrzeb? – pyta Curtis.

– Dyrektor szkoły urządził pogadankę dotyczącą bezpieczeństwa na drodze.

– Bezpieczeństwo na drodze, powiadasz? Brzmi bosko. – Curtis przekrzywia głowę, lekko zaskoczony.

– A poza tym nazwał mnie piątkową uczennicą, którą wcale nie jestem.

– Nie oglądasz wiadomości? Wszyscy młodzi ludzie stają się wzorowymi uczniami, gdy kopną w kalendarz. Tak dla zasady.

Liz zastanawia się, czy wiadomość o jej śmierci pojawiła się w lokalnych mediach. Czy kogokolwiek interesuje fakt, że samochód potrafił piętnastoletnią dziewczynę?

– Wielki Jimi Hendrix powiedział kiedyś: „Po śmierci wszyscy cię kochają. Dopiero gdy jesteś martwy, czujesz chęć do życia”, lub coś w tym rodzaju. Jesteś pewnie za młoda, by go znać.

– Wiem, kim był – mówi Liz. – Gitarzystą.

– W takim razie proszę panią o wybaczenie. – Curtis wykonuje gest, jakby uchylał przed dziewczynką kapelusza. – Może chciałabyś rzucić okiem na mój pogrzeb? – pyta.

Liz nie jest pewna, czy ma ochotę oglądać czyjkolwiek pogrzeb, ale nie chce wyjść na nieuprzejmą. Spogląda więc przez lornetkę Curtisa. Jego pochówek jest o wiele bardziej wystawny niż pogrzeb Liz – uczestniczą w nim pozostali członkowie Machine, znani piosenkarze śpiewają swoje najpopularniejsze piosenki do słów napisanych specjalnie na tę okazję, w pierwszym rzędzie szlocha znana modelka reklamująca bieliznę, a nad trumną stoi – niespodziewanie – żonglujący niedźwiedź.

– O co chodzi z tym niedźwiedziem? – pyta Liz.

– Niedźwiedź miał wystąpić w naszym następnym teledysku. Ma na imię Bartolomeusz i zapewniono mnie, że to najbardziej utalentowany niedźwiedź w branży. Jeden z chłopaków z kapeli pomyślał pewnie, że byłbym z tego zadowolony.

Liz odsuwa się od lornetki.

– Jak umarłeś, Curtisie?

– Prawdopodobnie z przedawkowania narkotyków.

– Prawdopodobnie? – dziwi się Liz.

– Tak właśnie powiedzieli w wiadomościach: *Wczesnym niedzielnym rankiem w swojej rezydencji w Los Angeles zmarł Curtis Jest, lider zespołu Machine. Prawdopodobną przyczyną śmierci było przedawkowanie narkotyków. Miał trzydzieści lat.* Jak widzisz, to prawdziwa tragedia – śmieje się Curtis. – A ty, Lizzie? Już sobie przypomniałaś?

– Wypadek rowerowy.

– To tłumaczy motyw przewodni twojego pogrzebu: bezpieczeństwo na drodze.

– Chyba tak. Mama zawsze usiłowała mi wpoić nawyk zakładania kasku – przyznaje Liz.

– Mama zawsze wiedzą najlepiej.

Liz uśmiecha się. W chwilę później z oczu płyną jej łzy. Zdumiona swoją reakcją, szybko ociera je wierzchem dłoni, ale po policzkach natychmiast spływają kolejne.

– Proszę – mówi Curtis, podając Liz rękaw swojej piżamy, by mogła nim osuszyć łzy.

Liz przyjmuje rękaw. Zauważa, że pokryte bliznami ramię Curtisa się goi.

– Dziękuję – mówi. – A tak przy okazji, twoja ręka wygląda dużo lepiej.

Curtis opuszcza rękaw piżamy.

– Moja najmłodsza siostra jest w tym samym wieku, co ty – oznajmia. – Jesteście nawet do siebie podobne.

– My nie żyjemy, wiesz? Oboje jesteśmy martwi. I nigdy już nie zobaczymy nikogo ze swoich bliskich – wyrzuca z siebie Liz.

– Kto wie, Lizzie? Może pewnego dnia zobaczymy.

– Łatwo ci mówić. Sam jesteś sobie winien. – Liz natychmiast żałuje swoich słów.

Curtis milczy przez chwilę, ale w końcu odpowiada:

– Uzależniłem się od narkotyków, ale to nie znaczy, że chciałem umrzeć.

– Przepraszam.

Curtis kiwa głową, nie patrząc już na Liz.

– Naprawdę przepraszam – powtarza. – To, co powiedziałam, było głupie. Pomyślałam tak dlatego, że w większości twoje piosenki są dość... No cóż, mroczne. Mimo to nie powinnam wyciągać pochopnych wniosków.

– Przeprosiny przyjęte. Wyrażanie skruchy w odpowiedni sposób to bardzo przydatna umiejętność. Niewielu ludzi potrafi porządnie przepraszać. – Twarz Curtisa się rozpułga. Liz odwzajemnia jego uśmiech. – A prawda jest taka, że od czasu do czasu rzeczywiście chciałem umrzeć, ale tylko troszeczkę. I nie miewałem takich myśli zbyt często.

Liz zastanawia się, czy Curtis, mimo że nie żyje, wciąż tęskni za narkotykami. W końcu stwierdza jednak, że dopytywanie o to byłoby niegrzeczne.

– Ludziom będzie bardzo smutno z powodu twojego odejścia – mówi.

– Naprawdę?

– Cóż – odpowiada – mnie już jest smutno.

– Ale przecież trafiliśmy w to samo miejsce, więc z twojego punktu widzenia wcale nie oszedłem, prawda?

– Nie, wygląda na to, że nie – śmieje się Liz. Cóż za dziwne uczucie. Jak cokolwiek może ją jeszcze śmieszyć? – Myślisz, że zostaniemy na tym statku na zawsze? Czy to już wszystko, co nas czeka? – pyta.

– Sądzę, że nie, Lizzie.

– Dlaczego?

– Może to tylko wyobraźnia płata mi figle – mówi Curtis – ale mam wrażenie, że widzę brzeg, skarbie.

Liz spogląda przez lornetkę. Rzeczywiście w oddali majaczy coś przypominającego ląd. Ten widok natychmiast dodaje Liz otuchy. Skoro już musiała umrzeć, lepiej być martwym gdzieś, gdziekolwiek, niż nigdzie.

Część II: Księga umarłych

Witamy Gdzie Indziej

– Jesteśmy na miejscu! – Kiedy Liz wchodzi do kajuty, Thandi właśnie wygląda przez górny luk. Zeskakuje ze swojej koi, zarzuca mocne ramiona na szyję Liz i zaczyna się z nią kręcić po całym pokoju, dopóki obie nie mogą złapać tchu.

Liz siada na łóżku i z trudem oddycha.

– Jak możesz być tak szczęśliwa, skoro jesteś... – urywa.

– Martwa? – Thandi posyła jej delikatny uśmiech. – Wreszcie się domyśliłaś.

– Właśnie wróciłam z własnego pogrzebu, ale myślę, że wiedziałam już wcześniej, co się stało.

Thandi kiwa głową z poważną miną.

– Nie można tego przyspieszyć – mówi. – Mój pogrzeb był okropny, dzięki, że pytasz. Zrobili mi taki makijaż, że wyglądałam jak clown. Nie potrafię nawet opisać, jak wyglądała moja fryzura. – Thandi podnosi warkoczyki i zaczyna oglądać w lustrze swoją ranę. – Zdecydowanie się zmniejsza – oznajmia przed opuszczeniem włosów.

– Nie jest ci ani trochę smutno? – dziwi się Liz.

– Nie ma sensu się smucić, przecież i tak nie mogę niczego zmienić. Poza tym, bez urazy, Liz, ale mam już dość siedzenia w tej klitce.

Z umieszczonych na statku głośników rozlega się komunikat: *Mówi kapitan. Mam nadzieję, że podobała wam się podróż. W imieniu załogi statku Nil chciałbym powitać was Gdzie Indziej. Temperatura na lądzie wynosi około dwudziestu stopni Celsjusza, przy częściowo słonecznym niebie i wiejącym z zachodu wietrze. Czas lokalny: 15:48. Wszyscy pasażerowie proszeni są o niezwłoczne opuszczenie statku. To jedyne i ostatni przystanek.*

– Nie zastanawiasz się, jak tam jest? – pyta Liz.

– Przecież właśnie powiedział: ciepło i wietrznie.

– Nie chodzi mi o pogodę, tylko o całą resztę.

– Nie bardzo. Jest jak jest i żadne zastanawianie się tego nie zmieni. – Thandi wyciąga rękę, żeby pomóc Liz wstać. – Idziesz?

Liz kręci głową.

– Statek jest pewnie wypełniony ludźmi. Chyba tu chwilę zaczekam, aż korytarze opustoszeją.

Thandi siada na łóżku obok Liz.

– Nigdzie mi się nie spieszy.

– Nie, nie, możesz iść – mówi Liz. – Chcę być sama.

Thandi zagląda Liz głęboko w oczy.

– Tylko nie zostań tu na zawsze.

– Spokojna głowa, nie zostanę.

Thandi przytakuje. Jest już prawie za drzwiami, gdy Liz woła za nią:

– Jak myślisz, dlaczego umieścili nas w jednej kajucie?

– Nie mam pojęcia – wzrusza ramionami Thandi. – Pewnie byliśmy jedynymi szesnastolatkami, które tego dnia zmarły z powodu urazów głowy.

– Mam piętnaście lat – przypomina jej Liz.

– Pewnie było to najlepsze, co mogli zrobić. – Thandi zamyka Liz w mocnym uścisku. – Miło było cię poznać, Liz. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Liz chce powiedzieć coś, co oddałoby niezwykłość doświadczenia dzielonego przez nią i

Thandi, ale nie potrafi znaleźć właściwych słów.

– Jasne, do zobaczenia – mówi w końcu.

Kiedy tylko Thandi zamyka za sobą drzwi, Liz ma ochotę zawołać ją i poprosić, by została. Thandi jest teraz jej jedyną przyjaciółką, nie licząc Curtisa Jesta. (Liz nie jest jednak pewna, czy może go zaliczać do grona swoich przyjaciół.) Po wyjściu Thandi Liz czuje się, bardziej niż kiedykolwiek, samotna i przybita.

Kładzie się na łóżku. Zewsząd słychać odgłosy krzątania: pasażerowie opuszczają swoje kajuty i kręcą się po korytarzach. Liz chce poczekać, aż wszystko ucichnie. Poza dźwiękiem otwierania i zamykania drzwi słyszy strzępki rozmów.

Jakiś mężczyzna mówi:

– To trochę krępujące, że jedyne, w co możemy się ubrać, to piżama...

Kobieta dodaje:

– Mam nadzieję, że będą tam mieli jakiś porządny hotel...

Ktoś inny pyta:

– Myślisz, że spotkam Hubbiego? Ależ się za nim stęskniłam!

Liz zastanawia się, kim jest Hubbie. Pewnie kimś, kto umarł, tak jak wszyscy pasażerowie *Nilu*, nie wyłączając jej. *Może i bycie martwym nie jest takie złe dla ludzi, którzy są naprawdę starzy* – myśli. Z obserwacji Liz wynika, że większość zmarłych jest naprawdę stara. Tacy ludzie mają duże szanse poznać kogoś w swoim wieku, a poza tym większość ich znajomych, którzy zmarli wcześniej, może już tu być, Gdzie Indziej, czy jakoś tak. Niewykluczone, że kiedy jest się bardzo starym, liczba martwych przyjaciół przewyższa liczbę żywych, więc śmierć jest w zasadzie dobrą rzeczą, a przynajmniej nie złą. Z punktu widzenia Liz dla starszych ludzi śmierć tylko w niewielkim stopniu różni się od spędzenia emerytury na Florydzie.

Tylko że Liz ma piętnaście (prawie szesnaście) lat i nie zna ani jednego zmarłego człowieka, oczywiście poza sobą i pasażerami statku. W oczach Liz bycie martwą idzie w parze ze straszną samotnością.

W drodze na deptak Gdzie Indziej Betty Bloom, kobieta ze skłonnością do rozmawiania ze sobą, zauważa:

– Żałuję, że nie miałam okazji chociaż raz spotkać się z Elizabeth. Wtedy mogłabym powiedzieć: *Pamiętasz, jak się poznałyśmy?* A tak, muszę ją powitać słowami: *Jestem twoją babcią. Nie miałyśmy okazji się poznać z powodu mojej przedwczesnej śmierci na raka piersi.* Prawdę mówiąc, nie powinno się zaczynać rozmowy od tematu raka. W gruncie rzeczy lepiej w ogóle o nim nie wspominać. Wystarczy, jeśli powiem, że umarłam. Przynajmniej to nas łączy.

Betty wzdycha. Jadący za nią kierowca naciska klakson. Zamiast przyspieszyć, Betty uśmiecha się, macha do niego i pozwala się wyprzedzić.

– Tak, jestem całkowicie zadowolona ze swojej prędkości. Jeśli chcesz jechać szybciej, proszę bardzo, nie krępuj się – dodaje. – Naprawdę żałuję, że nie miałam więcej czasu, by przygotować się na przybycie Elizabeth. Dziwnie jest myśleć o sobie jako o czyjejś babci, zwłaszcza że nie czuję się szczególnie babciovato. Nie cierpię pieczenia ciast – a właściwie ogólnie gotowania – nie cierpię serwetek i podomek. I chociaż bardzo lubię dzieci, to obawiam się, że nie najlepiej sobie z nimi radzę. Przez wzgląd na Olivię obiecuję nie być zbyt surowa i krytyczna. Przyrzekam, że nie będę traktować Elizabeth jak dziecka, lecz postaram się widzieć w niej równorzędną osobę. Obiecuję ją wspierać i nie zadawać zbyt wielu pytań. W zamian za to mam nadzieję, że będzie do mnie choć odrobinę podobna, mimo tego, co mogła usłyszeć od Olivii.

Betty milknie na moment i zastanawia się, jak radzi sobie Olivia, jej jedyne dziecko. Kiedy dociera na molo, sprawdza swoje odbicie w bocznym lusterku i czuje się zaskoczona tym, co widzi.

– Nie wyglądam ani staro, ani młodo. To doprawdy zastanawiające.

Mija godzina, potem następna. Odgłosy dobiegające z korytarza stają się coraz cichsze, wreszcie gasną. Liz zaczyna obmyślać plan. Może po prostu zostanie pasażerką na gapę? Wcześniej czy później statek musi udać się w rejs powrotny, prawda? Jeśli Liz zostanie na pokładzie, może będzie mogła wrócić do swojego dawnego życia? *Może to naprawdę jest takie proste* – myśli. Słyszała przecież opowieści o ludziach, którzy doświadczyli śmierci klinicznej, prawie przeszli na drugą stronę, a jednak stamtąd wrócili. Niewykluczone, że ci ludzie wcale nie mieli szczęścia, mieli za to dość oleju w głowie, by zostać na statku.

Liz wyobraża sobie swój powrót do domu. Wszyscy mówiliby: „To cud!”. Jej historia trafiłaby na pierwsze strony gazet: POWRÓT DZIEWCZYNKI Z ZAŚWIATÓW, JEJ ZDANIEM ŚMIERĆ TO REJS STATKIEM, A NIE TUNEL WYPEŁNIONY JASNYM ŚWIATŁEM. Podpisałaby umowę z jakimś wydawnictwem (*Martwa dziewczynka* autorstwa Liz Hall) i studiem filmowym (*Wola życia: prawdziwa historia Elizabeth M. Hall*), zostałaby zaproszona przez Ophrę w celu wypromowania i książki, i filmu.

Liz spostrzega, jak klamka w drzwiach zaczyna się poruszać, a drzwi powoli się uchylają. Bez chwili namysłu chowa się pod łóżko. Z tej pozycji obserwuje chłopca, mniej więcej w wieku jej brata, ubranego w biały kostium kapitana ze złotymi epoletami i czapkę od kompletu. Chłopak siada na dolnej koi, nie zwracając uwagi na Liz.

Tkwi tak bez ruchu, jeśli nie liczyć machania nogami. Liz zauważa, że jego stopy ledwie dosięgają podłogi. Ma stąd doskonały widok na podeszwy chłopca. Ktoś napisał czarnym markerem literę L na lewym i P na prawym bucie.

Po kilku minutach chłopiec się odzywa:

– Czekałem, aż sama się przedstawisz. – Jego głos jest zaskakująco męski. – Nie mogę jednak zmarnować na to całego dnia.

Liz nie odpowiada.

– Jestem kapitanem – ciągnie chłopiec – a ciebie już dawno nie powinno tu być.

Liz nadal milczy. Wstrzymuje oddech i stara się nie zdradzić swej obecności ani jednym dźwiękiem.

– Tak, dziewczynko pod łóżkiem, kapitan zwraca się właśnie do ciebie.

– Kapitan czego? – szepcze Liz.

– Kapitan statku pasażerskiego *Nil*, rzecz jasna.

– Wyglądasz trochę młodo jak na kapitana.

– Mogę cię zapewnić, że moje doświadczenie i kwalifikacje są wzorowe. Jestem kapitanem od blisko stu lat.

Co za pajac – myśli Liz.

– Ile masz lat?

– Siedem – odpowiada z godnością kapitan.

– Czy siedem lat to nie za mało, żeby być kapitanem?

Chłopiec kiwa głową.

– Rzeczywiście – przyznaje. – Codziennie po południu muszę robić sobie drzemkę. W przysłym roku prawdopodobnie przejdę na emeryturę.

– Chciałabym popłynąć w rejs powrotny – oświadcza Liz.

– Te statki płyną tylko w jedną stronę.

Liz wychyla się spod łóżka.

– To bez sensu. Muszą kiedyś wracać.

– Nie ja ustalam zasady – mówi kapitan.

– Jakie zasady? Przecież nie żyję.

– Jeśli myślisz, że śmierć upoważnia cię do robienia tego, co ci się żywnie podoba, jesteś w błędzie – wyjaśnia kapitan. – Śmiertelnym błędzie – dodaje po chwili. Wybuchają śmiechem ze swojego kiepskiego żartu, lecz szybko poważnieje. – Zapomnijmy na moment, że powrót jest niemożliwy. Wyobraź sobie, że udaje ci się wrócić statkiem na Ziemię. Jak myślisz, co by się wtedy stało?

Liz gramoli się spod łóżka.

– Myślę, że wróciłabym do swojego dawnego życia.

Kapitan kręci głową.

– Nie. Nie miałabyś ciała, żeby do niego wrócić. Byłabyś duchem.

– Cóż, może to nie byłoby takie złe.

– Uwierz mi, znam ludzi, którzy próbowali, ale takie życie jest warte funta kłaków.

Wcześniej czy później tracisz rozum, podobnie jak wszyscy, których kochasz. Posłuchaj dobrej rady i opuść statek.

Oczy Liz ponownie napełniają się łzami. *Po śmierci człowiek staje się zdecydowanie bardziej wrażliwy* – myśli Liz, znów ocierając łzy wierzchem dłoni.

Kapitan wyciąga z kieszeni chusteczkę i podaje ją dziewczynce. Chusteczka jest uszyta z miękkiej jak jedwab, cienkiej bawełny, przypominającej raczej papier niż tkaninę. Wyhaftowano na niej napis: „Kapitan”. Liz wydmuchuje nos. Jej ojciec nosi przy sobie podobną chusteczkę. Wspomnienie tego sprawia, że Liz musi ją użyć ponownie.

– Nie płacz. Tutaj wcale nie jest źle – mówi kapitan.

Liz kręci głową.

– To ten kurz spod łóżka... Podrażnił mi oczy. – Zwraca kapitanowi chusteczkę.

– Zatrzymaj ją – proponuje kapitan. – Pewnie będzie ci jeszcze potrzebna.

Choć chłopiec ledwie sięga wzrostem do biustu Liz, jego sylwetka i postawa są dystygowane, jak przystało na kogoś, kto całe życie spędził w wojsku.

– Ufam, że za pięć minut nie będzie cię na statku – mówi. – Nie chcesz tutaj zostać. – Powiedziawszy to, kapitan wychodzi z kajuty i cicho zamyka za sobą drzwi.

Liz bierze pod rozwagę to, co usłyszała od dziwnego chłopca. Chociaż pragnie wrócić do rodziny i przyjaciół, nie spieszy jej się do bycia duchem, a już na pewno nie chce przysparzać więcej bólu tym, których kocha. Wie, że może zrobić tylko jedno.

Liz po raz ostatni spogląda przez luk. Słońce prawie zaszło, a ona nie przestaje się zastanawiać, czy patrzy na to samo słońce, na które jeszcze niedawno patrzyła z okna domu.

Na deptaku została już tylko Betty Bloom. Mimo że Liz widzi ją po raz pierwszy, coś w tej kobiecie przypomina jej matkę. Betty macha do Liz i zaczyna iść w jej stronę zdecydowanym, równym krokiem.

– Witaj, Elizabeth! Tak długo czekałam, by cię poznać. – Kobieta zamyka Liz w niedźwiedzim uścisku, z którego dziewczyna usiłuje się wyrwać. – Cała Olivia!

– Skąd pani zna moją matkę? – Liz domaga się wyjaśnień.

– Jestem jej matką, twoją babcią Betty, której nigdy nie poznałaś. Umarłam jeszcze przed twoimi narodzinami. – Babcia Betty ponownie przytula Liz. – Zostałaś nazwana na moją cześć. Moje pełne imię brzmi Elizabeth, ale zawsze mówiono na mnie Betty.

– Ale jak to możliwe? Jak możesz być moją babcią, skoro wyglądasz, jakbyś była w

wieku mojej mamy? – pyta Liz.

– Witaj Gdzie Indziej – śmieje się babcia Betty, wskazując na wielką tablicę, wiszącą nad molo, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić.

– Nadal nie rozumiem.

– Tutaj nikt się nie starzeje. Stajemy się młodszy. Nie martw się, poznasz wszystkie reguły podczas spotkania adaptacyjnego.

– Ja też będę coraz młodszy? Przecież ledwie udało mi się dociągnąć do piętnastych urodzin!

– Nie martw się, skarbie, wszystko się w końcu ułoży. Zobaczysz, że ci się tu spodoba. Liz nie jest tego taka pewna.

Długa droga do domu

Siedząc w czerwonym kabriolecie babci Betty, Liz gapi się przez okno i zrzuca ciężar prowadzenia rozmowy na kobietę.

– Interesujesz się architekturą? – pyta Betty.

Liz wzrusza ramionami. Szczerze mówiąc, nigdy nie zastanawiała się zbyt nad tym tematem.

– Patrząc przez moje okno, zobaczysz bibliotekę zbudowaną przez Franka Lloyda Wrighta. Ludzie, którzy się na tym znają, twierdzą, że jest o wiele piękniejsza niż budynki zaprojektowane przez niego na Ziemi. A zresztą, nie chodzi tylko o architekturę, Elizabeth. Znajdziesz tutaj wiele nowych dzieł swoich ulubionych artystów: książki, obrazy, muzykę, zależnie od tego, co cię interesuje! Sama byłam niedawno na wystawie nowych obrazów Picassa, dasz wiarę? – Entuzjazm babci Betty wydaje się Liz wymuszony, jakby usiłowała przekonać oporne dziecko do zjedzenia brokułów.

– Na statku spotkałam Curtisa Jesta – mówi cicho Liz.

– A kto to?

– Wokalista Machine.

– Chyba o nich nie słyszałam, ale umarłam ładny czas temu, więc nic dziwnego. Może nagra tu kolejną płytę?

Liz ponownie wzrusza ramionami.

– Oczywiście niektórzy artyści nie kontynuują swojej kariery – ciągnie babcia Betty. – Domyślałam się, że po życiu spędzonym na obcowaniu ze sztuką można mieć jej dość. Artyści nigdy nie sprawiają wrażenia szczególnie szczęśliwych, czyż nie? Słyszałaś o Marilyn Monroe? Teraz jest psychiatrą, czy raczej była, dopóki nie stała się zbyt młoda, by prowadzić praktykę. Phyllis, moja sąsiadka, kiedyś do niej chodziła. O, Elizabeth, a tam, przed nami? Widzisz ten śmieszny wysoki budynek? To Rejestracja, w której odbędzie się twoje jutrzejsze spotkanie adaptacyjne.

Liz wygląda przez okno. *A więc to jest Gdzie Indziej* – myśli. Liz widzi miejsce, które prawie niczym nie różni się od Ziemi. Jej zdaniem to okrutne, że jest tu tak zwyczajnie i wszystko przypomina ludziom prawdziwe życie. Są tu budynki, domy, sklepy, drogi, samochody, mosty, ludzie, drzewa, kwiaty, trawa, jeziora, rzeki, plaże, powietrze, gwiazdy i niebo. *Nie ma tu nic wyjątkowego* – Liz jest zawiedziona. Gdzie Indziej mogłoby się znajdować wszędzie: w sąsiednim miasteczku, godzinę drogi samochodem lub kilka samolotem. W pewnej chwili Liz zauważa, że wszystkie ulice są zakrzywione i nawet kiedy wydaje się, że jadą prosto, tak naprawdę przemieszczają się po okręgu.

Wreszcie babcia Betty spostrzega, że Liz nie podtrzymuje rozmowy.

– Czyżbym za dużo mówiła? Wiem, że mam tendencję do...

Liz wpada jej w słowo:

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że będę się stawała coraz młodsza?

Babcia Betty spogląda na wnuczkę.

– Jesteś pewna, że chcesz się tego dowiedzieć już teraz?

Liz kiwa potakująco głową.

– Wszyscy tutaj młodnieją od dnia, w którym umarli. Kiedy się tu pojawiłam, miałam pięćdziesiąt lat. Jestem Gdzie Indziej niewiele ponad szesnaście lat, więc teraz mam ich trzydzieści cztery. Dla większości starszych osób to dobra wiadomość, Lizzie. Domyślałam się, że

trochę gorsza dla kogoś w twoim wieku.

Liz potrzebuje chwili, by przyswoić słowa babci Betty. *Nigdy nie będę miała szesnastych urodzin* – myśli.

– Co się stanie, kiedy dotrę do zera? – pyta Liz.

– Cóż, znowu będziesz niemowlęciem, a kiedy osiągniesz wiek siedmiu dni, razem z innymi dziećmi popłyniesz Rzeką z powrotem na Ziemię, gdzie urodzisz się na nowo. To właśnie jest Uwolnienie.

– A więc będę tutaj tylko piętnaście lat, po których wrócę na Ziemię i zacznę wszystko od początku?

– Będziesz tutaj prawie szesnaście lat – poprawia ją babcia Betty – ale poza tym wszystko się zgadza.

Liz nie może uwierzyć w niesprawiedliwość takiego rozwiązania. Nie dość, że zmarła, zanim zdążyła zrobić cokolwiek fajnego, to jeszcze będzie musiała powtórzyć całe swoje życie w odwrotnej kolejności, dopóki znowu nie stanie się głupim, wrzeszczącym niemowlakiem.

– Czy to znaczy, że nigdy nie będę dorosła? – pyta Liz.

– Na twoim miejscu nie patrzyłabym na to w ten sposób, Liz. Twój umysł wciąż będzie gromadził doświadczenia i wspomnienia, nawet wtedy, gdy twoje ciało...

Liz wybucha.

– NIGDY NIE PÓJDE NA STUDIA, NIE WYJDE ZA MĄŻ, NIE BĘDĘ MIAŁA WIĘKSZYCH PIERSI, NIE ZAMIESZKAM SAMA, NIE ZAKOCHAM SIĘ, NIE DOSTANĘ PRAWA JAZDY ANI NIC?! TO SIĘ NIE MIEŚCI W GŁOWIE!

Babcia Betty zjeżdża na pobocze.

– Przekonasz się – mówi, klepiąc Liz po ręce – że tu wcale nie jest źle.

– Wcale nie jest źle? Czy w ogóle mogłoby być gorzej? Mam piętnaście lat i jestem martwa. Martwa! – Obie milczą przez około minutę.

Nagle babcia Betty klaszcze w dłonie.

– Właśnie wpadłam na fantastyczny pomysł, Elizabeth. Masz tymczasowe prawo jazdy, prawda?

Liz potakuje.

– W takim razie, może zawieziesz nas do domu?

Liz ponownie kiwa głową. Oczywiście martwi ją sytuacja, w której się znalazła, ale za żadne skarby nie chce przegapić okazji poprowadzenia samochodu. Pewnie i tak nie będzie mogła sobie wyrobić prawa jazdy w tym głupim miejscu i nie wiadomo, ile minie czasu, zanim odbiorą jej to tymczasowe. Liz otwiera drzwi od strony pasażera i wysiada, podczas gdy babcia Betty wślizguje się na jej miejsce.

– Potrafisz obsługiwać skrzynię biegów? Obawiam się, że mój samochód to niezły antyk – mówi babcia Betty.

– Potrafię wszystko oprócz parkowania równoległego i zawracania na wstecznym biegu – odpowiada spokojnie Liz. – Mielśmy się tego nauczyć na następnych zajęciach, ale, niestety, wykitowałam.

Droga do domu babci Betty jest dość prosta i, jeśli nie liczyć kilku wskazówek dotyczących trasy, upływa w ciszy. Mimo że Betty ma wiele do powiedzenia swojej wnuczce, stara się jej nie rozpraszać. Liz i tak nie jest w nastroju do rozmowy, więc pozwala swoim myślom błądzić. Oczywiście nie zawsze wydaje się to rozsądne dla kogoś, kto niedawno zmarł, szczególnie jeśli ta osoba jest jednocześnie początkującym kierowcą.

Liz zastanawia się, dlaczego tak dużo czasu zajęło jej domyślenie się, że nie żyje. Inni ludzie, jak Curtis czy Thandi, zorientowali się niemal natychmiast. Dziewczyna czuje się jak

prawdziwy tuman. W szkole zawsze chełpiła się tym, że szybko przyswaja nowe wiadomości, miała opinię bystrzaka. Wygląda na to, że jednak nie jest tak rezolutna, jak jej się wydawało.

– Elizabeth, kochanie – odzywa się babcia Betty. – Może byś trochę zwolniła?

– Dobra – mówi Liz, zerkając na licznik. Pokazuje sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że tak pędzi. Liz lekko zwalnia stopę z pedału gazu.

Jak to możliwe, że nie żyję? – zastanawia się. *Czy nie jestem na to za młoda?* W takim wieku umierają zwykle dzieci chore na raka lub jakąś inną, równie okropną i abstrakcyjną chorobę. Śmiertelnie chore dzieci dostają darmowe wycieczki i spotykają się z gwiazdami muzyki pop. Liz zastanawia się, czy rejs statkiem i spotkanie z Curtisem Jestem można zaliczyć do takich atrakcji.

W roku, w którym dziewczynka rozpoczęła naukę w szkole średniej, dwóch maturzystów upiło się i zginęło w wypadku samochodowym, tuż przed balem. Poświęcono im dwie pełne, kolorowe strony w szkolnej księdze pamiątkowej. Liz zastanawia się, czy ją również uczczą w ten sposób. Wątpliwe, o ile jej rodzice za to nie zapłacą. Tamci chłopcy należeli do drużyny futbolowej, która zdobyła wtedy mistrzostwo stanu Massachusetts. Liz nie grała w futbol, uczyła się dopiero w dziesiątej klasie i umarła sama. (Ludzie zawsze uważają śmierć grupową za bardziej tragiczną.) Mocniej naciska pedał gazu.

– Elizabeth – upomina ją babcia Betty. – Dom jest przy następnym zjeździe. Myślę, że powinnaś zwolnić i skierować samochód na prawy pas.

Nie patrząc we wsteczne lusterko, Liz zmienia pas. Prawie wjeżdża pod koła czarnego sportowego samochodu i musi przyspieszyć, żeby nie zmiażdżył im tylnych zderzaków.

– Elizabeth, widziałaś tamten samochód? – pyta babcia Betty.

– Panuję nad sytuacją – cedzi przez zaciśnięte zęby Liz. *A nawet jeśli jestem marnym kierowcą, to co?* – myśli w duchu. *Czy to ma jakieś znaczenie? Przecież drugi raz się nie zabije. Nie mogę być jeszcze bardziej martwa, niż jestem, prawda?*

– To właśnie nasz zjazd. Jesteś pewna, że sobie poradzisz?

– Wszystko w porządku – mówi Liz. Zbliżając się do zjazdu, bez zwalniania wykonuje samochodem nieokreślony manewr.

– Myślę, że powinnaś zwolnić. Zjazd może się okazać nieco zwodniczy...

– Wszystko w porządku! – wrzeszczy Liz.

– UWAŻAJ!

W tym samym momencie Liz uderza samochodem w mur oporowy przy zjeździe z autostrady. Samochód jest stary i solidny, a w starciu z betonem wydaje z siebie imponujący dźwięk.

– Jesteś ranna? – pyta babcia Betty, kiedy wszystko cichnie.

Liz nie odpowiada. Na widok maski grata z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Samochód pozostał prawie nienaruszony. Powstała na nim zaledwie pojedyncza rysa. *Istny cud* – myśli gorzko Liz. Gdyby tylko ludzie byli równie wytrzymali.

– Elizabeth, nic ci nie jest? – dopytuje babcia Betty.

– Nie – odpowiada Liz. – Jestem martwa, nie dotarło to jeszcze do ciebie?

– Chodziło mi o to, czy nie jesteś ranna.

Liz dotyka pozostałości szwów za uchem. Zastanawia się, kogo powinna poprosić o ich usunięcie. Miała już kiedyś zakładane szwy (w wieku dziewięciu lat po wypadku na rolkach, w którym odniosła swój do niedawna najpoważniejszy uraz) i wie, że rany nie mogą się w pełni zagoić, dopóki nie zdejmie się szwów. Nagle Liz ogarnia chęć pozostawienia ich na swoim miejscu. W niewytłumaczalny sposób ten kawałek nitki wydaje jej się czymś krzepiącym. Jest ostatnią pamiątką z Ziemi i jedynym dowodem na to, że w ogóle tam kiedyś była.

- Jesteś ranna? – babcia Betty powtarza pytanie, przyglądając się troskliwie Liz.
- A jakie to ma znaczenie?
- Cóż – mówi babcia Betty. – Gdybyś była ranna, zawiozłabym cię do centrum zdrowia.
- Czy ludzie przebywający tutaj mogą sobie zrobić krzywdę?
- Tak, chociaż z biegiem czasu wszystko się goi.
- A więc tak naprawdę nic, co się tutaj dzieje, nie ma znaczenia? Nic się nie liczy.

Wszystko wcześniej czy później zostaje wymazane. Wszyscy robimy się coraz młodszy i głębsi, koniec kropka. – Liz napływają do oczu łzy, ale nie chce płakać w obecności Betty, której nawet nie zna.

– Przypuszczam, że można tak powiedzieć, ale moim zdaniem byłby to bardzo nudny i ograniczony punkt widzenia. Mam nadzieję, że nie zdążyłaś sobie wyrobić tak kiepskiej opinii na temat tego miejsca, skoro nie spędziłaś w nim nawet jednego dnia. – Babcia Betty chwyta Liz za podbródek i przekręca jej głowę w taki sposób, by mogła spojrzeć wnuczce prosto w oczy. – Czy przed chwilą próbowałaś nas zabić?

– A mogło mi się to udać?

Babcia Betty kręci przecząco głową.

– Nie, skarbie, ale na pewno nie jesteś pierwszą osobą, która próbowała to zrobić.

– Nie chcę tu mieszkać! – krzyczy Liz. – Nie chcę tu być! – Znowu zbiera jej się na płacz, chociaż wcale tego nie chce.

– Wiem, kochanie, wiem – odpowiada babcia Betty, po czym przytula Liz i zaczyna ją głaskać po włosach.

– Mama głaszcze mnie w taki sam sposób – mówi Liz, odsuwając się odruchowo. Wie, że babcia Betty chciała ją podnieść na duchu, ale zamiast tego napędziła jej stracha. Liz czuje się tak, jakby matka dotykała ją zza grobu.

Babcia Betty z westchnieniem otwiera drzwi od strony pasażera.

– Przez resztę drogi poprowadzę sama – mówi. Jej ton jest wymuszony i słychać w nim znużenie.

– Dobra – odpowiada twardo Liz, a po chwili dodaje nieco łagodniej. – Tak dla twojej wiadomości, zwykle prowadzę dużo lepiej i nie jestem taka, hm, uczuciowa.

– Doskonale to rozumiem – mówi babcia Betty. – Domyślałam się tego.

Wślizgując się z powrotem na siedzenie pasażera, Liz wie, że upłynie pewnie dużo czasu, zanim babcia znowu pozwoli jej usiąść za kierownicą. Dziewczynka nie zna jednak Betty i grubo się myli. W tej samej chwili babcia Betty odwraca się do niej i mówi:

– Jeśli chcesz, nauczę cię równoległego parkowania i zawracania na wstecznym biegu. Nie jestem pewna, ale zdaje się, że jednak będziesz mogła sobie wyrobić prawo jazdy.

– Tutaj? – pyta z niedowierzaniem Liz.

– Tutaj, Gdzie Indziej. – Babcia Betty klepie Liz po rękę, a następnie uruchamia samochód. – Daj mi znać, gdy się zdecydujesz.

Liz jest wdzięczna babci Betty za propozycję, ale nie na tym jej zależy. Nie chodzi o parkowanie równoległe i zawracanie na wstecznym. Liz chce skończyć kurs i zdobyć prawo jazdy stanu Massachusetts. Chce w weekendy jeździć z przyjaciółmi bez celu i odkrywać nowe, tajemnicze drogi w Nashua i Watertown. Chce mieć możliwość jeżdżenia tam, gdzie zapragnie, bez babci lub kogokolwiek innego. Wie jednak, że to się nigdy nie wydarzy, bo trafiła tu, Gdzie Indziej. Jaki pożytek przyniesie jej prawo jazdy, skoro będzie z niego mogła korzystać tylko tutaj?

Przebudzenie

Pędząca taksówka pojawia się nie wiadomo skąd. Liz szybuje w powietrzu. *Umrę jak nic* – myśli.

Budzi się w sali szpitalnej, z mętным wzrokiem i głową owiniętą bandażami. Przy łóżku czuwają jej rodzice. Oboje mają podkrążone oczy.

– Och, Lizzie – mówi matka – myśleliśmy, że już cię nie odzyskamy.

Dwa tygodnie później lekarz zdejmuje Liz bandaże. Nie licząc łuku ze szwów w kształcie litery C nad lewym uchem, jest zdrowa jak ryba. Lekarz mówi, że nigdy wcześniej nie widział pacjenta, który wyzdrowiałby równie szybko.

Liz wraca do szkoły. Wszyscy chcą posłuchać opowieści o jej bliskim spotkaniu ze śmiercią.

– Trudno mi o tym opowiadać – mówi Liz.

Ludziom wydaje się, że od chwili wypadku Liz stała się bardziej *refleksyjna*, lecz ona po prostu niewiele pamięta.

W dniu swoich szesnastych urodzin Liz wzorowo zdaje egzamin na prawo jazdy. Rodzice kupują jej nowiutki samochód. (Od czasu wypadku niechętnie pozwalają jej jeździć na rowerze.) Liz składa dokumenty do college'u. W liście motywacyjnym opisuje moment, w którym została potrącona przez taksówkę, i sposób, w jaki ta chwila odmieniła jej życie. Jeszcze przed terminem zostaje przyjęta na wymarzoną uczelnię, Instytut Technologii w Massachusetts. Liz zdobywa tam licencjat z biologii, a później idzie do szkoły weterynaryjnej na Florydzie. Pewnego dnia spotyka chłopca, z którym mogłaby spędzić resztę życia, a nawet...

– Wstawaj, Elizabeth! – O siódmej rano następnego dnia babcia Betty przerywa sen Liz.

Wnuczka chowa głowę pod kołdrę.

– Idź sobie – mruczy pod nosem, zbyt cicho, żeby babcia mogła ją usłyszeć.

Babcia Betty odsuwa zasłony.

– Zapowiada się piękny dzień – oznajmia.

Liz ziewa, nie wystawiając głowy spod kołdry.

– Jestem martwa. Po co w ogóle mam wstawać?

– To bardzo pesymistyczny punkt widzenia. Gdzie Indziej można robić mnóstwo rzeczy – mówi babcia Betty, odsuwając kolejną zasłonę. Pokój, w którym mieszka Liz (nie potrafi o nim myśleć jak o swoim pokoju, jej pokój został na Ziemi), ma aż pięć okien. Przypomina jej szklarnię. Wolałaby mieszkać w ciemnej klitce z jednym oknem (a najlepiej bez okien) i pomalowanymi na czarno ścianami, która bardziej odpowiadałaby jej obecnemu położeniu. Liz ziewa, obserwując, jak babcia Betty podchodzi do trzeciego okna. – Nie musisz odsłaniać ich wszystkich – mówi.

– Ale ja lubię, kiedy jest dużo światła! Ty nie? – pyta babcia Betty.

Liz przewraca oczami. Nie może uwierzyć, że będzie musiała spędzić resztę życia z babcią, która – nie dajcie się zwieść – jest starszą osobą. Chociaż babcia Betty przypomina z wyglądu młodą kobietę, Liz podejrzewa ją o pielęgnowanie sekretnych przyzwyczajzeń starszych ludzi.

Liz zastanawia się, co konkretnie miała na myśli, mówiąc: „Gdzie Indziej można robić mnóstwo rzeczy”. Na Ziemi Liz była wiecznie zajęta nauką, szukaniem college'u, obmyśleniem kariery i innymi sprawami, które dorośli uważali za niezwykle ważne. Odkąd umarła, wszystko, co robiła za życia, wydaje się kompletnie bez znaczenia. Z punktu widzenia Liz pytanie o to, jak

będzie wyglądała jej przyszłość, znalazło już swoją odpowiedź. Historia jej życia jest krótka i bezsensowna: była sobie dziewczynka, którą pewnego dnia potrącił samochód i umarła. Koniec.

– O ósmej trzydziści zaczyna się twoje spotkanie adaptacyjne – oznajmia babcia Betty. Liz wysuwa głowę spod kołdry.

– A co to takiego?

– Rodzaj wprowadzenia dla niedawno zmarłych – wyjaśnia babcia Betty.

– Mogę zostać w tym? – Liz wskazuje na swoją białą piżamę. Nosi ją tak długo, że bardziej odpowiednie byłoby określenie: szara piżama. – Nie miałam czasu, żeby się spakować.

– Możesz pożyczyć coś ode mnie. Myślę, że nosimy podobny rozmiar, chociaż jesteś chyba trochę mniejsza niż ja – mówi babcia Betty.

Liz patrzy na nią przez chwilę. Betty ma większe piersi, ale jest szczupła i podobnego wzrostu. To trochę dziwne, nosić ten sam rozmiar, co własna babcia.

– Po prostu wybierz jakieś ubranie z mojej szafy i jeśli będziesz musiała je skrócić lub zwęzić, daj mi znać. Nie wiem, czy wspominałam, ale jestem tutaj krawcową – oznajmia babcia Betty.

Liz kręci głową.

– Mam pełne ręce roboty. Młodniejąc, ludzie robią się coraz mniejsi, a co za tym idzie, ciągle muszę zwięzać dla nich ubrania.

– Nie mogą sobie po prostu kupić nowych? – pyta Liz, marszcząc brwi.

– Oczywiście, mogą, skarbie, nie chciałam sugerować niczego innego. Zauważyłam jednak, że tutaj wszystkiego marnuje się mniej. Poza tym szyję również nowe ubrania, wiesz? Nawet wolę to robić, bo mam wtedy większe pole do popisu.

Liz przytakuje, czując ulgę. Myśl o ludziach noszących przez cały czas jedno i to samo ubranie jest jedną z najbardziej przygnębiających, jakie przyszły jej ostatnio do głowy.

Po wzięciu prysznic (który, ku uciesze Liz, niczym nie różni się od tego na Ziemi) dziewczynka owija się ręcznikiem i idzie obejrzyć szafę babci Betty.

Szafa jest duża i dobrze zorganizowana. Ubrania sprawiają wrażenie drogich i starannie uszytych, ale w odczuciu Liz są nieco zbyt teatralne. Są wśród nich filcowe kapelusze, staromodne sukienki, broszki, aksamitne peleryny, baletki, strusie pióra, szpilki z lakierowanej skóry, kabaretki i futra. Liz zastanawia się, gdzie jej babcia chodzi ubrana w ten sposób i czy ma przynajmniej jedną parę dżinsów, ponieważ jedyne, co ma ochotę założyć, to właśnie dżinsy i podkoszulek. Przetrzęsa szafę w poszukiwaniu spodni. Niestety udaje jej się znaleźć tylko granatowe spodnie żeglarskie.

Liz siada pod stertą swetrów, głęboko sfrustrowana. Przypomina sobie zabałaganioną szafę u siebie w domu, kryjącą dwanaście par dżinsów. Znalezienie ich wszystkich zabrało jej masę czasu. Zanim się to udało, musiała przymierzyć wiele par. Na samą myśl o tym Liz zbiera się na płacz. Zastanawia się, jaki los czeka teraz jej dżinsy. Obejmuje dłońmi głowę i maca szwy nad uchem. *Tutaj nawet ubranie się jest trudne* – myśli.

– Znalazłaś coś? – pyta babcia Betty kilka minut później, podchodząc do szafy. Liz nie poruszyła się przez cały ten czas.

Teraz podnosi głowę, ale nie odpowiada.

– Wiem, co czujesz – mówi babcia Betty.

Akurat – myśli Liz.

– Myślisz pewnie, że nie mam pojęcia o twoich uczuciach, ale się mylisz, przynajmniej częściowo. Śmierć w wieku pięćdziesięciu lat nie różni się od śmierci w wieku piętnastu tak bardzo, jak ci się wydaje. Kiedy człowiek ma pięćdziesiąt lat, nadal istnieje sporo rzeczy, które

chciałby zrobić, i mnóstwo takich, o które powinien zadbać.

– A na co właściwie zmarłaś? – pyta Liz.

– Na raka piersi. Twoja matka była wtedy z tobą w ciąży.

– Mówiła mi o tym.

Babcia Betty posyła Liz smutny uśmiech.

– Dlatego właśnie cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać. Byłam bardzo rozczarowana, że wtedy mi się to nie udało. Oczywiście wolałabym, żebyśmy poznały się w innych okolicznościach. – Potrząsa głową. – Myślę, że w tym będziesz dobrze wyglądać. – Prezentuje sukienkę w łązkę, której Liz za nic w świecie dobrowolnie by nie założyła.

Liz kręci głową.

– A może to? – Babcia Betty wskazuje na sweter z kaszmiru.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostaną jednak przy piżamie.

– Rozumiem i z pewnością nie będziesz pierwszą osobą, która pojawi się w niej na spotkaniu adaptacyjnym – zapewnia babcia Betty.

– Choć twoje ubrania są naprawdę ładne.

– Możemy ci kupić nowe. Zrobiłabym to sama, ale nie wiedziałam, czy ci się spodobają.

Ubrania to osobista rzecz, przynajmniej dla mnie.

Liz wzrusza ramionami.

– Jak już będziesz gotowa – ciągnie babcia Betty – dam ci pieniądze. Powiedz tylko słowo.

Liz jakoś nie potrafi zmusić się do myślenia o ciuchach, postanawia więc zmienić temat.

– A tak z innej beczki, zastanawiałam się, jak powinnam się do ciebie zwracać. Czuję się dziwnie, mówiąc do ciebie *babciu*.

– A co powiesz na *Betty*?

Liz kiwa głową.

– Betty.

– A jak chciałabyś, żebym ja się do ciebie zwracała? – pyta Betty.

– Cóż, mama i tata mówią na mnie *Lizzie*... Mówili na mnie *Lizzie* – poprawia się. – Ale teraz chyba wolę *Liz*.

Betty uśmiecha się.

– Liz.

– Naprawdę kiepsko się czuję. Czy mogłabym zostać dzisiaj w łóżku i przełożyć termin mojego spotkania adaptacyjnego na jutro? – pyta Liz. Jej obojczyk jest lekko obolały w miejscu, w którym otarł się o pas bezpieczeństwa podczas wczorajszej stłuczki, lecz tak naprawdę Liz nie ma na nic ochoty.

Betty kręci przecząco głową.

– Przykro mi, skarbie, ale każdy musi odbyć to spotkanie podczas swojego pierwszego dnia Gdzie Indziej. Każdy – bez wyjątków.

Liz odwraca się od szafy i patrzy przez okno w sypialni Betty, wychodzące na nieuporządkowany ogród. Rozpoznaje róże, lilie, lawendę, słoneczniki, chryzantemy, begonie, gardenie, jabłonkę, drzewko pomarańczowe, oliwkowe i wiśniowe. Dziewczyna zastanawia się, jak to możliwe, że w jednym miejscu udało się zebrać tyle różnych gatunków kwiatów i owoców.

– To twój ogród? – pyta.

– Tak – odpowiada Betty.

– Mama też lubi pracować w ogrodzie.

Betty kiwa głową.

– Kiedyś Olivia i ja robiłyśmy to razem, ale zawsze się sprzeczałyśmy, między innymi o

to, co posadzić. Ona upierała się przy praktycznych roślinach, takich jak kapusta, marchewka czy groszek. Ja mam słabość do pięknych zapachów i żywych kolorów.

– Jest piękny – mówi Liz, obserwując motyla monarchę, przycupniętego na czerwonym kwiecie hibiskusa. – Dziki, ale piękny. – Motyl odlatuje.

– Och, wiem, że pewnie powinnam wszystko przystrzyc i zaprowadzić w nim porządek, ale jakoś nie potrafię się zmusić do skrócenia krzewu różanego czy podwiązania łądygi. Życie kwiatu i tak jest wystarczająco krótkie. – Betty śmieje się. – Obawiam się, że mój ogród to artystyczny nieład.

– Jesteś pewna, że nie chcesz prowadzić? – pyta Betty, gdy obie jadą na spotkanie Liz w Rejestracji.

Liz kręci głową.

– Nie powinnaś się zniechęcać z powodu drobnego niepowodzenia.

– Nie – odpowiada twardo Liz. – Skoro i tak będę się stawać coraz młodsza, powinnam się przyzwyczaić do bycia pasażerem.

Betty spogląda we wsteczne lustro. Usadowiona na tylnym siedzeniu Liz, ubrana w białą piżamę, krzyżuje ramiona na piersi.

– Przepraszam, jeśli zeszłego wieczoru zachowywałam się jak przewodnik w czasie wycieczki – mówi Betty.

– Co masz na myśli? – pyta Liz.

– To, że chyba za bardzo się starałam. Chcę, żebyś polubiła to miejsce i mnie, ale zdaje się, że paplałam jak nakręcona, bez ładu i składu.

Liz kręci przecząco głową.

– Zachowałam się tak jak trzeba, po prostu... – Zamilkła na chwilę. – Po prostu wcale cię nie znam.

– Wiem – mówi Betty. – Za to ja cię trochę znam. Przez większość twojego życia podglądałam cię z TW.

– Co to jest TW?

– Tarasy Widokowe, specjalne miejsca, z których widać Ziemię. Oczywiście można z nich korzystać, ale są pewne ograniczenia czasowe. Pamiętasz, jak oglądałaś swój pogrzeb z pokładu statku?

– Tak – mówi Liz. – Przez lornetkę. – Nie zapomni tego tak długo, jak (nie) będzie żyła.

– Takie same Tarasy Widokowe znajdują się w całym Gdzie Indziej. Powiedzą ci o tym dzisiaj na spotkaniu adaptacyjnym.

Liz kiwa głową.

– Tak ze zwykłej ciekawości, czy jest ktoś, kogo szczególnie chciałabyś zobaczyć? – pyta Betty.

Oczywiście Liz tęskni za swoją rodziną, ale pod pewnymi względami osobą, której brakuje jej najbardziej, jest Zooey, jej najlepsza przyjaciółka. Dziewczyna zastanawia się, jak będzie wyglądać suknia balowa Zooey. Czy teraz, po śmierci Liz, jej przyjaciółka w ogóle pójdzie na bal? Zooey nie zadała sobie nawet trudu, by pójść na pogrzeb Liz. Gdyby to ona umarła, Liz z pewnością towarzyszyłaby jej w ostatniej drodze. Po głębszym zastanowieniu dochodzi jednak do wniosku, że jej przyjaciółka postąpiła dość niegrzecznie, szczególnie w tych okolicznościach. Przecież gdyby Zooey nie poprosiła Liz o przyjazd do centrum handlowego, żeby oglądać głupie balowe sukienki, nie doszłoby do wypadku. Gdyby Liz nie została potrącona przez rozpędzoną taksówkę, nie umarłaby, a gdyby... Liz wzdycha: *całe to gdybanie może doprowadzić do obłędu.*

Nagle Betty wskazuje za okno, przez co samochód lekko zbacza z drogi.

– Właśnie tutaj odbędzie się twoje spotkanie. Nazywamy to miejsce Rejestracją.

Pokazywałam ci je wczoraj, ale nie wiem, jak bardzo uważnie mnie słuchałeś.

Liz widzi ze swojego okna gigantyczną, niezbyt miłą dla oka budowlę. Nigdy wcześniej nie widziała tak wysokiego budynku, który zdaje się wznosić w nieskończoność. Mimo swoich rozmiarów Rejestracja przypomina wytwór dziecięcej wyobraźni: ściany, schody i pozostałe elementy budowli odstają pod zadziwiającymi kątami, a całość wygląda na zaimprovizowaną, prawie jak makieta, których kiedyś zbudowała wiele ze swoim bratem.

– Jest dość brzydka – zauważa Liz.

– Kiedyś wyglądała lepiej – przyznaje Betty – ale potrzeby tego budynku zawsze przewyższają jego rozmiary. Architekci bezustannie obmyślają plany rozbudowy, a ekipy budowlane bez chwili wytchnienia wprowadzają je w życie. Niektórzy twierdzą, że Rejestracja wręcz rośnie w oczach.

Betty skręca w lewo na parking przed budynkiem. Zatrzymuje samochód przed jednym z licznych wejść.

– Chcesz, żebym zaprowadziła cię do środka? Tam łatwo się zgubić – ostrzega Betty.

– Nie. Wolę iść sama, jeśli nie masz nic przeciwko temu – odpowiada Liz.

Betty kiwa głową.

– W takim razie odbiorę cię koło piątej. Postaraj się spędzić miło dzień, skarbie.

Koło i linia

Liz dociera do Rejestracji kwadrans przed czasem, ale znalezienie Biura Adaptacji zabiera jej dwadzieścia pięć minut. Mapy powieszona przy windzie są od dawna nieaktualne, a żaden z pracowników budynku nie potrafi wskazać dziewczynie drogi. Kiedy usiłuje wrócić do miejsca, z którego przyszła, trafia na coraz to nowe przejścia – mogłaby przysiąc, że jeszcze pięć minut wcześniej wcale ich tam nie było.

Zdając się na ślepy los (tak jak każda z osób, które zmarły nagle, Liz pokłada w nim wielką ufność), postanawia wypróbować jedno z takich przejść. Znajduje korytarz, a na samym jego końcu – kolejne drzwi. Niechlujna kartonowa tabliczka informuje, że właśnie za nimi znajduje się tymczasowa siedziba Biura Adaptacji.

Liz otwiera drzwi, za którymi znajduje gwarne, niczym niewyróżniające się wnętrze recepcji. (Tak jak mówiła Betty, wiele osób wciąż ma na sobie białe piżamy.) Gdyby nie wypływały, dość makabryczny plakat wiszący na ścianie, Liz pomyślałaby, że znajduje się w poczekalni gabinetu swojego lekarza. Plakat przedstawia uśmiechniętą siwowłosą kobietę siedzącą w mahoniowej trumnie. Poniżej zdjęcia widnieje następujący napis:

NIE ŻYJESZ. CO TERAZ?

Biuro Adaptacji jest po to, by Ci pomóc.

Siedząca za biurkiem kobieta sprawia wrażenie rozdrażnionej i przypomina Liz plakat: jest równie wypłowiała, wiekowa i posępna, jak on. Nosi fryzurę przypominającą pszczeli ul – modną w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku – a jej skóra ma zielonkawy odcień. Tabliczka stojąca na biurku informuje, że recepcjonistka nazywa się YETTA BROWN.

– Przepraszam – mówi Liz. – Jestem umówiona na spotkanie o...

Yetta Brown chrząka i wskazuje głową na stojący nieopodal dzwonek i karteczkę:
DZWONIĆ W RAZIE POTRZEBY!!!

Liz postępuje zgodnie z poleceniem. Yetta Brown ponownie chrząka i przywołuje na twarz szeroki, sztuczny uśmiech.

– Słucham, w czym mogę pomóc?

– Jestem umówiona na spotkanie o ósmej...

Sztuczny uśmiech Yetty ustępuje miejsca grymasowi niezadowolenia.

– To dlaczego nic nie mówisz? Już od pięciu minut powinnaś oglądać film! Pospiesz się, pospiesz się, pospiesz się!

– Przepraszam – bąka Liz. – Nie mogłam znaleźć...

Yetta znowu jej przerywa.

– Nie mam czasu na słuchanie twoich przeprosin.

Liz nie cierpi, gdy ktoś jej przerywa.

– Nie powinna mi pani prze...

– Nie mam czasu na pogawędki.

Yetta zostawia Liz w zakurzonej, ciemnym pokoju z porysowanym magnetowidem i telewizorem. W pomieszczeniu przypominającym schowek na szczołki ledwie mieści się pojedyncze krzesło.

– Przyjdę po ciebie, kiedy kaseeta się skończy – oznajmia Yetta. – Ach tak, miłego oglądania – dodaje niedbale, wychodząc z pokoju.

Liz siedzi na samotnym krześle. Video przypomina suche filmy instruktażowe, które

czasami oglądała na lekcjach biologii i kursie prawa jazdy, dotyczące edukacji seksualnej lub bezpieczeństwa na drodze.

Na samym początku kasety pojawia się gadająca rysunkowa papuga.

– Mam na imię Polly – przedstawia się. – Jeśli oglądasz ten film, to znaczy, że jesteś martwy, martwy, martwy! Witam i pozdrawiam was, zmarli!

Liz myśli, że animacja jest prymitywna, a Polly irytująca w roli przewodnika.

Video obejmuje część zagadnień, które Liz i Betty zdążyły już omówić – to, w jaki sposób wszyscy mieszkańcy Gdzie Indziej młodnieją i na powrót stają się niemowlętami, które po osiągnięciu wieku siedmiu dni zostają odesłane Rzeką na Ziemię.

– Na Ziemi – skrzeczy Polly – człowiek starzeje się od chwili narodzin do bliżej nieokreślonego momentu w przyszłości, kiedy to umiera, umiera, umiera. – Na ekranie pojawia się niemowlę, które zamienia się w chłopca, później w mężczyznę, staruszka i wreszcie umiera. – Gdzie Indziej – kontynuuje Polly – życie jest bardziej przewidywalne: człowiek umiera, potem młodnieje, aż w końcu znowu staje się niemowlęciem. – Animowany staruszek zmienia się w mężczyznę, później w chłopca i wreszcie w dziecko. – Osiągnąwszy stan niemowlęcy, człowiek jest gotowy, by zostać odesłanym z powrotem na Ziemię, gdzie proces rozpoczyna się na nowo. – Animowane dziecko znowu staje się chłopcem, mężczyzną, staruszkiem. Liz wyobraża sobie własne życie przedstawione w podobny sposób. *Dotarłabym tylko do miejsca gdzieś pomiędzy animowanym chłopcem a mężczyzną* – myśli. Zastanawia się też nad tym, czy chłopcy zawsze pozostają chłopcami, dziewczynki dziewczynkami, a psy psami.

Film porusza również te tematy, których Liz i Betty nie omówiły zbyt szczegółowo.

Liz uczy się właściwego sposobu określania swojego wieku: jest to kombinacja liczby lat przeżytych na Ziemi i Gdzie Indziej. Ma więc obecnie piętnaście-zero lat. Dowiaduje się również, że jej nowe urodziny wypadają czwartego stycznia. Żeby to obliczyć, musi dokonać skomplikowanego działania, polegającego na dodaniu liczby dni, które upłynęły od jej ostatnich urodzin do daty śmierci.

Zostaje też poinformowana, że Gdzie Indziej nikt się nie rodzi, ale też nikt nie umiera. Ludzie co prawda chorują i bywają ranni, ale wcześniej czy później każdy zdrowieje. W rezultacie chorobom nie poświęca się tu zbyt wiele uwagi.

Nie wolno podejmować prób Kontaktu z ludźmi na Ziemi (– Kontakt jest be! Kontakt jest be! – skrzeczy Polly, zaciekle wymachując żółtym dziobem), ale w każdej chwili można ich zobaczyć, korzystając z Tarasów Widokowych, podobnych do tych na statku pasażerskim *Nil*. Nie służą one wyłącznie oglądaniu pogrzebów i znajdują się na zacumowanych łodziach oraz latarniach morskich rozrzuconych po całym Gdzie Indziej. Za cenę jednego wiecznego Liz może przez pięć minut patrzeć na dowolną osobę lub miejsce na Ziemi. Postanawia poprosić Betty, by zawiozła ją na najbliższy Taras Widokowy.

Dowiaduje się, że każdy musi sobie wybrać jakieś zajęcie. Z tego, co zrozumiała, wynika, że zajęcie przypomina pracę, z tą różnicą, iż powinno się je naprawdę lubić. Oglądając ten fragment filmu, Liz kręci głową. Skąd ma wiedzieć, co chciałaby robić? Nie wspominając nawet o tym, co byłąby w stanie robić, biorąc pod uwagę jej młody wiek i brak kwalifikacji.

Liz poznaje również oficjalną definicję *adaptacji*. *Adaptacja* – wrzeszczy Polly – *jest procesem, dzięki któremu niedawno zmarli stają się mieszkańcami Gdzie Indziej, a zatem witajcie, witajcie, witajcie, zmarli!*

Dziewczynka zdobywa wiele, wiele, wiele innych informacji, które zapewne wkrótce wywietrzą jej z głowy.

Końcówka filmu koncentruje się na metafizycznych aspektach Gdzie Indziej. Porównuje ludzkie życie jednocześnie do koła i linii. Życie jest okręgiem, ponieważ wszystko, co kiedyś

było stare, zamieni się w nowe, a wszystko, co było nowe, zamienia się w stare, i linią, ponieważ to koło rozciąga się w nieskończoność. Ludzie umierają. Ludzie się rodzą. Ludzie ponownie umierają. Każde narodziny i śmierć to małe koło, a suma tych małych kół to życie i linia. W trakcie wykładu na temat ludzkiej egzystencji Liz zasypia.

Budzi się kilka minut później na głos sztorcującej ją Yetty Brown.

– Mam nadzieję, że nie przespałaś całego filmu! Wstawaj! Wstawaj natychmiast!

Liz zrywa się na równe nogi.

– Przepraszam. Całe to umieranie strasznie mnie wykończyło i...

Yetta Brown znowu nie pozwala jej dokończyć.

– Mnie jest wszystko jedno. Swoim zachowaniem szkodzisz przede wszystkim sobie – wzdycha. – Pójdiesz teraz na spotkanie ze swoim doradcą adaptacyjnym, Aldousem Ghentem.

Pan Ghent to bardzo ważna osobistość, więc lepiej postaraj się nie zasnąć podczas rozmowy.

– Naprawdę nie sądzę, by ominęło mnie zbyt wiele – mówi Liz.

– W porządku. Powiedz mi, dlaczego ludzkie życie przypomina koło i linię? – domaga się

Yetta.

Liz zaczyna główkować.

– Jest kołem, ponieważ, hm... Ziemia jest kulą, czyli takim jakby, hm...

trójwymiarowym kołem?

Yetta kręci głową z dezaprobatą.

– Dokładnie tak, jak myślałam!

– Przepraszam, że się zdrzemnęłam. – Liz mówi bardzo szybko, by uniknąć przerywania.

– Może mogłabym zobaczyć końcówkę filmu jeszcze raz?

Yetta Brown ignoruje jej pytanie.

– Mamy dzisiaj dużo spraw do załatwienia, panno Hall. Wszystko pójdzie znacznie sprawniej, jeśli uda ci się nie zasnąć.

– To jest Elizabeth Marie Hall, panie Ghent. – Yetta wymawia nazwisko Liz, jakby było wyjątkowo nieprzyjemnym słowem, na przykład takim jak *przepuklina*. Aldous Ghent spogląda na wchodzące do gabinetu Yettę i Liz.

– Dziękuję, panno Brown! – krzyczy Aldous za zatraskującą drzwi Yettą. – No cóż, może mnie nie usłyszała. Yetta zdaje się mieć zadziwiająco kiepski słuch. Zawsze mi przerywa.

Liz chce być uprzejma i wybucha śmiechem.

– Witaj, Elizabeth Hall. Jestem Aldous Ghent, twój doradca adaptacyjny. Usiądź, proszę.

– Aldous wskazuje Liz krzesło po drugiej stronie biurka. Niestety, całkowicie pokryte papierami. Prawdę powiedziawszy, całe jego pozbawione okien biuro jest nimi wręcz zasypane.

– Czy mam gdzieś przełożyć te dokumenty? – pyta Liz.

– Och tak, koniecznie! – Aldous uśmiecha się i rozgląda smutno po zagraconym pomieszczeniu. – Mam tyle papierkowej roboty. Boję się, że nawet moja papierkowa robota ma papierkową robotę.

– Może przydałoby się panu większe biuro? – sugeruje Liz.

– Ciągle mi je obiecują. To jedna z tych rzeczy, na które czekam najbardziej. Poza odrośnięciem włosów. – Poklepuje czule swoją łysą głowę. – Zacząłem łysieć mniej więcej w wieku dwudziestu pięciu lat. Wynika z tego, że zostało mi jeszcze jakieś trzydzieści sześć lat czekania na bujną czuprynę. Martwi mnie tylko jedna rzecz: kiedy staniemy się niemowlakami, wszyscy stracimy większość włosów. Z mojego punktu widzenia wygląda to tak: czeka mnie zaledwie dwudziestoczteroletnie włochate okienko, nim znowu stanę się łysy jak kolano. Taki los – wzdycha Aldous.

Liz przeczesuje palcami swoje świeżo odrośnięte włosy.

– W zeszłym roku odzyskałem zęby. Ząbkowanie było koszmarne! Przez moje mazgajstwo i marudzenie żona nie spała całą noc. – Aldous uśmiecha się szeroko, prezentując Liz garnitur zębów. – Tym razem zamierzam je otoczyć właściwą opieką. Sztuczna szczeka to nic dobrego. A właściwie jest o wiele gorsza niż coś niedobrego. Sztuczna szczeka jest... hm...

– Do kitu? – odpowiada Liz.

– Sztuczna szczeka jest do kitu – przyznaje Aldous ze śmiechem. – Wcale nie przesadzam. Dźwięk, jaki wydaje przy jedzeniu, przypomina ssanie.

Aldous ostrożnie wyciąga teczkę ze spodu chybotałej sterty dokumentów, leżącej na środku jego biurka. Otwiera ją i zaczyna czytać:

– Jesteś z Bermudów, gdzie zmarłaś w wyniku wypadku żeglarskiego?

– Nie, to nie ja – mówi Liz.

– Przepraszam. – Aldous sięga po kolejną teczkę. – Jesteś z Manhattanu i miałaś, uh, raka piersi, tak?

Liz kręci przecząco głową. Szczerze mówiąc, w jej przypadku trudno w ogóle mówić o piersiach.

Aldous bierze trzecią teczkę.

– Massachusetts? Obrażenia głowy w wyniku wypadku rowerowego?

Liz kiwa głową. To ona.

– Cóż... – Aldous wzrusza ramionami. – Przynajmniej śmierć była szybka. Może pomijając czas śpiączki, której pewnie i tak nie pamiętasz.

Rzeczywiście, nie pamięta.

– Jak długo byłam w śpiączce?

– Około tygodnia, ale mózg i tak był już wtedy martwy. Mam tu informację, że twoi biedni rodzice musieli podjąć decyzję o odłączeniu cię od aparatury. Moja żona i ja zrobiliśmy to samo naszemu synowi, Josephowi, jeszcze na Ziemi. Jego najlepszy przyjaciel postrzelił go przypadkiem podczas zabawy moim starym pistoletem. To był najgorszy dzień w moim życiu. Jeśli kiedyś będziesz miała dzieci... – Aldous urywa.

– To co?

– Przepraszam, nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Gdzie Indziej nie można mieć dzieci – wyjaśnia Aldous.

Liz potrzebuje kilku chwil na zastanowienie. Wnioskując po jego tonie, Aldous sądzi, że ta informacja ją zmartwi, ale tak naprawdę Liz nigdy nie myślała o tym, czy chce mieć dzieci.

– Czy teraz widzisz się ze swoim synem? – pyta Liz.

Aldous kręci przecząco głową.

– Nie, wrócił na Ziemię, jeszcze zanim Ro i ja dotarliśmy tutaj. Bardzo chciałbym go znowu zobaczyć, ale widocznie nie było nam to pisane. – Aldous wyciera nos. – Alergia – wyjaśnia.

– Na co? – pyta Liz.

– Och – rzuca lekko Aldous. – Mam alergię na smutne wspomnienia. To najgorsza odmiana. Chciałabyś zobaczyć zdjęcie mojej żony, Roweny?

Liz kiwa głową. Aldous podaje jej srebrną ramkę ze zdjęciem ślicznej Japonki, mniej więcej w jego wieku.

– To jest właśnie moja Rowena – oświadcza z dumą.

– Bardzo elegancka – mówi Liz.

– Prawda? Zginęliśmy tego samego dnia, w katastrofie lotniczej.

– To straszne.

– Nie – zaprzecza żywo Aldous. – Moim zdaniem mieliśmy ogromne szczęście.
– Przez bardzo długi czas nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że nie żyję – zwierza się Liz. – Czy to normalne?

– Pewnie – uspokaja ją Aldous. – U niektórych ludzi adaptacja trwa dłużej, a u innych krócej. Niektórzy przybywają Gdzie Indziej i wciąż myślą, że to sen. Znałem człowieka, który mieszkał tu przez pięćdziesiąt lat i wrócił na Ziemię, wciąż nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. – Aldous wzrusza ramionami. – Wszystko zależy od tego, w jaki sposób ktoś umarł, ile miał lat... Istnieje wiele czynników, a każdy z nich stanowi część procesu. Szczególnie młodym ludziom trudno jest przyjąć do wiadomości, że nie żyją – mówi.

– Dlaczego?

– Młodym ludziom wydaje się, że są nieśmiertelni. Wielu z nich nie potrafi myśleć o sobie jak o zmarłym, Elizabeth.

Aldous zaczyna omawiać wszystkie sprawy, z jakimi Liz będzie się musiała uporać w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Z tym całym umieraniem najwyraźniej wiąże się o wiele więcej roboty, niż przypuszczała. Do pewnego stopnia śmierć przypomina jej obowiązek szkolny.

– Czy masz już jakiś pomysł na swoje przyszłe zajęcie? – pyta Aldous.

Liz wzrusza ramionami.

– Nie bardzo. Na Ziemi nie miałam pracy, ponieważ chodziłam jeszcze do szkoły.

– O nie, nie, nie – mówi Aldous. – Zajęcie to nie to samo, co praca. Praca powinna się wiązać z prestiżem! Pieniędźmi! Zajęcie jest czymś, co każdy z nas robi, by poczuć się spełnionym.

Liz przewraca oczami.

– Sądząc po twojej minie, nie wierzysz w to, co mówię – zauważa Aldous. – Wygląda na to, że trafił mi się cynik.

Dziewczyna wzrusza ramionami. Kto w jej sytuacji zdołałby się powstrzymać od cynizmu?

– Czy jest coś, co uwielbiałaś robić na Ziemi?

Liz ponownie wzrusza ramionami. Na Ziemi była dobra z matematyki, fizyki i pływania (zeszłego lata zdobyła nawet certyfikat nurka), ale nie pasjonowała ją żadna z tych rzeczy.

– Naprawdę nic nie przychodzi ci do głowy?

– Zwierzęta. Może mogłabym robić coś związanego ze zwierzętami, psami – mówi w końcu Liz, myśląc o Lucy – swoim wspaniałym, pozostawionym na Ziemi mopsie.

– Cudownie! – wykrzykuje Aldous. – Jestem pewien, że znajdę dla ciebie jakieś fantastyczne zajęcie związane z psami.

– Będę musiała to jeszcze przemyśleć – mówi Liz. – Wiele rzeczy zważyło mi się ostatnio na głowę.

Aldous wypytuje Liz o jej ziemskie życie. Mówiąc o swojej dawnej egzystencji, Liz zaczyna się czuć tak, jakby opowiadała o kimś innym. Dawno, dawno temu w Medford, w stanie Massachusetts, żyła sobie dziewczynka imieniem Elizabeth.

– Byłaś szczęśliwa? – pyta Aldous.

Liz przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć?

– Nie martw się, to nie test. Zadaję to pytanie wszystkim swoim podopiecznym.

Prawdę mówiąc, Liz nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym, czy jest szczęśliwa. Przypuszcza, że skoro nie zaprzętała sobie tym głowy, to znaczy, że była. Szczęśliwi ludzie raczej nie zadają sobie pytania o to, czy są szczęśliwi, prawda? *Po prostu są szczęśliwi* – myśli

Liz.

– Myślę, że byłam szczęśliwa – mówi i od razu wie, że to prawda. Jedna, głupia, nieposłuszna łza wypływa z kącika jej oka. Liz szybko ją wyciera. Pojawia się druga, a za nią następna i w ułamku sekundy dziewczynka orientuje się, że płacze.

– A niech to, a niech mnie! – wykrzykuje Aldous. – Przepraszam, jeśli zdenerwowałem cię swoim pytaniem. – Wyciąga pudełko chusteczek spod sterty papierów. Przez chwilę zastanawia się nad wręczeniem Liz jednej chusteczki, lecz w końcu decyduje się podać jej całe pudełko.

Liz spogląda na opakowanie ozdobione rysunkami bałwanków, oddających się różnym świątecznym czynnościom. Jeden z nich z uśmiechem na okrągłej twarzy ładuje do pieca blachę pełną pierników. *Pieczenie pierników, a właściwie każda forma gotowania, musi być dla bałwana czymś w rodzaju samobójstwa* – myśli Liz. *Dlaczego więc miałby dobrowolnie podejmować się czynności, która prawdopodobnie go zniszczy? Czy bałwany w ogóle jedzą?* Liz przygląda się pudełku.

Aldous wyciąga jedną z chusteczek i przykłada ją do nosa Liz, jakby była pięcioletnią dziewczynką.

– Dmucha! – rozkazuje.

Liz postanawia go posłuchać.

– Ostatnio często płaczę.

– To całkowicie normalne.

Liz była szczęśliwa. *Jakie to zadziwiające* – myśli. Przez cały czas spędzony na Ziemi nie uważała się za szczególnie szczęśliwą osobę. Jak wiele osób w jej wieku, była marudna i zamartwiała się z powodów, które teraz wydają się jej bzdurne: nie była najbardziej lubianą osobą w szkole, nie miała chłopaka, jej brat bywał nieznośny i miała piegi. Pod wieloma względami czuła się tak, jakby wszystkie dobre rzeczy dopiero miały się jej przytrafić: samodzielne mieszkanie, pójście do college'u, prowadzenie samochodu. Dopiero teraz do Liz dociera prawda: była szczęśliwa. Szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa. Rodzice ją kochali, jej najlepsza przyjaciółka była najbardziej życzliwą, najwspanialszą dziewczynką na świecie, nauka przychodziła Liz z łatwością, brat wcale nie był taki zły, jej mops lubił z nią spać w łóżku i, tak, niektórzy uważali, że jest ładna. Liz dochodzi do wniosku, że aż do ubiegłego tygodnia jej życie nie miało właściwie żadnych wad, było szczęśliwe i nieskomplikowane. A teraz dobiegło końca.

– Dobrze się czujesz? – pyta zatroskanym głosem Aldous.

Liz kiwa głową, chociaż wcale nie czuje się dobrze.

– Tęsknię za swoim psem Lucy. – Ciekawe, z kim teraz mój piesek dzieli łóżko.

Aldous posyła jej uśmiech.

– Tak się szczęśliwie składa, że psy żyją znacznie krócej niż ludzie. Być może pewnego dnia znowu ją zobaczysz.

Aldous odchrząkuje.

– Właściwie miałem ci to powiedzieć już wcześniej. Ludzie, którzy umierają tak młodo jak ty, czyli w wieku szesnastu lat i mniej, mogą zostać odesłani na Ziemię wcześniej niż inni.

– Co pan ma na myśli? – pyta Liz.

– Młodym ludziom czasami trudno jest przystosować się do życia Gdzie Indziej i ostatecznie ich adaptacja się nie udaje. Dlatego też, jeśli chcesz, możesz wrócić na Ziemię szybciej, o ile podejmiesz taką decyzję w ciągu pierwszego roku pobytu tutaj. Nazywamy to Klauzulą Zbiega.

– Czy wtedy wrócę do swojego dawnego życia?

Aldous wybucha śmiechem.

– O nie, nie, nie! Zaczyniesz wszystko od nowa jako niemowlę. Oczywiście możesz zetknąć się z ludźmi, których wcześniej znałaś, ale nie będą mieli pojęcia, kim jesteś, a i ty prawdopodobnie ich nie rozpoznasz.

– Czy istnieje jakiś sposób, żebym wróciła do swojego dawnego życia?

Aldous przygląda się Liz z powagą.

– Muszę cię przed czymś ostrzec, Elizabeth. Nie istnieje sposób, byś wróciła do dawnego życia, ani powód, by to robić. Tamto życie się skończyło i nie ma do niego powrotu. Być może słyszałaś o miejscu zwanym Studnią...

– Czym jest Studnia? – nie pozwala mu dokończyć Liz.

– Czymś ściśle zabronionym – odpowiada Aldous. – Wracając do Klauzuli Zbiega...

– Dlaczego jest zabroniona?

Aldous kręci głową.

– Bo tak. A wracając do Klauzuli Zbiega...

– To chyba nie dla mnie – po raz kolejny przerywa mu Liz. Mimo że tęskni za Ziemią, tak naprawdę najbardziej brakuje jej ludzi, których tam znała. Bez nich powrót na Ziemię zdaje się nie mieć sensu. Nie wspominając o tym, że Liz nie ma jeszcze ochoty stawać się niemowlęciem.

Aldous kiwa głową.

– Oczywiście nadal masz rok na podjęcie tej decyzji.

– Rozumiem. – Liz milczy przez chwilę. – Hm, Aldousie, czy mogę panu zadać jeszcze jedno pytanie?

– Chcesz wiedzieć, gdzie w tym wszystkim jest Bóg, mam rację? – zgaduje Aldous.

Liz jest szczerze zaskoczona. Aldous potrafił czytać w jej myślach!

– Skąd pan wiedział, o co chcę zapytać?

– Powiedzmy, że siedzę w tym już jakiś czas. – Aldous zdejmuje okulary w rogowych oprawkach i zaczyna je wycierać o spodnie. – Bóg jest dokładnie tam, gdzie był, była lub było wcześniej. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

Jak mógł coś takiego powiedzieć? – dziwi się Liz. Dla niej wszystko się zmieniło.

– Wkrótce się przekonasz – ciągnie Aldous – że śmierć to tylko kolejny etap życia, Elizabeth. Po pewnym czasie może nawet zaczniesz ją postrzegać jako narodziny? Myśl o tym jak o filmie *Elizabeth Hall 2*. – Aldous zakłada z powrotem okulary na nos i spogląda na zegarek. – Dobry Boże! – wykrzykuje. – To już ta godzina? Jeśli natychmiast nie zaprowadzimy cię do Wydziału Ostatnich Słów, Sarah urwie mi głowę.

Ostatnie słowa

W Wydziale Ostatnich Słów Liz spotyka energiczną kobietę, która przypomina jej opiekunkę na letnim obozie.

– Witam, panno Hall. Nazywam się Sarah Miles i chciałabym potwierdzić, jakie były twoje ostatnie słowa.

– Nie jestem pewna, czy je pamiętam. Przez długi czas nie wiedziałam nawet, że nie żyję – tłumaczy się Liz.

– Och, nic nie szkodzi. Tak naprawdę to tylko formalność – mówi Sarah, zaglądając do zmurszałej książki, przypominającej rozmiarem encyklopedię. – Wynika stąd, że twoimi ostatnimi słowami – czy raczej ostatnim słowem było „hm”.

Liz czeka, aż Sarah skończy zdanie. Tak naprawdę sama jest ciekawa, jak brzmiały jej ostatnie słowa. Czy były głębokie? Smutne? Patetyczne? Chwytające za serce? Pouczające? Wściekłe? Przerażone? Po kilku chwilach ciszy Liz zauważa, że Sarah się jej przygląda.

– A więc? – pyta Liz.

– A więc – odpowiada Sarah – czy to było „hm”?

– Czy to było hm co? – nie rozumie Liz.

– Czy twoim ostatnim słowem było „hm”?

– Twierdzi pani, że ostatnim słowem, jakie wypowiedziałam przed śmiercią, było „hm”?

– Tak jest napisane w księdze, a ona nigdy się nie myli. – Sarah z czułością klepie opasły tom.

– Boże, nie mogę uwierzyć, że powiedziałam coś tak dennego. – Liz kręci głową.

– Och, nie jest źle. – Sarah uśmiecha się. – Słyszałam gorsze słowa.

– Żałuję, że nie powiedziałam czegoś bardziej... – milknie Liz. – Czegoś bardziej, hm...

– Ponownie urywa.

– Jasne. – Współczucia Sarah wystarcza na dokładnie trzy sekundy. – Potrzebuję twojego podpisu, o tutaj.

– Skoro i tak pani wie, co powiedziałam, dlaczego muszę to podpisywać? – Liz wciąż nie może przeboleć, że ostatnie słowo, jakie wypowiedziała na Ziemi, brzmiało „hm”.

– Nie wiem. Tak to już jest urządzone.

Liz wzdycha.

– Gdzie mam podpisać?

Wychodząc, Liz zastanawia się nad swoim ostatnim słowem. Jeśli miało ono w jakiś sposób podsumować całe jej życie, to – zdaniem Liz – „hm” w zdumiewający sposób spełniło swoje zadanie. „Hm” nie znaczy nic. „Hm” mówi się wtedy, gdy zastanawiamy się, co tak naprawdę chcemy powiedzieć. „Hm” sugeruje, że ktoś nam przerwał, zanim na dobre zaczęliśmy. „Hm” jest piętnastoletnią dziewczynką potrąconą przez taksówkę przed centrum handlowym, dokąd przyjechała, by pomóc komuś wybrać suknię na bal, na który, na miłość boską, nawet się nie wybierała. Hm... Liz kręci głową, przysięgając sobie, że od tej pory wyrzuci ze swojego słownika „hm” i pozostałe równie bezsensowne słowa (*hej, jakby, oj, ech, ha, och, hej, może*).

Po powrocie do Biura Adaptacji Liz z radością zauważa znajomą twarz.

– Thandi!

Thandi odwraca się i posyła Liz serdeczny uśmiech.

– Też wysłuchałaś swoich ostatnich słów?

Liz przytakuje.

– Najwyraźniej jedyne słowo, jakie powiedziałam, to „hm”, chociaż i tak byłam zbyt pokiereszowana, by je zapamiętać. A twoje?

– Cóż – waha się Thandi. – Nie bardzo mogę je powtórzyć.

– Daj spokój – naciska Liz. – Zdradziłam ci swoje, chociaż było kompletnie do bani.

– Och, niech ci będzie, skoro naprawdę chcesz wiedzieć. Sedno brzmiało mniej więcej tak: „Jezu Chryste, Slim, chyba dostałam kulkę w głowę!”. Tyle że dorzuciłam do tego kilka niecenzuralnych słów, a później umarłam.

Liz śmieje się przez chwilę.

– Przynajmniej powiedziałas krótko i na temat.

Thandi kręci głową.

– A jednak żałuję tych przekleństw. Nie tak zostałam wychowana, a te słowa na zawsze zostaną w moich papierach.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowa, Thandi. Przecież chwilę wcześniej postrzelili cię w głowę, a w tych okolicznościach każdemu mogło się wypsnąć słowo: ku...

Thandi przerywa jej:

– Nie waż się wypowiadać go na głos!

W tej samej chwili w korytarzu pojawia się Aldous Ghent.

– Ojej, mam nadzieję, że wam nie przeszkodziłem – mówi – ale muszę zamienić słówko z Elizabeth.

– Nie – odpowiada Thandi. – Właśnie wychodziłam. – I mówi szeptem do Liz: – Naprawdę się cieszę z naszego spotkania. Tak się bałam, że zostaniesz na tamtym statku na zawsze.

Liz tylko potrząsa głową i zmienia temat.

– Gdzie się zatrzymałaś?

– Mieszkam z moją kuzynką Shelly – chyba ci o niej wspominałam?

– Czy ona... – Liz robi krótką pauzę – ...czuje się już lepiej?

Thandi uśmiecha się.

– Tak, dzięki, że pytasz. Powinnaś nas odwiedzić. Opowiadałam Shelly o tobie. Wpadnij, kiedy tylko będziesz chciała. Ona jest niewiele starsza od nas, więc nie przeszkadza jej, że zapraszam gości.

– Postaram się – mówi Liz.

– Cóż, mam nadzieję, że zrobisz coś więcej – kwituje Thandi, odchodząc.

– Ładne włosy – zauważa Aldous, obserwując oddalającą się Thandi.

– Tak – przyznaje Liz.

– Wiesz, Elizabeth, właśnie wpadłem na fantastyczny pomysł – mówi Aldous. – Wspominałaś wcześniej, że mogłabyś polubić pracę ze zwierzętami, mam rację?

– Tak.

– Właśnie pojawił się pewien wakat i kiedy tylko się o nim dowiedziałem, pomyślałem o tobie. *Hej, Aldousie* – rzekłem do siebie. – *Cóż za wspaniały zbieg okoliczności.* No więc jak, zgadzasz się? – Aldous stoi przed Liz, promieniejąc z radości.

– Hm, ale o co chodzi? – Znowu to słowo!

– No tak, oczywiście! Ze mną tak zawsze: najchętniej jadłbym obiad przed deserem! A raczej deser przed obiadem, bo przecież obiad powinien poprzedzać deser, prawda? Chociaż właściwie... Ach tak, wakat! Chodzi o stanowisko w Sekcji Zwierząt Domowych Wydziału Adaptacji.

– A co to takiego? – pyta Liz.

– Zajmowałabyś się właściwie tym samym co ja – wyjaśnia Aldous Ghent – tylko że twoimi podopiecznymi byłyby zmarłe zwierzątka. Jestem pewien, że świetnie nadawałabyś się do tej roli.

– Hm – odpowiada Liz. *Dlaczego nie mogę się powstrzymać od mówienia „hm”?* – Hm, brzmi ciekawie.

– A tak przy okazji, posługujesz się psim, prawda?

– Psim? – pyta Liz. – Co pan ma na myśli?

– Psi, czyli język psów. A niech mnie, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że nadal nie uczą go w szkołach na Ziemi? – Aldous sprawia wrażenie szczerze przerażonego tą myślą.

Liz kręci przecząco głową.

– Wielka szkoda – mówi Aldous – ponieważ psi to jeden z najpiękniejszych języków. Czy wiesz, że istnieje w nim ponad trzysta słów określających miłość?

Liz myśli o swojej kochanej, pozostawionej na Ziemi Lucy.

– Wierzę, że tak jest – mówi.

– Zawsze uważałem za słabość ziemskiego systemu edukacji, że dzieci uczą się porozumiewania wyłącznie z przedstawicielami własnego gatunku. Co o tym sądzisz? – pyta Aldous.

– Czy skoro nie mówię w... psim, to znaczy, że nie będę mogła pracować w Wydziale... Mógłby pan powtórzyć jego nazwę?

– Wydział Adaptacji, Sekcja Zwierząt Domowych. Niekoniecznie. Jak szybko uczysz się języków obcych, Elizabeth?

– Dość szybko – kłamie Liz. W szkole hiszpański był jej najgorszym przedmiotem.

– Na pewno? – Aldous przekrzywia głowę, przyglądając się Liz z namysłem.

– Tak. I jeśli ma to jakieś znaczenie, za życia chciałam nawet zostać weterynarzem.

– To wspaniały zawód, ale niestety, a raczej na szczęście, do niczego nam niepotrzebny.

Czas i odpoczynek stanowią tu jedyne lekarstwo. To jedna z wielu korzyści płynących z życia w kulturze odwrotnego starzenia się. Gdzie Indziej nie potrzebuje również lekarzy, chociaż mamy pielęgniarki, które opiekują się ludźmi i zwierzętami, oraz pokaźną rzeszę psychologów, terapeutów, psychiatrów i innych specjalistów od zdrowia psychicznego. Nawet wtedy, gdy ciało nic nie dolega, umysł nadal może... Cóż, umysł ma własny rozum. – Aldous wybucha śmiechem. – Znowu zoczyłem z tematu. A zatem – wracając do stanowiska – jest dla ciebie idealne, prawda? – Posyła Liz promienny uśmiech.

Z początku Liz uznała, że ta praca może się jej spodobać, ale teraz nie jest już tego taka pewna. Jaki był sens uczenia się całkiem nowego zajęcia (nie wspominając o całkiem nowym języku), skoro za piętnaście lat i tak miała trafić z powrotem na Ziemię?

– Nie jestem pewna – odpowiada wreszcie.

– Naprawdę? Ale jeszcze przed chwilą wydawałaś się...

Liz nie pozwala mu dokończyć.

– Brzmi super, ale... – Odchrząkuje. – Po prostu uważam, że potrzebuję trochę czasu, by to przemyśleć. W dalszym ciągu przyzwyczajam się do tego, że nie żyję.

Aldous kiwa głową.

– To całkowicie naturalne – mówi, ponownie potakując. Liz wydaje się, że Aldous stara się ukryć za potakiwaniem swoje rozczarowanie.

– Nie muszę podejmować tej decyzji dziś, prawda? – pyta Liz.

– Nie – odpowiada Aldous. – Nie, nie musisz decydować dziś. Wrócimy do tej rozmowy za tydzień. Oczywiście do tego czasu oferta może już być nieaktualna.

– Rozumiem – odpowiada Liz.

– Muszę cię ostrzec, Elizabeth, że im dłużej będziesz zwlekała z rozpoczęciem nowego życia, tym trudniejsze może się to okazać.

– Nowego życia? Jakiego nowego życia? – W jednej chwili głos Liz staje się gniewny, a wzrok – zimny jak lód.

– No, tego – odpowiada Aldous. – Twojego nowego życia.

Liz wybucha śmiechem.

– Tylko tak pan mówi, prawda? Można je nazywać życiem, ale tak naprawdę to po prostu śmierć.

– Jeśli to nie jest życie, to w takim razie co? – pyta Aldous.

– Moje życie jest na Ziemi, a nie tutaj – odpowiada Liz. – Moje życie to rodzina i przyjaciele i właśnie dobiegło ono końca.

– Nie, Elizabeth, absolutnie, kompletnie i całkowicie się mylicz.

– Jestem martwa – mówi, a po chwili wrzeszczy: – JESTEM MARTWA!

– Bycie martwym to niewiele więcej niż stan umysłu – tłumaczy Aldous. – Wielu ludzi na Ziemi pozostaje martwymi przez całe swoje życie, ale jesteś chyba zbyt młoda, by zrozumieć, co mam na myśli.

Tak – myśli Liz. Właśnie o tym mówię. Słyszy, jak zegar wybija piątą.

– Muszę iść, babcia na mnie czeka.

Patrząc za oddalającą się Liz, Aldous woła:

– Obiecuj, że przemyślisz moją propozycję!

Liz nie odpowiada. Odnajduje samochód Betty, zaparkowany przed budynkiem Rejestracji, otwiera drzwi i wsiada. Nie dopuszczając Betty do słowa, Liz pyta:

– Czy mogłybyśmy pojechać na najbliższy Taras Widokowy?

– Och, Liz, tak naprawdę to twój pierwszy wieczór tutaj. Nie wolałabyś zrobić czegoś innego? Na co tylko miałabyś ochotę.

– Jedyne, na co mam ochotę, to zobaczyć mamę, tatę i Alvy'ego. I moją najlepszą przyjaciółkę Zoey. I jeszcze paru innych ludzi, rozumiesz?

Betty wzdycha.

– Jesteś pewna, skarbie?

– Naprawdę bardzo chcę tam pojechać.

– Dobrze – odpowiada w końcu Betty. – Jeden znajduje się w pobliżu naszego domu.

Zwiedzanie

– Mogę pójść z tobą – mówi Betty, zatrzymując samochód na poboczu wąskiej drogi biegnącej równolegle do plaży. – Tak długo nie widziałam Olivii.

– Mama jest teraz stara – odpowiada Liz. – Starsza od ciebie.

– Trudno w to uwierzyć. Dokąd ten czas tak pędzi? – wzdycha Betty. – Nigdy nie lubiłam tego wyrażenia. Brzmi tak, jakby czas pojechał na wakacje i można się było lada dzień spodziewać jego powrotu. „Czas płynie” jest kolejnym sformułowaniem, którego nie cierpię. Wygląda na to, że czas sporo podróżuje. – Betty znowu wzdycha. – To jak, chcesz, żebym z tobą poszła?

Liz nie wyobraża sobie w tej chwili nic gorszego niż towarzystwo Betty.

– To może chwilę potrwać – mówi.

– Te miejsca bywają niebezpieczne, skarbie.

– Dlaczego?

– Ludzie się od nich uzależniają. Są jak narkotyk.

Liz spogląda na czerwoną latarnię morską, na której szczycie widać rząd jasno oświetlonych okien. Przypominają jej zęby. Liz nie może zdecydować, czy latarnia się uśmiecha czy raczej szczyrzy kły.

– Jak mam się dostać do środka? – pyta Liz.

– Idź ścieżką, aż do wejścia. – Betty pokazuje jej przez okno wąską drewnianą promenadę, poszarzałą od wody i czasu, łączącą czerwoną latarnię morską z ładem. – Później wjedź windą na najwyższe piętro. Tam właśnie znajdziesz Taras Widokowy.

Betty sięga po portmonetkę do podręcznego schowka, wyjmując z niej pięć wiecznych i wkłada je Liz do dłoni.

– Opłacisz nimi dwadzieścia pięć minut patrzenia. Wystarczy?

Nie mam pojęcia, ile czasu potrzebuję – myśli Liz. Jak długo może potrwać pożegnanie ze wszystkim i wszystkimi, których się znało? Czy naprawdę wystarczy na to dwadzieścia pięć minut, niewiele dłużej niż odcinek sitcomu bez reklam? Kto wie?

– Tak, dziękuję – odpowiada, zaciskając palce na monetach.

Liz stoi w windzie obok smukłej blondynki, ubranej w luźną, czarną sukienkę. Kobieta cichutko szlocha, ale robi to tak, by inni zwrócili na nią uwagę.

– Dobrze się pani czuje? – pyta Liz.

– Nie, oczywiście, że nie. – Blondynka spogląda na Liz zaczerwienionymi oczami.

– Umarła pani niedawno?

– Nie wiem – odpowiada kobieta. – Ale wolałabym się smucić sama, jeśli pozwolisz.

Liz kiwa głową. Żałuje, że w ogóle się odezwała.

Chwilę później blondynka kontynuuje:

– Opłakuję swoje życie i jestem bardziej zrozpaczona, niż możesz sobie wyobrazić. – Zakłada na nos okulary przeciwsłoneczne w kocich oprawkach. Tak przystrojona nie przestaje chlupać przez resztę drogi.

Taras Widokowy, lub TW, wygląda prawie tak samo jak ten na statku pasażerskim *Nil*, jest tylko trochę mniejszy. W pomieszczeniu na wszystkich ścianach znajdują się okna, przed którymi w schludnych rzędach ustawiono lornetki. Liz zauważa, że nie każdy, kto odwiedza TW, jest równie nieszczęśliwy, jak chlapiąca kobieta w windzie.

W przeszklonej budce obok windy siedzi pulchna kobieta w średnim wieku, z niechlujnie

wyglądającą trwałą na głowie. Gestem dłoni kieruje chlipiącą blondynkę w stronę bramek oddzielających TW od windy. Kobieta reaguje zdawkowym skinieniem głowy i sprawdza swoje odbicie w szybie.

– Ta kobieta jest zakochana we własnym żalu – mówi pracownica TW, kręcąc głową. – Niektórzy ludzie uwielbiają ze wszystkiego robić dramat. – Odwraca się w stronę Liz. – Jesteś tu nowa, więc opowiem ci, co i jak. Pracujemy od siódmej rano do dziesiątej wieczór od poniedziałku do piątku, od dziesiątej do dwunastej w soboty i od siódmej rano do siódmej wieczór w niedziele, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, nie wyłączając świąt. Jeden wieczny pozwala na pięć minut patrzenia. Możesz opłacić sobie tyle czasu, ile chcesz. Cena nie podlega negocjacom. Niezależnie od tego, czy potrzebujesz pięciu, czy stu minut, stawka jest taka sama. Lornetki obsługuje się tak samo, jak te na statku. Naciskasz boczny guzik, żeby uzyskać inny widok, ustawiasz okulary dla wyostrenia obrazu i w razie konieczności obracasz głowę. A tak w ogóle mam na imię Esther.

– Liz.

– Dopiero tu przyjechałaś, Liz? – pyta Esther.

– Skąd pani wie?

– Masz zdumiony wyraz twarzy nowicjusza. Nie martw się, złotko, to minie, obiecuję.

Jak umarłaś?

– W wypadku samochodowym. A pani? – pyta uprzejmie Liz.

– Alzheimer, ale podejrzewam, że to zapalenie płuc było gwoździem do mojej trumny – odpowiada Esther.

– Jak się go pani nabawiła?

– Prawdę mówiąc, nie pamiętam – śmieje się Esther. – Może to i lepiej?

Liz wybiera stanowisko numer 15, zwrócone w kierunku łądu. Po czasie spędzonym na *Nilu* ma serdecznie dość wody. Siada na twardym metalowym taborecie i wkłada monetę do szczeliny.

Zaczyna od obserwacji swojej rodziny. Rodzice siedzą daleko od siebie, po przeciwnych stronach stołu w jadalni. Matka wygląda tak, jakby nie spała od wielu dni. Pali papierosa, chociaż rzuciła, będąc w ciąży z Liz. Ojciec udaje, że rozwiązuje krzyżówkę z „New York Timesa”, choć w rzeczywistości obrysowuje ołówkiem jedną z odpowiedzi (SZOWINIZM) tak długo, aż dziurawi gazetę i zaczyna pisać po obrusie. Tymczasem w salonie Alvy ogląda kreskówki, mimo że jest środek tygodnia, a wtedy rodzice pod żadnym pozorem nie pozwalają, zarówno jemu, jak i Liz, oglądać telewizji. Dzwoni telefon. Matka Liz idzie go odebrać i w tej samej chwili przesłony lornetki opadają.

Zanim Liz wrzuca drugą monetę, matka kończy rozmowę. Alvy wchodzi do jadalni z doniczką na głowie.

– Jestem do niczego – oznajmia dumnie.

– Zdejmij to natychmiast! – krzyczy na Alvy'ego matka. – Arthur, każ swojemu synowi grzecznie się zachowywać!

– Alvy, zdejmij doniczkę z głowy – mówi spokojnym głosem ojciec.

– Ale ja jestem donicz-ego! – upiera się Alvy, chociaż jego żart nikogo nie bawi.

– Alvy, ostrzegam cię. – Głos ojca brzmi już poważnie.

– Och, niech wam będzie. – Alvy zdejmuje doniczkę i wychodzi z pokoju.

Wraca po trzydziestu sekundach. Tym razem trzyma w ustach ucho od starego wiklinowego koszyka.

– Estm hoszychrzarym – oznajmia.

– Co znowu? – pyta matka Liz.

– Jestm koszychrzarzem – powtarza nieco wyraźniej.
– Alvy, wyjmij to z ust – mówi ojciec Liz. – Nie możemy cię zrozumieć.

Alvy wykonuje polecenie.

– Jestem koszykarzem, kapujecie?

Rodzice patrzą na niego niemym wzrokiem.

– Mam w ustach koszyk, więc jestem koszykarzem... – Ojciec Liz jedną ręką zabiera Alvy'emu koszyk, a drugą mierzwi włosy chłopca.

– Wszyscy tęsknimy za Lizzie, ale w ten sposób nie uczysz pamięci siostry.

– Dlaczego? – pyta Alvy.

– Bo stosowanie w żartach rekwizytów zawsze idzie w parze z humorem niskich lotów, synu – poucza go ojciec.

– Chciałem tylko rozbawić mamę – tłumaczy Alvy. – Ostatnio sama jest do niczego – dodaje.

Przesłony zamykają się, przez co Liz nie może zobaczyć reakcji matki. Za następną monetę Liz postanawia poobserwować kogoś innego. Ostatecznie decyduje się na Zooey.

Zooey siedzi na łóżku i rozmawia przez telefon. Jej oczy są zaczerwienione od płaczu.

– Nie mogę uwierzyć, że odeszła – mówi.

No, to rozumiem – myśli Liz. Przynajmniej jedna osoba wie, co oznacza prawdziwa żaloba. Liz nie ma pojęcia, co mówi osoba po drugiej stronie słuchawki, ale smutek Zooey stanowi dla niej wystarczającą zachętę, by słuchać dalej.

– Zerwałam z Johnem. Przecież gdyby nie zaprosił mnie na bal, nie umówiłabym się z Liz w centrum handlowym, a ona by nie... – przerywa Zooey. – Nie! – wykrzykuje zdecydowanie. – Nie chcę tam iść! – Po chwili dodaje łagodniejszym głosem: – Poza tym nawet nie mam sukienki... – Zooey okręca stopą kabel telefonu wokół kostki. – Chyba że tę czarną bez ramiączek... – Przesłona zamyka się po raz kolejny.

Dwa wieczne później Liz nadal nie jest pewna, czy Zooey pójdzie na bal, czy nie. W tym czasie Zooey płacze dwa razy. Jej łzy zdecydowanie poprawiają humor Liz (dziewczynka jest tylko lekko zawstydzona, ponieważ czuje się szczęśliwa, patrząc, jak jej najlepsza przyjaciółka płacze).

Na początku Liz ma wyrzuty sumienia, podsłuchując ukochane osoby, ale poczucie winy szybko mija. Wmawia sobie, że tak naprawdę robi to dla ich dobra. Widzi się w roli pięknego, życzliwego, dobrotliwego anioła, spoglądającego na wszystkich z... z miejsca, w którym się znalazła.

Wychodząc tego wieczoru z latarni morskiej, Liz zrozumiała, że będzie potrzebowała o wiele więcej wiecznych, jeśli chce śledzić poczynania swojej rodziny i przyjaciół. (Wysłuchanie niewielkiej części rozmowy telefonicznej Zooey pochłonęło aż trzy monety.) Obliczyła, że jeśli nie chce zostać w tyle, musi mieć przynajmniej dwadzieścia cztery wieczne dziennie, którymi opłaci dwie godziny patrzenia, co daje pięć minut na każdą godzinę prawdziwego życia.

– Będę potrzebowała więcej wiecznych – oznajmia Liz podczas krótkiej drogi powrotnej do domu Betty. – Miałam nadzieję, że mi je pożyczysz.

– Oczywiście. A na co ich potrzebujesz? – pyta Betty.

– Cóż – mówi Liz – chciałabym spędzić trochę więcej czasu na TW.

– Czy naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł, Liz? – Betty spogląda na nią z troską, która irytuje wnuczkę. – Może będzie lepiej, jeśli poświęcisz ten czas na zastanowienie się nad swoim zajęciem?

Liz spodziewała się takiej odpowiedzi i zdążyła przygotować przekonujący kontrargument.

– Rzecz w tym, Betty, że moja śmierć była bardzo nagła, i mam wrażenie, że to pomogłyby mi znaleźć ukojenie po stracie bliskich, którzy zostali na Ziemi. To nie będzie trwało wiecznie, obiecuję. – Liz czuje się obciachowo, używając wyrażen w rodzaju *znaleźć ukojenie*, ale wie, że to właśnie one najlepiej trafiają do dorosłych.

Betty przytakuje, po czym jeszcze przez chwilę kiwa głową. Najwyraźniej ten gest pozwala jej lepiej zrozumieć argumentację Liz.

– Powinnaś dać sobie tyle czasu, ile będzie trzeba – mówi w końcu Betty i, zgodnie z przewidywaniem Liz, postanawia ofiarować wnuczce potrzebne pieniądze.

Wyposażona w dwadzieścia cztery wieczne na dzień, Liz wypracowuje sobie pewien system. TW jest tak blisko domu Betty, że dziewczyna może dotrzeć na miejsce piechotą. Każdego ranka pojawia się tam zaraz po otwarciu i zostaje aż do zamknięcia.

Liz w dalszym ciągu ma na sobie piżamę, którą nosiła na statku. Nadal jej nie cierpi, ale nie chce kupić sobie nic nowego. Zakłada ją również do snu. Zdejmuje piżamę tylko dwa razy w tygodniu, żeby Betty mogła ją wyprać.

Liz rozkłada swoje dwie godziny na TW na cały dzień, ale czasami zdarza się jej zaszaleć i wykorzystać kilka wiecznych jeden po drugim. Jeśli na oczach Liz dzieje się coś szczególnie ciekawego, potrafi wydać wszystkie pieniądze za jednym razem.

Typowy dzień wygląda tak: o poranku kwadrans patrzenia na rodziców i brata (trzy wieczne), czterdzieści pięć minut obserwowania przyjaciół na zajęciach lekcyjnych (dziewięć wiecznych), pół godziny z Zooney po szkole (sześć wiecznych) i pozostałe pół godziny (sześć wiecznych) według uznania.

Największą przyjemność sprawia Liz obserwowanie kolegów, którzy wspominają ją w szkole. Z początku mówią o Liz dość często, lecz w miarę upływu czasu (zresztą niezbyt długiego) tych uwag jest coraz mniej. Tylko Edward, były chłopak Liz, i Zooney nadal regularnie o niej rozmawiają. Za życia nastolatki Zooney i Edward nie byli przyjaciółmi – Zooney nawet namawiała Liz do zerwania z nim. Nagłe zbliżenie się tych dwojga sprawia dziewczynie radość.

Liz wie, że rodzina nadal o niej myśli, ale rzadko ją wspomina. Chciałaby, żeby częściej o niej rozmawiali. Matka regularnie sypia w łóżku Liz. Czasami zakłada też jej ubrania, chociaż są na nią za ciasne. Ojciec Liz, profesor antropologii na Uniwersytecie Tufts, wziął urlop i spędza całe dnie i noce przed telewizorem, oglądając talk-showy. Swoje niepoahamowane zainteresowanie talk-showami usprawiedliwia przed matką Liz zbieraniem materiałów do książki o powodach popularności takich programów. Alvy wciąż zabawia rodzinę jedynymi w swoim rodzaju żartami-rebusami z wykorzystaniem rekwizytów, mimo dobitnych dowodów na to, że nikogo one nie bawią. Liz patrzy na swojego brata odgrywającego *wyjście z cienia*, *porywającego się z motyką na słońce* i *patrzącego jak sroka w gnat*. Najbardziej podoba jej się *lekkoduch*, do którego zaprezentowania Alvy potrzebuje prześcieradła oraz talentu aktorskiego.

Pewnego razu Liz podgląda, jak rodzice uprawiają seks. Odczuwa przy tym jednocześnie obrzydzenie i fascynację. Gdy jest już po wszystkim, matka płacze, a ojciec włącza telewizor, żeby złapać ostatnie pół godziny ulubionego programu. Obejrzenie całej tej sceny kosztuje Liz mniej niż jeden wieczny.

Patrząc na swoich rodziców, Liz myśli o tym, że pewnie nigdy nie będzie uprawiać seksu. Prawdopodobnie spędzi najbliższe piętnaście lat w samotności.

W przerwach między oglądaniem pięciominutowych fragmentów dawnego świata Liz czasami bawi się szwami nad uchem. Jakoś nie może się zebrać na odwagę i zapytać Betty o to, gdzie powinna pójść, żeby się ich pozbyć. Lubi czuć ich obecność.

Liz odwiedza TW na tyle często, by znać jego bywalców. Są wśród nich staruszki zajęte

robieniem na drutach, które od czasu do czasu niedbale zerkają przez lornetkę. Są też oszalałe młode matki z pozornie niewyczerpanym zapasem monet. Matki przypominają Liz graczy na automatach, których widziała kiedyś podczas wakacji w Atlantic City.

Kolejną grupę stanowią biznesmeni wykrzykujący w stronę lornetek polecenia, jakby ktoś na Ziemi w ogóle mógł ich usłyszeć. Liz uważa, że zachowują się równie niedorzecznie, jak jej ojciec, który podczas oglądania meczów piłki nożnej pokrzykuje w stronę telewizora.

Jest i młody (choć starszy od Liz) mężczyzna, który pojawia się raz w tygodniu, w czwartkowe wieczory. Mimo że przychodzi po zmroku, zawsze ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, siada przy tym samym stanowisku z numerem siedemnaście, a w skórzanej saszetce przynosi równo dwanaście wiecznych. Za każdym razem przebywa tam godzinę i ani minuty dłużej, po czym wychodzi.

Pewnego wieczoru Liz postanawia go zaczepić.

– Kogo przyszedł pan zobaczyć? – pyta.

– Słucham? – Młody mężczyzna odwraca się, zaskoczony.

– Widuję pana tutaj co tydzień i zastanawiam się nad tym, kogo pan obserwuje – wyjaśnia

Liz.

Mężczyzna kiwa głową.

– Moją żonę – odpowiada po chwili.

– Nie jest pan za młody na to, żeby mieć żonę? – pyta Liz.

– Nie zawsze byłem taki młody. – Uśmiecha się smutno.

– Szczęściarz z pana – mówi Liz, obserwując oddalającego się mężczyznę. – Do zobaczenia w czwartek – szepcze tak cicho, by nie mógł jej usłyszeć.

Spędzanie całych dni na TW w końcu uświadamia Liz, jak niewygodne są metalowe taborety, znajdujące się przy stanowiskach obserwacyjnych. Pewnego dnia pyta o nie Esther, pracownicę TW.

– No cóż, Liz – mówi Esther – kiedy krzesło wydaje ci się niewygodne, to zwykle znak, że siedziałas na nim zbyt długo.

Czas płynie jednocześnie powoli i szybko. Pojedyncze godziny, minuty i sekundy zdają się wlec, a jednak od jej przyjazdu minął prawie miesiąc. Przez ten czas Liz tak wyspecjalizowała się w uzupełnianiu monet, by przerwy między pięciominutowymi obrazami były jak najkrótsze. Pod jej oczami od przyciskania twarzy do lornetki powstały głębokie obwódki.

Co jakiś czas Betty pyta Liz, czy zaczęła się zastanawiać nad wyborem zajęcia.

– Potrzebuję trochę więcej czasu. – Z ust Liz pada za każdym razem ta sama odpowiedź. Betty wzdycha. Nie chce na nią naciskać.

– Znowu dzwonili do ciebie Thandiwe Washington i Aldous Ghent.

– Dzięki. Spróbuję do nich oddzwonić jeszcze w tym tygodniu – kłamie Liz.

Tego wieczoru Liz widzi, jak Betty klęczy przy łóżku i modli się do swojej córki.

– Olivio – szepcze. – Nie chcę ci dokładać zmartwień, bo dopiero co dostałaś od życia w kość, ale nie wiem, jak pomóc Elizabeth. Proszę, ześlij mi jakiś znak, żebyśmy wiedziała, co mam robić.

– Elizabeth, dzisiaj wychodzimy – ogłasza następnego ranka Betty.

– Mam już plany – protestuje Liz.

– Jakie?

– TW – mamrocze pod nosem Liz.

– Możesz się tam wybrać jutro. Dzisiaj idziemy zwiedzać.

– Ale Betty...

– Żadnych ale. Jesteś tutaj od czterech tygodni, a niczego jeszcze nie widziałaś.
 – Widziałam różne rzeczy – mówi Liz.
 – Taaak? Na przykład jakie? To, co na Ziemi, się nie liczy.
 – Dlaczego? – dziwi się Liz.
 – Po prostu nie i już. – Betty jest nieustępliwa.
 – Nie chcę zwiedzać – marudzi Liz.
 – W takim razie masz pecha – odpowiada Betty. – Dzisiaj i tak nie dam ci pieniędzy na TW, więc nie masz wielkiego wyboru.
 Liz wzdycha.
 – Czy mogłabyś założyć coś innego niż tę starą, brudną piżamę? To chyba nie jest niemożliwa do spełnienia prośba? – mówi Betty.
 – Nie – odpowiada Liz.
 – Pożyczę ci ubranie, a jeśli nie chcesz, możemy coś kupić po...
 – Nie – przerywa jej Liz.
 Po wyjściu z domu Betty opuszcza dach kabrioletu.
 – Chcesz prowadzić? – pyta.
 – Nie. – Liz otwiera drzwi od strony pasażera i wsiada do samochodu.
 – W porządku – odpowiada Betty, zapinając pas. Po chwili jednak dodaje: – A właściwie, dlaczego nie? Powinno ci na tym zależeć.
 Liz wzrusza ramionami.
 – Ale nie zależy.
 – Nie jestem zła z powodu tamtego wieczoru, jeśli o to ci chodzi – oznajmia Betty.
 – Posłuchaj mnie, Betty. Nie chcę prowadzić, ponieważ nie chcę prowadzić. Nie kryje się za tym żadna tajemnica. Poza tym, jeśli celem naszej wycieczki jest zwiedzanie, to jak miałabym to robić, gdybym przez cały czas koncentrowała się na prowadzeniu?
 – Chyba rzeczywiście byłoby ci trudno – przyznaje Betty. – Nie zapniesz pasów?
 – A po co? – dziwi się Liz.
 – Z tego samego powodu co na Ziemi – żeby nie rozkwasić nosa o deskę rozdzielczą.
 Liz przewraca oczami, ale zapina pasy.
 – Pomyślałam, że możemy pojechać na plażę – mówi Betty. – Masz ochotę?
 – Umiarkowaną – odpowiada Liz.
 – Gdzie Indziej ma fantastyczne plaże, wiesz?
 – Cudownie. Obudź mnie, jak dojedziemy na miejsce. – Chcąc uniknąć dalszej rozmowy, Liz zamyka lewe oko i udaje, że śpi, a prawym ogląda przesuwane się za oknem widoki.
 Liz zastanawia się nad tym, jak bardzo Gdzie Indziej przypomina Ziemię. To podobieństwo zapiera jej dech w piersiach. Oczywiście zauważa także różnice – jak to zwykle bywa, diabeł tkwi w szczegółach. Uwagę Liz przyciąga kino samochodowe. Wcześniej widziała je tylko na starych fotografiach. Na autostradzie sześć, może siedmioletnia dziewczynka, ubrana w elegancką garsonkę, prowadzi samochód. W oddali Liz spostrzega Wieżę Eiffla i Statuę Wolności, obie wystrzyżone z żywopłotu. Wzdłuż drogi zauważa serię niewielkich drewnianych tabliczek, ustawionych w odległości mniej więcej dziesięciu metrów. Na każdej z nich widnieje jedna linijka rymowanki:

CHOCIAŻ UMARŁEŚ, TWA BRODA
 PORASTA TWARDĄ SZCZECINĄ.
 KOBIECIOM SIĘ TO NIE PODOBA,
 NAWET GDY SAME NIE ŻYJĄ.
 BURMA SHAVE

– Co to jest Burma Shave? – pyta Liz.

– Krem do golenia. Kiedy żyłam, wszystkie autostrady w Ameryce były usiane takimi drewnianymi tabliczkami – odpowiada Betty. – Większość z nich została wyparta przez billboardy, jeszcze zanim się urodziłaś, ale swego czasu były bardzo popularne, o ile tabliczka może się cieszyć popularnością – śmieje się Betty. – Wkrótce się przekonasz, że Gdzie Indziej to również miejsce spoczynku wielu rzeczy, które kiedyś były modne.

– Aha.

– Myślałam, że śpisz – mówi Betty, zerkając na Liz.

– Śpię – odpowiada Liz, zamykając lewe oko.

Liz zauważa, że Gdzie Indziej jest ciszej niż na Ziemi. Musi również przyznać, że na swój sposób jest tu pięknie. Trochę chaotycznie, ale naprawdę miło. Mimo wszystko Liz nadal nienawidzi tego miejsca.

Po około godzinie jazdy Betty budzi Liz, która w końcu naprawdę zasnęła.

– Jesteśmy na miejscu – oświadcza.

Liz otwiera oczy i wygląda przez okno.

– Rzeczywiście, wygląda mi to na plażę – mówi. – Podobną do tej obok twojego domu.

– Czasami podróż bywa ważniejsza od dotarcia do celu – zauważa Betty. – Nie masz ochoty wysiąść z samochodu?

– Nie, nie bardzo – odpowiada Liz.

– Chodźmy przynajmniej do sklepu z upominkami, tak dla rozprostowania nóg – prosi Betty. – Może kupimy ci jakąś pamiątkę?

Liz spogląda z powątpiewaniem na chatkę ze słomianym dachem, stojącą blisko morskiego brzegu. Biorąc pod uwagę konstrukcję i położenie budynku, sklep wygląda tak, jakby najdrobniejszy podmuch wiatru był w stanie zmieść go z powierzchni ziemi. Na werandzie chatki wisi ciężka, niepasująca do całości, metalowa tabliczka:

SZKODA, ŻE CIĘ TU NIE MA

Drobiazgi, ozdóbki, bibeloty,
świecidelka, cacuszka, błyskotki, pieścidelka
i inne cuda-wianki dla wymagającego klienta

– No więc jak będzie? – Betty uśmiecha się do Liz.

– A komu właściwie miałabym kupić tę pamiątkę? – pyta Liz.

– Sobie.

– Pamiątki kupuje się po to, by obdarować nimi kogoś po powrocie z podróży – prychna Liz. – Nie znam tu nikogo i nigdzie nie wracam.

– Jeszcze nie – odpowiada Betty. – Chodź, kupię ci, co tylko będziesz chciała.

– Nie chcę – mówi Liz, wchodząc za Betty do sklepu z tandetą. W środku nie ma żywego ducha. Obok kasy stoi puszka po zupie i wisi karteczka: *Poszedłem na lunch. Zostaw zapłatę w puszcze. A tak między nami, postaraj się zrobić dobry interes.*

Chcąc sprawić Betty przyjemność, Liz wybiera zestaw sześciu pocztówek z Gdzie Indziej i plastikową śnieżną kulę, ze znajdującą się wewnątrz miniaturką statku pasażerskiego *Nil*, zatopionego w wodzie barwy mdłego błękitu. Na dole kuli widnieje czerwony napis: SZKODA, ŻE CIĘ TU NIE MA.

– Chcesz ręcznik plażowy Gdzie Indziej? – pyta Betty, patrząc, jak Liz kładzie obydwie artykuły na ladzie.

– Nie, dziękuję – odpowiada Liz.

– Jesteś pewna?
– Tak – mówi krótko.
– A może koszulkę?
– Nie! – krzyczy Liz. – Nie chcę żadnej cholernej koszulki, ręcznika plażowego ani niczego innego! Jedyne, czego pragnę, to wrócić do domu!
– W porządku, skarbie – mówi Betty z westchnieniem. – Zaczekaj na mnie na zewnątrz. Muszę tylko to wszystko podliczyć.
Liz wybiega ze sklepu jak burza, trzymając w rękę śnieżną kulę, i wsiada do samochodu. Kiedy potrząsa zakupioną pamiątką, małeńki statek zaczyna zaciekle walczyć z falami pod plastikową kopułą. Liz jeszcze mocniej potrząsa zabawką. Ohydny, stęchły, błękitny płyn sączy się na jej dłoń. W miejscu, w którym sklejo no dwie połówki kuli, znajduje się wąska szczelina. Liz otwiera drzwi samochodu i wyrzuca przez nie śnieżną kulę, która, zamiast pęknąć, czy się rozbić, odbija się po powierzchni parkingu niczym kauczukowa piłka, zatrzymując się dopiero u stóp małej dziewczynki, ubranej w różowe bikini w kropki.
– Coś ci wypadło! – woła dziecko.
– Tak – przyznaje Liz.
– Nie chcesz tego z powrotem? – Dziewczynka podnosi śnieżną kulę z ziemi. Liz kręci głową.
– Mogę ją sobie wziąć? – pyta.
– Proszę bardzo – odpowiada Liz.
– W tych stronach niebo nie pada prawie nigdy – mówi dziewczynka. Przekręca kulę do góry nogami, tak że cały śnieg skupia się na dnie plastikowej kopuły, i przykłada mały palec do szczeliny.
– Co masz na myśli? – pyta Liz.
– To. – Dziewczynka ponownie przekręca kulę.
– Mówisz o śniegu – odpowiada Liz. – Chcesz powiedzieć, że tutaj nie pada.
– Niezbyt często, niezbyt często, niezbyt często – śpiewa dziewczynka i podchodzi do Liz. – Jesteś duża.
Liz wzrusza ramionami.
– Ile masz latek? – pyta dziewczynka.
– Piętnaście.
– A ja cztery.
Liz spogląda na dziecko.
– Jesteś prawdziwą małą dziewczynką czy taką na niby?
Dziewczynka szeroko otwiera oczy.
– O co ci chodzi?
– Naprawdę masz cztery lata czy tylko udajesz czterolatkę? – pyta Liz.
– O co ci chodzi?! – Dziewczynka podnosi głos.
– Zawsze miałaś cztery lata czy kiedyś byłaś duża?
– Nie wiem. Mam cztery lata. Cztery! – krzyczy. – A ty jesteś wredna. – Dziewczynka rzuca śnieżną kulę pod nogi Liz i ucieka.
Liz podnosi zabawkę i potrząsa nią ponownie. Odsącza z niej resztkę błękitnego płynu, dopóki w kuli nie zostaje tylko garstka kryształków imitujących śnieg.
Ze sklepu wyłania się Betty z papierową torbą w ręce.
– Kupiłam ci to – mówi do Liz, rzucając w jej stronę zawiniątko. W środku znajduje się koszulka z napisem: MOJA BABCIA POJECHAŁA GDZIE INDZIEJ I JEDYNE, CO MI KUPIŁA, TO TA PASKUDNA KOSZULKA.

Po raz pierwszy tego dnia Liz się uśmiecha.

– Naprawdę jest paskudna – mówi Liz, zakładając koszulkę na piżamę.

– Pomyślałam, że ci się spodoba – mówi Betty. – Powiedziałam sobie: niewiele jest sytuacji, w których taka koszulka nadaje się na prezent – śmieje się.

Liz po raz pierwszy naprawdę na nią patrzy. Betty ma ciemnobrązowe włosy, a wokół oczu delikatne zmarszczki od śmiechu. *Betty jest ładna* – myśli Liz. *Betty wygląda jak mama. Jest też podobna do mnie i ma poczucie humoru...* Nagle Liz uzmysławia sobie, że jej babcia ma pewnie lepsze rzeczy do roboty, niż zamartwianie się gburowatą nastolatką. Chce ją przeprosić za dzisiejszy dzień i całą resztę. Chce powiedzieć, że Betty nie jest winna tej sytuacji i Liz to rozumie.

– Betty... – mówi łagodnie.

– Tak, skarbie, co się stało?

– Ja... Ja chciałam... – zaczyna Liz. – Chciałam ci powiedzieć, że moja śnieżna kula przecieka.

Tego wieczoru Liz wypisuje wszystkie sześć pocztówek z Gdzie Indziej: po jednej do rodziców, Zooei, Edwarda, Lucy i Alvy'ego. Ostatnią przeznacza dla swojego nauczyciela biologii, który nie przyszedł na pogrzeb.

Drogi Doktorze Fujiyamo,

Zapewne słyszał Pan o tym, że nie żyję, przez co nie będę mogła uczestniczyć w tym roku w jarmarku naukowym. Jestem tym bardzo rozczarowana i podejrzewam, że Pan również. Mam wrażenie, że przed śmiercią naprawdę zaczęłam robić postępy z tymi dżdżownicami.

Bardzo podobały mi się Pana zajęcia i zamierzam kontynuować naukę na własną rękę w miejscu, w którym ~~teraz żyję~~ się teraz znajduję. Sekcja świńskich zwłok wydała mi się naprawdę ciekawa i miałam nadzieję jej spróbować. Niestety, nie ma tutaj żadnych świńskich zwłok, których sekcję mogłabym przeprowadzić.

Tutaj wcale nie jest tak źle. Przez większość czasu mamy ładną pogodę. Mieszkam ze swoją babcią Betty, która choć jest stara, wygląda młodo (długo by tłumaczyć).

Byłam zawiedziona, nie widząc Pana na swoim pogrzebie, ponieważ był Pan moim ulubionym nauczycielem, nie wyłączając zerówki i szkoły podstawowej. Proszę nie myśleć, że próbuję Pana wpędzić w wyrzuty sumienia, nic z tych rzeczy, Doktorze F. J

Pozdrawiam,

Elizabeth Marie Hall,

Pańska uczennica

Liz nakleja znaczki na wszystkie sześć pocztówek i wrzuca je do skrzynki, chociaż żadna z nich nigdy nie dotrze do adresata. Z powodu braku adresu zwrotnego Liz ma pewność, że do niej nie wrócą. Myśli, że byłoby miło wysłać pocztówkę do kogoś, kto miałby szansę ją otrzymać.

*

Po powrocie na TW Liz zaczyna drażnić oglądanie życia w pięciominutowych urywkach. Kiedy tylko uda jej się wciągnąć w jakąś historię, przesłony na lornetce się zatrząskują. Ma wrażenie, że zawsze coś ją omija. Dla przykładu: zbliża się bal. Zooei niedawno podjęła decyzję,

że mimo wszystko pójdzie na niego z Johnem. A skoro się tam wybiera, Liz chciałaby zobaczyć całą imprezę bez chwili przerwy. Może gdyby miała czterdzieści osiem wiecznych zamiast dwudziestu czterech, lepiej by sobie poradziła? Liz postanawia poprosić Betty o więcej monet.

– Betty, przydałoby mi się trochę więcej wiecznych.

– A dokładnie ile? – pyta Betty.

– Myślałam o czterdziestu ośmiu dziennie.

– To trochę dużo, skarbie.

– Kiedyś ci je zwrócę – obiecuje Liz.

– Nie chodzi o to. Po prostu martwię się, że spędzasz tyle czasu na Tarasie Widokowym.

– Wiesz, że nie jesteś moją matką.

– Wiem, Liz, a mimo to się martwię.

– Boże, nienawidzę tego! – Liz wybiega z pokoju i rzuca się na łóżko. Leżąc, postanawia przez trzy dni dać sobie spokój z TW, żeby zaoszczędzić wieczne na bal. To wielkie poświęcenie. Z braku przyjaciół i jakiegokolwiek zajęcia Liz spędza ten czas w swoim pokoju w domu Betty, zamartwiając się, że jest w tyle ze wszystkim, co dzieje się u jej bliskich. Trzy dni zdają się ciągnąć bez końca, ale udaje jej się zaoszczędzić dość pieniędzy, by zobaczyć cały bal.

Liz namawia Esther, by pozwoliła jej zostać po zamknięciu. Kobieta nie zgadza się oficjalnie, ale pokazuje dziewczynie, gdzie znajdują się wyłączniki światła.

W noc balu Liz obserwuje, jak Zooey je truskawki zamoczone w czekoladzie, robi sobie pamiątkowe breloczki do kluczy ze zdjęciem i snuje się po parkiecie w rytm ckliwej ballady. Niedługo potem widzi, jak Zooey traci cnotę w wystawnym pokoju w hotelu, w którym odbywa się bal. Z szacunku dla Zooey Liz obserwuje ją tylko przez trzydzieści sekund i zakrywa dłonią prawe oko. Szczególną uwagę Liz zwraca suknią balowa Zooey. Sukienka, w której wyborze miała jej pomóc, leży zwinięta w kłębek w kącie pokoju.

Liz wychodzi na długo przed końcem balu, całe dwie godziny przed zamknięciem TW. Nie ma ochoty rozmawiać z Betty, ale nie wie też, dokąd pójść. W końcu postanawia posiedzieć na ławce w parku, niedaleko jej domu.

Po chwili do Liz przysiada się biały puchaty piesek boloński.

Jego szczenięcie brzmi ludzako podobnie do „cześć”.

W geście powitania Liz klepie psa po głowie. Tak samo witała się z Lucy. Zaczyna tęsknić za domem jeszcze bardziej niż przedtem.

Pies przekręca łepkę.

– Wyglądasz na przygnębioną.

– Może trochę.

– Co cię gryzie? – pyta pies.

Liz przez chwilę zastanawia się nad pytaniem, nim w końcu odpowiada:

– Jestem samotna, a poza tym nienawidzę tego miejsca.

Pies kiwa głową.

– Czy mogłabyś mnie podrapać pod obrozą, z tyłu karku? Nie sięgam tam łapą.

Liz spełnia jego prośbę.

– Dziękuję. Od razu mi lepiej. – Pies wyraża swoje zadowolenie głośnym prychnięciem. –

A więc jesteś samotna i nienawidzisz tego miejsca?

Liz kiwa głową.

– Mam dla ciebie radę: przestań być samotna i nienawidzić tego miejsca. W moim przypadku to zawsze działa – mówi pies. – O, i jeszcze jedno: bądź wesoła! Łatwiej jest być wesołym niż smutnym. Bycie smutnym kosztuje sporo wysiłku. To okropnie wyczerpujące.

Z drugiego końca parku dobiega kobiecy głos:

- ARNOLD!
- Muszę lecieć! Moja pani mnie woła! – Pies zeskakuje z ławki. – Do zobaczenia!
- Do zobaczenia – odpowiada Liz, ale psa już przy niej nie ma.

Szczęśliwa taksówka

Od dnia balu Liz daje sobie spokój z oglądaniem Zooney i kolegów ze szkoły. Teraz obserwuje wyłącznie swoją najbliższą rodzinę.

Pewnego wieczoru, tuż przed zamknięciem TW, Liz zadaje Esther pytanie:

– Jak w ogóle działają lornetki?

Esther robi zdziwioną minę.

– Powinnaś to wiedzieć. Wkładasz monetę, a później...

Liz nie pozwala jej dokończyć.

– Chodziło mi o to, jak naprawdę działają. Spędzam tutaj praktycznie całe dni, a nie mam o tym zielonego pojęcia.

– Podejrzewam, że tak jak wszystkie lornetki. Kilka wypukłych szkieł umieszczonych w dwóch cylindrycznych rurkach pozwala zobaczyć obraz...

Liz ponownie jej przerywa.

– Tak, to też wiem. Uczyłam się tego mniej więcej w piątej klasie.

– Wygląda na to, że wiesz wszystko, Liz, więc nie rozumiem, dlaczego w ogóle zwracasz mi głowę.

Liz ignoruje uwagę Esther.

– Tylko że Ziemia jest bardzo daleko, a te lornetki nie wydają się szczególnie mocne. Jak to możliwe, że widać przez nie wszystko, co dzieje się na Ziemi?

– Może tu właśnie jest pies pogrzebany, może Ziemia wcale nie jest tak daleko.

Liz prycha.

– To piękna myśl, Esther.

– Prawda? – uśmiecha się kobieta. – Wyobrażam to sobie jako drzewo, bo każde z nich tak naprawdę składa się z dwóch drzew: tego z gałęziami, które wszyscy widzą, i tego do góry nogami, rosnącego pod ziemią w odwrotną stronę. Ziemia to gałęzie wyciągnięte w stronę nieba, a Gdzie Indziej – korzenie, rosnące co prawda w przeciwnym kierunku, ale z zachowaniem idealnej symetrii. Gałęzie nie bardzo przejmują się korzeniami, a korzenie być może nie bardzo przejmują się gałęziami, lecz przez cały czas są połączone z pniem, rozumiesz? Chociaż może się wydawać, że jedne są bardzo oddalone od drugich, to jest to tylko złudzenie. Zawsze jesteśmy połączeni, nawet jeśli nie zdajemy sobie z tego...

– Esther! – Liz po raz trzeci wchodzi jej w słowo. – Ale na jakiej zasadzie działają lornetki? Skąd wiedzą, co chcę zobaczyć?

– To tajemnica – odpowiada Esther. – Mogę ci ją zdradzić, ale wtedy musiałabym cię zabić.

– To wcale nie jest śmieszne. – Liz zbiera się do odejścia.

– W porządku, Lizzie, powiem ci. Podejdz naprawdę blisko, a wyszepczę ci to do ucha. Liz wykonuje jej polecenie.

– Zapytaj mnie jeszcze raz – mówi Esther – i użyj słowa „proszę”.

– Esther, powiedz mi, proszę, jak działają lornetki.

Esther pochyla się do ucha Liz i szepcze:

– To... – zawieszają głos – magia. – Po czym wybuchają śmiechem.

– Nie wiem, po co w ogóle z tobą rozmawiam.

– Nie masz przyjaciół i jesteś strasznie samotna.

– Dzięki. – Liz wybiega z TW wzburzona.

– Do zobaczenia jutro, Liz – woła za nią radośnie Esther.
Nadchodzi dwunasty sierpnia: na Ziemi Liz obchodziłaby swoje szesnaste urodziny. Tutaj spędza go tak samo, jak każdy inny dzień, czyli na TW.

– Lizzie kończyłaby dzisiaj szesnaście lat – mówi matka Liz do jej ojca.

– Wiem.

– Myślisz, że kiedyś uda im się znaleźć człowieka, który to zrobił?

– Nie wiem – odpowiada ojciec. – Mam nadzieję – dodaje.

– To była taksówka! – Liz krzyczy na lornetkę. – STARA, ŻÓŁTA TAKSÓWKA Z ODŚWIEŻACZEM POWIETRZA W KSZTAŁCIE CZTEROLISTNEJ KONICZYNY, ZWISAJĄCYM ZE WSTECZNEGO LUSTERKA!

– Oni cię nie słyszą – poucza Liz jedna ze staruszek.

– Wiem o tym – syczy Liz. – Ćśśś!

– Dlaczego się nie zatrzymał? – pyta swojego męża matka Liz.

– Nie mam pojęcia. Przynajmniej znalazł budkę telefoniczną i wezwał pogotowie, choć w ostatecznym rozrachunku to i tak nie miało znaczenia.

– Mimo wszystko powinien się zatrzymać. – Matka Liz zaczyna płakać. – To jasne, że kiedy potrąca się piętnastoletnie dziecko, należy stanąć, prawda? Tak postąpiłby każdy porządny człowiek, mam rację?

– Nie wiem, Olivio. Kiedyś tak myślałem – odpowiada ojciec Liz.

– I nie wierzę, że nikt niczego nie widział! Ktoś musiał coś zobaczyć, ktoś musi wiedzieć, ktoś musi...

Czas Liz się kończy i przesłony w lornetce opadają. Liz stoi w miejscu, po prostu wpatruje się w czern i pozwala, by spowiła ona również jej umysł.

Liz jest wściekła na wiadomość o tym, że sprawca wypadku, w którym zginęła, zbiegł z miejsca zdarzenia. *Ktokolwiek mnie potrącił, powinien za to zapłacić* – myśli. *Ktokolwiek mnie potrącił, powinien trafić do więzienia na bardzo długo.* Dokładnie w tym momencie Liz postanawia znaleźć taksówkarza, a następnie sposób, by powiedzieć o wszystkim swoim rodzicom. Wrzuca jeden wieczny do szczeliny i zaczyna przeczesać teren Wielkiego Bostonu w poszukiwaniu starych żółtych taksówek z odświeżaczem powietrza w kształcie czterolistnej koniczyny, zwisającym ze wstecznego lusterka.

Liz systematycznie szuka szczęśliwej taksówki (jak ją nazwała), obserwując parkingi i dyspozytornie wszystkich korporacji taksówkarskich obsługujących teren wokół galerii handlowej Cambridgeside. Mimo że istnieją tylko cztery takie firmy, Liz potrzebuje całego tygodnia – i ponad pięćset wiecznych – by zlokalizować szczęśliwą taksówkę. Liz zdobywa dodatkowe wieczne, prosząc Betty o pieniądze na zakup ubrań. Betty jest szczęśliwa, że może jej pomóc, i nie zadaje zbędnych pytań. Po prostu zaciska kciuki i ma nadzieję, że Liz powoli oswaja się z sytuacją.

Z licencji taksówkarskiej wynika, że kierowca nazywa się Amadou Bonamy, pracuje dla firmy Trzy Asy Taxi i prowadzi taryfę numer 512. Liz natychmiast rozpoznaje samochód, w którym nadal wisi odświeżacz powietrza w kształcie czterolistnej koniczyny, starszy od Alvy'ego, a może nawet od Liz. Patrząc na tę taksówkę, dziewczynka jest zdumiona, że auto nie rozpadło się pod wpływem zderzenia z jej ciałem.

W dzień po namierzeniu taksówki Liz podgląda jej kierowcę. Amadou Bonamy jest wysoki, ma czarne, kręcone włosy i skórę koloru skorupy orzecha kokosowego. Jego żona jest w ciąży. Wieczorami Amadou uczy się na zajęcia na Uniwersytecie Bostońskim. Zawsze pomaga ludziom z bagażem, jeśli akurat odwozi ich na lotnisko. Nigdy nie wybiera celowo dłuższej trasy, nawet jeśli pasażerowie są spoza miasta. Liz zauważa, że Amadou zazwyczaj jeździ powoli i

zdaje się niemal obsesyjnie przestrzegać zasad ruchu drogowego. Mimo oplakanego stanu, w jakim znajduje się jego samochód, Amadou dba o niego, codziennie odkurzając siedzenia. Opowiada pasażerom głupie dowcipy, słucha Narodowego Radia Publicznego, kupuje chleb w tej samej piekarni co mama Liz, a jego syn chodzi do tej samej szkoły co Alvy, poza tym...

Liz odsuwa się od lornetki. Nagle dociera do niej, że nie chce wiedzieć nic więcej na temat Amadou Bonamy'ego. Amadou Bonamy jest mordercą. *Jest moim mordercą* – myśli. Musi zapłacić za to, co zrobił. Jej matka miała rację: to nie w porządku, by kierowcy starych żółtych taksówek potracali ludzi i zostawiali ich na ulicy na pewną śmierć. Serce Liz wali jak szalone. Musi znaleźć sposób, by powiedzieć rodzicom o Amadou Bonamym. Wstaje i wychodzi z Tarasu Widokowego, pobudzona do działania i pełna życia. Od dawna się tak nie czuła.

Wychodząc z budynku, Liz mijają Esther.

– Miło cię widzieć przynajmniej raz wychodzącą stąd za dnia – mówi Esther.

– Hm... – Liz zatrzymuje się. – Esther, pewnie nie będziesz wiedziała, jak nawiązać

Kontakt z żyjącymi, co?

– Kontakt? – powtarza Esther. – Po co w ogóle o to pytasz? Kontakt jest dla cholernych głupców. Jeszcze nic dobrego nie wynikło z rozmowy z żyjącymi, same kłopoty i ból. A Bóg jeden wie, że i bez tego mamy ich dość.

Liz wzdycha. Sądząc po reakcji Esther, wie już, że nie z każdym może rozmawiać o Kontakcie. Na pewno nie z Betty, która już i tak martwi się o Liz, ani z Thandi, prawdopodobnie wściekłą za to, że Liz do niej nie oddzwania, czy Aldousem Ghentem, który nigdy w życiu nie pomógłby jej w nawiązaniu Kontaktu. Mogła się zwrócić tylko do jednego człowieka, a mianowicie do Curtisa Jesta. Niestety Liz nie widziała go od dnia ich pogrzebów, jeszcze na *Nilu*.

Nieco wcześniej Gdzie Indziej dotarło kilka nowych historii na temat śmierci Curtisa. Ponieważ był gwiazdą rocka i celebrytą, ludzie interesowali się jego przybyciem. Najzabawniejszy w tym wszystkim był fakt, że większość z nich nigdy nawet nie słyszała jego muzyki. Curtis cieszył się popularnością wśród osób z pokolenia Liz, a Gdzie Indziej było ich stosunkowo niewiele. Siłą rzeczy zainteresowanie nim szybko minęło. Do dnia urodzin Liz Curtis Jest popadł w całkowite zapomnienie.

Liz postanawia zebrać się na odwagę i zadzwonić do Thandi, która pracuje teraz w stacji telewizyjnej jako spikerka: odczytuje nazwiska osób, które wkrótce przybędą Gdzie Indziej, żeby bliscy mogli po nie wyjść na deptak. Liz sądzi, że Thandi może wiedzieć coś na temat miejsca pobytu Curtisa.

– Dlaczego chcesz z nim rozmawiać? – pyta Thandi. W jej głosie słychać wrogość.

– Tak się składa, że jest bardzo interesującą osobą – odpowiada Liz.

– Podobno został rybakiem – mówi Thandi. – Prawdopodobnie znajdziesz go w porcie.

Rybakiem? – dziwi się Liz. Łowienie ryb wydaje się takie zwyczajne i nie ma większego sensu.

– Dlaczego Curtis Jest miałby być rybakiem? – pyta Liz.

– Nie mam zielonego pojęcia. Może lubi łowić ryby? – zgaduje Thandi.

– Ale Gdzie Indziej są muzycy. Dlaczego Curtis nie chciał zostać jednym z nich?

Thandi wzdycha.

– Już to kiedyś zrobił, Liz, i najwyraźniej ten wybór wcale go nie uszczęśliwił.

Liz przypomina sobie podłużne ślady i siniaki na jego ramieniu. Nie jest pewna, czy kiedykolwiek uda jej się o nich zapomnieć. Mimo wszystko uważa, że Curtis nie powinien wykonywać żadnego innego zawodu oprócz profesji muzyka. Może zapyta go o to przy następnym spotkaniu.

- Dzięki za informacje – mówi Liz.
- Nie ma za co – odpowiada Thandi. – Ale wiesz, Elizabeth, to nie w porządku, że przez całe miesiące nie odpowiadasz na czyjeś telefony, a kiedy w końcu wpadasz na pomysł, żeby zadzwonić, rozmawiasz o kimś innym. Bez żadnego „przepraszam” i bez głupiego: „co u ciebie, Thandi?”.
- Przepraszam, Thandi. Co u ciebie? – pyta Liz. Wbrew pozorom Liz naprawdę ma wyrzuty sumienia, że przez długi czas ignorowała Thandi.
- Wszystko dobrze – odpowiada Thandi.
- To nie był dla mnie najłatwiejszy czas – tłumaczy Liz.
- A myślisz, że dla mnie był? Myślisz, że komukolwiek było łatwo? – Thandi z trzaskiem odkłada słuchawkę.

Liz jedzie autobusem do portu Gdzie Indziej i natychmiast zauważa Curtisa z wędką w jednej i kubkiem kawy w drugiej ręce. Ma na sobie wypłowiałą czerwoną koszulę w szkocką kratę, a jego blada dotąd skóra promienieje teraz złocistym odcieniem. Niewiele zostało po niebieskich włosach Curtisa, lecz jego błękitne oczy nie straciły dawnego blasku. Liz nie wie, czy Curtis ją jeszcze pamięta. Na szczęście uśmiecha się, kiedy tylko ją zauważa.

– Cześć, Lizzie – mówi. – Jak tam życie po drugiej stronie? – Nalewa Liz kubek kawy z czerwonego termosu i zaprasza ją gestem, żeby usiadła obok.

– Chciałam ci zadać pytanie – odpowiada Liz.

– Brzmi poważnie. – Curtis prostuje się mimo woli. – Zrobię co w mojej mocy, by na nie odpowiedzieć, Lizzie.

– Wcześniej, jeszcze na statku, byłeś ze mną szczery – mówi Liz.

– Powiadają, że człowiek zawsze powinien być możliwie szczery.

Liz zniża głos.

– Muszę z kimś nawiązać Kontakt. Możesz mi w tym pomóc?

– Jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

Liz jest przygotowana na to pytanie i ma na podorędziu kilka odpowiednich kłamstw.

– Nie mam obsesji, nic z tych rzeczy. Podoba mi się tu, Curtisie. Po prostu jest jedna sprawa na Ziemi, którą muszę się zająć.

– Co to takiego? – pyta Curtis.

– Chodzi o moją śmierć. – Liz waha się przez moment, zanim opowiada Curtisowi historię o taksówkarzu, który zbiegł z miejsca wypadku.

Wysłuchawszy jej, Curtis milczy, a po chwili mówi:

– Nie mam pojęcia, skąd ci przyszło do głowy, że będę coś wiedział na ten temat.

– Wyglądasz na osobę, która wie to i owo – zauważa Liz. – Poza tym, nie mam tu nikogo innego.

Curtis uśmiecha się.

– Słyszałem, że istnieją dwa sposoby, by porozumieć się z żyjącymi. Po pierwsze, możesz spróbować odnaleźć statek płynący na Ziemię, chociaż wątpię, by takie rozwiązanie ci się spodobało. Dotarcie na miejsce zabiera mnóstwo czasu i, z tego co słyszałem, niekiedy wypacza proces odwrotnego starzenia się. Poza tym chyba nie chcesz być duchem, co?

Liz kręci głową, przypominając sobie, jak brała to pod uwagę w dniu przyjazdu Gdzie Indziej.

– Na czym polega drugi sposób?

– Słyszałem o miejscu znajdującym się jakieś półtora kilometra od brzegu i głębokim na kilka kilometrów. Najwyraźniej jest to najgłębsze miejsce w całym oceanie. Ludzie nazywają je

Studnią.

Liz przypomina sobie, że Aldous Ghent wspominał o Studni pierwszego dnia po jej przyjeździe. Pamięta też, jak mówił, że wyprawa tam jest zakazana.

– Chyba coś o nim słyszałam – mówi.

– Zakładając, że komuś uda się dotrzeć na dno Studni, choć to niezwykle trudne zadanie, znajdzie w nim okno, przez które można się przedrzeć na Ziemię.

– Czym to się różni od TW? – pyta Liz.

– Lornetki działają tylko w jedną stronę. Podobno w Studni żyjący mogą wyczuć twoją obecność, zobaczyć cię i usłyszeć.

– A więc mogłabym z nimi porozmawiać?

– Tak przynajmniej słyszałam – mówi Curtis – ale będzie im trudno cię zrozumieć.

Przebywanie pod wodą może zniekształcić twój głos. Nurkowanie wymaga dobrego sprzętu, a i z nim trzeba być naprawdę dobrym pływakiem.

Liz upija łyk kawy, zastanawiając się nad słowami Curtisa. Umie dobrze pływać. Zeszłego lata razem z matką wyrobiły sobie certyfikaty nurka na Cape Cod. *Czy to możliwe, że od tamtego czasu upłynął zaledwie rok?* – myśli Liz.

– Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem, mówiąc ci o tym, ale pewnie i tak dowiedziałabyś się od kogoś innego. Obawiam się, że zawsze miałem problem ze stwierdzeniem, co jest dobre, a co złe, a już na pewno z oceną i zrobieniem tego, co dobre.

– Dziękuję – mówi Liz.

– Bądź ostrożna – odpowiada Curtis i przytula ją. Liz jest bardzo zaskoczona tym gestem.

– Muszę cię o coś zapytać: jesteś pewna, że powinnaś to zrobić? Może będzie lepiej, jeśli sprawy potoczą się własnym biegiem?

– Muszę to zrobić, Curtisie. Nie mam wyboru.

– Moja droga Lizzie, zawsze jest jakiś wybór.

Liz nie chce się spierać z Curtisem, szczególnie po tym, jak był dla niej miły, ale nie potrafi się powstrzymać.

– Nie prosiłam się o śmierć – mówi – więc w tamtej chwili moje zdanie nie miało znaczenia.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Curtis. – Chyba miałem na myśli to, że zawsze mamy wybór w sytuacjach, w których faktycznie on istnieje, o ile to ma jakiś sens.

– Nie bardzo – zauważa Liz.

– Cóż, w takim razie będę musiał popracować trochę nad swoją filozofią i dopiero wtedy ci o niej opowiedzieć, Lizzie. Zauważyłem, że podczas łowienia ryb człowiek ma mnóstwo czasu na filozofowanie.

Liz kiwa głową. Wychodząc z portu, uświadamia sobie, że zapomniała zapytać Curtisa, dlaczego właściwie został rybakim.

Wielkie zanurzenie

Liz rzuca się w wir przygotowań do wielkiego zanurzenia. Choć wcześniej tego nie zauważyła, jej codzienne wizyty na Tarasie Widokowym dają jej coraz mniej satysfakcji: dni zaczęły się ze sobą zlewać, obrazy stawały się coraz mniej wyraźne, pojawił się ból oczu i pleców. Teraz Liz doświadcza stanu podwyższonej energii, charakterystycznego dla osób, które mają jakąś misję. Chód Liz stał się energiczny, serce zabiło jej szybciej, apetyt się poprawił. Liz wstaje z łóżka o świcie i późno chodzi spać. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu Gdzie Indziej czuje, że... żyje.

Zdaniem Curtisa Studnia znajduje się jakieś półtora kilometra od brzegu, ale nie określił dokładnie jej położenia. Po dwóch dniach podsłuchiwanie rozmów na TW i zadawania Esther zawołanych pytań Liz dowiaduje się, że Studnia jest w jakiś sposób połączona z latarniami morskimi i TW, a żeby tam dotrzeć, musi popłynąć torem wyznaczonym przez snop światła płynący z latarni.

Liz pożycza od Betty kolejne 750 wiecznych na zakup sprzętu do nurkowania.

– Na co potrzebujesz? – pyta Betty.

– Na ciuchy – kłamie Liz, chociaż jej zdaniem częściowo mówi prawdę: pianka do nurkowania to przecież ubranie, prawda? – Skoro zamierzam poszukać sobie zajęcia, będę potrzebowała czegoś, co mogłabym na siebie założyć.

– Co stało się z pół tysiącem, który ci ostatnio dałam?

– Nadal mam te pieniądze – ponownie kłamie Liz. – Jeszcze ich nie wydałam, ale podejrzewam, że będę potrzebowała więcej. Nie mam żadnych ubrań, nie licząc piżamy i koszulki, którą mi kupiłaś.

– Chcesz, żebym pojechała z tobą na zakupy? – pyta Betty.

– Wolałabym to zrobić sama – odpowiada Liz.

– Wiesz, że mogłabym ci uszyć ubrania, w końcu jestem krawcową – proponuje Betty.

– Hm, to bardzo miłe z twojej strony, ale chyba wolałabym coś ze sklepu.

Betty odpuszcza, chociaż jest prawie pewna, że Liz kłamie na temat tego, co stało się z pół tysiącem wiecznych. Betty z całych sił stara się zachować cierpliwość, zapewnić Liz dość przestrzeni, by mogła dojść do siebie i zaczekać, aż dziewczyna sama do niej przyjdzie. Betty postępuje zgodnie ze wskazówkami zawartymi w książce, którą właśnie czyta, zatytułowanej *Jak rozmawiać z niedawno zmarłym nastolatkiem*. Betty posyła Liz wymuszony uśmiech.

– Podrzucę cię do Galerii Handlowej Gdzie Indziej – mówi.

Liz zgadza się (właśnie tam znajduje się sklep ze sprzętem do nurkowania), ale z oczywistych względów oświadcza, że wróci autobusem.

Kupiona przez Liz butla tlenowa jest mniejsza i lżejsza od tych, których używały z matką na Ziemi. Nazywa się Butlą bez Dna. Sprzedawca zapewnia, że sprzężone w niej powietrze nigdy się nie skończy. Robiąc ukłon w stronę Betty, Liz kupuje także parę dzinsów i bluzkę z długim rękawem.

Po powrocie do domu chowa sprzęt pod łóżkiem. Ma wyrzuty sumienia, że oszukuje Betty, ale cel uświęca środki. Zastanawiała się, czy nie powiedzieć Betty o swoim planie, ale wie, że tylko przysporzyłaby jej tym zmartwień. Nie chce, żeby babcia jeszcze bardziej się niepokoiła.

Minął rok, odkąd Liz nurkowała na Ziemi po raz ostatni. Zastanawia się, czy przez ten czas zapomniała wszystkie procedury postępowania. Rozważa nawet próbne zanurzenie, lecz ostatecznie rezygnuje z tego pomysłu. Jeśli zamierza to zrobić, powinna działać szybko.

Jako że zbliżanie się do Studni jest zabronione, Liz postanawia wyruszyć tuż po zachodzie słońca. Pakuje sprzęt do wielkiego worka na śmieci i zakłada piankę pod nowe dżinsy i bluzkę z długim rękawem.

– To są te rzeczy, które sobie dziś kupiłaś? – pyta Betty.

Liz kiwa głową.

– Miło cię zobaczyć w czymś innym niż piżama. – Betty podchodzi bliżej, żeby lepiej przyjrzeć się Liz. – Chociaż nie jestem pewna, czy kupiłaś właściwy rozmiar. – Betty chce poprawić wnuczce bluzkę, ale dziewczynka się odsuwa.

– Jest w porządku! – upiera się.

– OK, OK. Pokażesz mi jutro resztę ubrań, które sobie kupiłaś?

Liz potakuje, ale odwraca wzrok.

– A dokąd właściwie się wybierasz? – pyta Betty.

– Thandi urządza przyjęcie – kłamie Liz.

– W takim razie baw się dobrze! – Betty uśmiecha się do Liz. – Co masz w tym worku na śmieci?

– Różne rzeczy na imprezę. – Liz zauważa, że kłamstwa przychodzą jej coraz łatwiej. Jedyny problem (kolejny z tych, które tutaj odkryła) jest taki, że musi się do nich uciekać coraz częściej.

Po wyjściu Liz Betty postanawia pójść do pokoju wnuczki i obejrzeć jej nowe ubrania. Szafa jest pusta, ale pod łóżkiem znajduje kartonowe pudło z napisem BUTLA BEZ DNA. Przypomniawszy sobie dziwnie napompowany strój Liz i tajemniczą zawartość plastikowego worka, Betty postanawia odszukać wnuczkę. W poradniku *Jak rozmawiać z niedawno zmarłym nastolatkiem* jest również napisane, że trzeba wiedzieć, kiedy odebrać dziecku ofiarowaną mu przestrzeń.

Przed zanurkowaniem Liz wraca na TW, żeby ponownie spojrzeć na Amadou Bonamy'ego. Chce zobaczyć taksówkarza po raz ostatni, zanim go wyda.

Na widok Liz siedząca za szybą Esther marszczy brwi.

– Nie widziałam cię tutaj od kilku dni. Miałam nadzieję, że dałaś sobie z tym spokój – mówi.

Liz mija ją bez słowa.

Ktoś siedzi przy jej ulubionym stanowisku numer 15, musi więc skorzystać z czternastki.

Liz wrzuca monetę do szczeliny i zaczyna podglądać Amadou Bonamy'ego. Jego taksówka jest pusta, a on sam dokądś pędzi. Parkuje przed szkołą podstawową – tą samą, do której chodzi brat Liz – i wyskakuje z samochodu. Maszeruje szkolnym korytarzem, a po chwili puszcza się biegiem. Na końcu korytarza stoi nauczyciel z małym chłopcem w okularach.

– Zwymiotował do kosza na śmieci – oznajmia nauczyciel. – Nie chciałem, żebyśmy po pana dzwoniли.

Amadou przyklęka na jedno kolano.

– Boli cię brzusek, malutki? – Mówi z nieznacznym francusko-haitańskim akcentem.

Chłopiec kiwa głową.

– Zawiozę cię do domu, *wi bébé?*

– Nie musisz już dzisiaj jeździć taksówką? – pyta chłopiec.

– *Non, non.* Jutro wszystko nadrobię. – Amadou bierze chłopca w ramiona, podnosi go i uśmiecha się do nauczyciela. – Dziękuję, że pan po mnie zadzwonił.

Przesłony w lornetce się zatrząskują.

Serce Liz wali jak szalone. Ma ochotę kogoś uderzyć albo coś zniszczyć. W każdym razie

powinna jak najszybciej opuścić Taras Widokowy.

Plaża przed budynkiem jest opustoszała. Liz zdejmuje dzinsy i bluzkę, ale nie zbliża się do wody. Zamiast tego siada z kolanami przyciśniętymi do klatki piersiowej i myśli o Amadou oraz jego synku. Im dłużej to robi, tym bardziej jest skołowana i tym większą ma ochotę, by przestać o nich myśleć.

Ktoś wykrzykuje jej imię.

To Betty.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć? – pyta Liz, unikając wzroku babci.

– Nie wiedziałam, za to byłam pewna, że nie znajdę cię na przyjęciu u Thandi.

Liz kiwa głową.

– A tak w ogóle to był żart. – Betty spogląda na piankę Liz. – Znalazłam w twoim pokoju puste pudełko po butli tlenowej i domyśliłam się, że planujesz nawiązać z kimś Kontakt.

– Jesteś na mnie zła? – pyta Liz.

– Przynajmniej wiem już, na co wydałaś pieniądze – zauważa Betty. – To był kolejny żart. W książce, którą właśnie czytam, jest napisane, że humor pomaga sobie radzić w trudnych sytuacjach.

– Co to za książka? – pyta Liz.

– Nosi tytuł *Jak rozmawiać z niedawno zmarłym nastolatkiem*.

– I pomaga ci?

– Nie bardzo – kręci głową Betty. – A mówiąc poważnie, Liz, z pewnością wolałabym, żebyś mnie nie okłamywała, ale nie jestem na ciebie zła. Żałuję, że z tym do mnie nie przyszłaś, lecz wiem, że nie jest ci teraz lekko. Pewnie miałaś swoje powody.

Pod wpływem słów Betty, Liz dochodzi do wniosku, że zachowanie Amadou też pewnie miało swoje uzasadnienie.

– Widziałam kierowcę taksówki. Tej, która mnie potrąciła – mówi Liz.

– Jak wyglądał?

– Na miłą osobę. – Liz milknie. – Wiesz, że uciekł z miejsca wypadku?

– Tak – odpowiada Betty.

– Dlaczego się nie zatrzymał, skoro jest dobrym człowiekiem? Przynajmniej sprawia takie wrażenie.

– Na pewno jest dobrym człowiekiem, Liz. Kiedyś przekonasz się, że ludzie z reguły nie są ani całkiem dobrzy, ani źli. Może w nich tkwić odrobina dobra i cała masa zła albo mogą być z gruntu dobrzy z niewielką domieszką zła. Większość z nas, no cóż, plasuje się gdzieś pośrodku.

Liz zaczyna płakać, a Betty przytula ją do siebie. Nagle dziewczyna uświadamia sobie, że nie powie nikomu o tym, kto był kierowcą taksówki – ani dziś, ani nigdy. Wie, że to niczego nie zmieni. Amadou prawdopodobnie jest dobrym człowiekiem. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego się nie zatrzymał. A nawet jeśli nie, Liz niespodziewanie przypomina sobie coś jeszcze, o czym nie chciała do tej pory pamiętać.

– Betty – odzywa się przez łzy. – Tamtego dnia przed centrum handlowym nie spojrzalam w obie strony, zanim przeszłam na drugą stronę ulicy. Światło dla samochodów zmieniło się już na zielone, ale nie zauważyłam tego, bo myślałam o czymś innym.

– O czym? – pyta Betty.

– To głupie. Myślałam o swoim zegarku, o tym, że powinnam go wziąć ze sobą do centrum handlowego i oddać do naprawy. Ciągle o tym zapominałam. Zastanawiałam się, czy zdążę po niego wrócić do domu, ale nie mogłam się zdecydować, bo nie wiedziałam, która jest godzina, ponieważ zepsuł mi się zegarek. Po prostu błędne koło. Och, Betty, to wszystko przeze mnie. Sama jestem sobie winna, a teraz utknęłam tu na zawsze!

– Tylko tak ci się wydaje – mówi łagodnie Betty. – Tak naprawdę to raptem piętnaście lat.

– To, że ten człowiek pójdzie do więzienia, nie przywróci mi życia – szepcze Liz. – Nic nie zdoła tego zrobić.

– A więc przebaczasz mu?

– Nie wiem. Chciałabym, ale... – Liz przerywa w pół zdania. Czuje pustkę. Gniew i żądza zemsty na moment przywróciły jej siłę. Bez starych przyjaciół, którzy mogliby ją podtrzymać na duchu, w głowie Liz zrodziło się tylko jedno pytanie: co teraz?

– Chodźmy do domu – mówi Betty. Jedną ręką podnosi z ziemi worek na śmieci, a drugą strzepuje piasek z pianki Liz.

Ruszają w długą drogę do domu. Letnie powietrze jest tak ciepłe, że kombinezon Liz przykleja jej się do skóry.

Na jednym z trawników dziewczynka i chłopiec biegają po trawie podlewanej przez zraszacze, chociaż jest już po zmroku.

Na ogrodowej huśtawce jakiś bardzo stary, zgarbiony i pomarszczony mężczyzna trzyma za rękę piękną, młodą, rudowłosą kobietę. Liz podejrzewa, że staruszek jest dziadkiem rudowłosej, dopóki nie widzi, w jaki sposób się całują. *Te amo* – szepcze rudowłosa do ucha staruszka i spogląda na niego, jakby był najpiękniejszym człowiekiem na świecie.

Na innym trawniku dwóch chłopców w podobnym wieku rzuca sobie zniszczoną piłkę baseballową.

– Idziemy do domu? – pyta jeden.

– Nie ma mowy, tato – odpowiada drugi. – Gramy dalej.

– Tak, grajmy całą noc – odpowiada pierwszy chłopiec.

W ten sposób Liz po raz pierwszy przygląda się ulicy, na której mieszka Betty.

Zatrzymują się przed jej domem, pomalowanym odważnym odcieniem fioletu (choć może się to wydać dziwne, Liz nigdy nie zwróciła na ten kolor uwagi).

Letnie powietrze jest ciężkie od zapachu kwiatów z ogrodu Betty. Liz uważa tę woń za słodką i melancholijną, przypominającą trochę umieranie lub stan zakochania.

– Nie będę już więcej chodzić na TW, Betty. Zamierzam znaleźć sobie zajęcie, a kiedy już to zrobię, zwrócę ci wszystkie pieniądze, obiecuję – oświadcza Liz.

Betty spogląda jej w oczy.

– Wierzę ci. – Bierze Liz za dłoń. – I doceniam to.

– Przykro mi z powodu pieniędzy. – Liz kręci głową. – Przez cały ten czas, nie wiem, czy zauważyłaś... Chodzi o to, że chyba wpadłam w lekką depresję.

– Wiem, skarbie – odpowiada Betty. – Wiem.

– Betty – odzywa się Liz – dlaczego wytrzymałaś ze mną tak długo?

– Na początku chyba przez wzgląd na Olivię – odpowiada Betty po chwili zastanowienia.

– Jesteś do niej bardzo podobna.

– Wiesz, nikt nie chce być lubiany z powodu tego, kim jest jego matka – mówi Liz.

– Powiedziałam: na początku.

– A więc nie chodziło tylko o mamę?

– Oczywiście, że nie. Chodziło o ciebie, skarbie. I o mnie. Przede wszystkim o mnie. Od bardzo dawna jestem samotna.

– Odkąd przyjechałaś Gdzie Indziej?

– Obawiam się, że nawet dłużej. – Betty wzdycha. – Czy twoja matka kiedykolwiek powiedziała ci, dlaczego się pokłóciłyśmy?

– Miałaś romans – oznajmia Liz – i mama długo nie mogła ci tego wybaczyć.

- Tak, to prawda. Byłam wtedy samotna i tak już zostało.
- Czy kiedykolwiek rozważałaś spotkanie się z kimś innym? – pyta taktownie Liz. Betty kręci głową i śmieje się.
- Dałam sobie spokój z miłością, przynajmniej tą romantyczną. Zbyt długo żyję i zbyt wiele już widziałam.
- Wiesz, że mama ci wybaczyła? W końcu nazwała mnie twoim imieniem, prawda?
- Być może. Myślę, że po prostu było jej smutno, gdy umarłam. A teraz proponuję, żebyśmy poszły spać.

*

Tej nocy po raz pierwszy Liz nic się nie śni. Do tej pory jej sny zawsze dotyczyły Ziemi. Rano, po przebudzeniu, dziewczynka dzwoni do Aldousa Ghenta w sprawie pracy w Sekcji Zwierząt Domowych.

Sadie

– Twoja pierwsza prawdziwa praca! – emocjonuje się Betty. – Jak cudownie, skarbie!
Przypomnij mi, żebym zrobiła ci zdjęcie, kiedy dotrzemy na miejsce.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Betty spogląda na siedzącą na miejscu dla pasażera Liz.

– Jesteś dzisiaj bardzo milcząca – zauważa.

– Po prostu myślę – odpowiada Liz. Ma nadzieję, że nie zostanie wylana już pierwszego dnia.

Nie licząc sporadycznego zajmowania się dziećmi, Liz nigdy nie miała prawdziwej pracy. Nie żeby się przed tym wzbraniała. Zaproponowała nawet, że znajdzie sobie pracę w centrum handlowym, tak jak Zooey, ale rodzice jej na to nie pozwolili. *Szkola to twoja praca* – lubił mawiać ojciec Liz.

Jej matka miała podobne zdanie: *Przed tobą całe życie, jeszcze się napracujesz*. Z ironicznym uśmieszkiem na twarzy Liz myśli, że w tej kwestii zdecydowanie się myliła.

Najbardziej martwi ją mówienie w psim języku. Co, jeśli nie zdoła się go nauczyć i ją wyrzucą?

– Pamiętam swoją pierwszą pracę – mówi Betty. – Byłam szatniarką w jednym z nowojorskich nocnych klubów. Miałam siedemnaście lat, ale musiałam skłamać, że mam osiemnaście. Zarabiałam pięćdziesiąt dwa dolary tygodniowo. Wtedy wydawało mi się, że to prawdziwa fortuna. – Betty uśmiecha się do swoich wspomnień.

Kiedy Liz wysiada z samochodu, Betty robi jej zdjęcie starym polaroidem.

– Uśmiech, skarbie! – woła Betty. Liz mobilizuje mięśnie twarzy, by ułożyć usta w coś na kształt uśmiechu. – Miłego dnia, Liz! Przyjadę po ciebie o piątej! – Betty macha do niej na pożegnanie.

Liz sztywno kiwa głową. Obserwuje oddalający się czerwony samochód Betty, tłumiąc w sobie pokusę dogonienia go. Sekcja Zwierząt Domowych znajduje się w wielkim budynku, zbudowanym na planie litery A, położonym naprzeciwko Rejestracji. Budynek jest znany jako Stodoła. Liz wie, że musi wejść do środka, ale nie może się ruszyć z miejsca. Oblewa ją zimny pot, a żołądek zaczyna fikać koziołki. Czuje się tak, jakby był to jej pierwszy dzień w szkole. Bierze głęboki wdech i idzie w kierunku wejścia. W końcu jedynym pewnym sposobem na to, by od początku wszystko poszło nie tak jak trzeba, jest spóźnienie się.

Liz otwiera drzwi i widzi udręczoną kobietę z sympatycznymi zielonymi oczami i burzą kręconych rudych włosów. Jej drelichowy kombinezon pokrywa mieszanka psiej i kociej sierści oraz czegoś, co wygląda jak zielone pióra. Kobieta wyciąga dłoń w stronę Liz.

– Nazywam się Josey Wu i jestem kierowniczką SZD. Czy mam przyjemność z Elizabeth, znajomą Aldousa?

– Tak, jestem Liz.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci psia sierść, Liz.

– Nie, to tylko mały prezent zostawiany przez psy.

Josey uśmiecha się.

– Mam dzisiaj dużo pracy, Liz. Możesz zacząć od przebrania się w to. – Rzuca jej drelichowy kombinezon.

Liz wchodzi do toalety, żeby się przebrać, i zastaje w niej średniej wielkości suczkę, dość szczupłą, o jasnej sierści i bliżej nieokreślonej rasie (innymi słowy – kundla), pijącą z muszli klozetowej.

– Hej, malutka – odzywa się do niej Liz – nie musisz stąd pić.
Pies podnosi głowę i spogląda na Liz. Po chwili z zaciekawieniem przechyla łeb i pyta:
– Czy nie temu to służy? W jakim innym celu napełniliby nisko zawieszoną umywalkę wodą? Można nawet wymienić sobie wodę na świeżą, naciskając ten przycisk, prawda? – Pies dokonuje demonstracji, naciskając spłuczkę lewą łapą.
– Nie – odpowiada łagodnie Liz. – Tak naprawdę to jest toaleta.
– Toaleta? – dziwi się pies. – A co to takiego?
– Miejsce, do którego chodzą ludzie.
– Chodzą? Jak to chodzą?
– No... za potrzebą – wyjaśnia delikatnie Liz.
Pies zagląda do muszli.
– Dobry Boże – mówi. – Chcesz powiedzieć, że przez cały czas piłam z miejsca, do którego ludzie robią siku i... – Suczka ma minę, jakby zbierało jej się na mdłości. – Dlaczego nikt mi wcześniej o tym nie powiedział? Piję z toalet od wielu lat. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ludzie zawsze zamykają za sobą drzwi.
– Zaczekaj – powiedziała Liz. – Należę ci świeżej wody z kranu. – Liz spostrzega niewielką miskę i napełnia ją wodą. – Proszę, malutka!
Pies z radością zabiera się za picie wody, a na koniec liże nogę Liz.
– Dzięki. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, wydaje mi się, że mój pan próbował mi wytłumaczyć, jak to jest z toaletami. Billy, bo tak miał na imię, prawie nigdy nie zapominał o zamykaniu klapy. – Seria kolejnych liźnięć. – Gdybym o wszystkim wiedziała, już dawno temu przestałabym pić z toalety – oświadcza. – A tak w ogóle, to jestem Sadie. A ty jak się wabisz?
– Liz.
– Miło cię poznać, Liz. – Sadie wyciąga łapę, żeby Liz mogła ją uścisnąć. – Zmarłam w zeszłym tygodniu. Trochę tu dziwnie.
– Jak to się stało? – pyta Liz.
– Goniłam piłkę i wpadłam pod samochód – wyjaśnia Sadie.
– Ja też zostałam potrącona przez samochód – mówi Liz. – Tylko że jechałam na rowerze.
– Miałaś psa? – dopytuje Sadie.
– O tak, Lucy była moją najlepszą przyjaciółką.
– Chcesz mieć nowego psa? – Sadie przekrzywia głowę.
– Masz na myśli siebie, co malutka? – pyta Liz.
Sadie spuszcza z nieśmiałością głowę.
– Nie wiem, czy moja babcia się zgodzi, ale zapytam ją wieczorem, dobrze?
Do łazienki wchodzi Josey.
– Świetnie Liz, widzę, że już poznałaś Sadie – mówi, drapiąc psa między uszami. – Sadie jest twoją pierwszą podopieczną.
Sadie kiwa miękko żółtą głową.
– Aldous nie wspominał, że znasz psi – zauważa Josey.
– No właśnie – jąka się Liz. – Niestety nie znam.
– Co masz na myśli? – dziwi się Josey. – Przecież słyszałam, jak rozmawiasz z Sadie. Dopiero wtedy dociera do niej, że rzeczywiście rozmawiała z Sadie.
Liz uśmiecha się szeroko.
– Nigdy wcześniej nie mówiłam w tym języku, a przynajmniej nie robiłam tego świadomie.
– Cóż, najwyraźniej masz to we krwi. Zdumiewające! W całym swoim życiu spotkałam tylko kilka osób, które mówiły po psiemu bez uczenia się tego języka. Jesteś pewna, że nie brałaś

żadnych lekcji?

Liz kręci głową.

– Po prostu zawsze rozumiałam psy, a one mnie. – Myśli o Lucy i tamtym psie w parku. – Nigdy nie uważałam tego za język ani za szczególną umiejętność.

– Wygląda na to, że praca tutaj jest ci pisana, Liz – mówi Josey, klepiąc Sadie po grzbiecie. – Chodźmy do mojego gabinetu. Przepraszamy cię na chwilę, Sadie.

Sadie spogląda na Liz.

– Będziesz pamiętała o tym, żeby zapytać babcię, prawda?

– Obiecuję. – Liz drapie Sadie między uszami i wychodzi z toalety.

– Praca doradcy w Sekcji Zwierząt Domowych polega głównie na wyjaśnianiu świeżo przybyłym specyfiki życia Gdzie Indziej i znajdowaniu im nowych domów. Dla niektórych psów będziesz pierwszym człowiekiem spotkanym tutaj, więc mogą się trochę zjeżyć, w obu znaczeniach tego słowa. – Widać, że Josey nie po raz pierwszy opowiada ten żart.

– Czy to bardzo trudne? – pyta Liz.

– Nieszczęśliwie. Psy są o wiele bardziej elastyczne od ludzi i chociaż nie zawsze je rozumiemy, one rozumieją nas całkiem dobrze – odpowiada Josey. – Mówisz po psiemu, a to już połowa sukcesu, Liz. Całej reszty po prostu się nauczysz.

– A co z innymi zwierzętami? – pyta Liz.

– Jako doradca SZD będziesz się zajmowała głównie psami, ale w naszej sekcji opiekujemy się również pozostałymi zwierzętami domowymi: kotami, niektórymi gatunkami świń, od czasu do czasu wężem, świnkami morskimi i tak dalej. Najgorsze są rybki – umierają tak szybko, że większość czasu spędzają na pływaniu tam i z powrotem.

W tym momencie Sadie wsuwa głowę do biura Josey.

– Nie zapomniałaś, prawda?

– Nie, ale jestem teraz trochę zajęta, Sadie – odpowiada Liz. Sadie zwiesza łeb i znika za drzwiami.

Josey śmieje się, a później mówi przyciszonym głosem:

– Wiesz, że nie możesz zabrać do domu wszystkich psów?

– Słyszałam to! – krzyczy Sadie z sąsiedniego pokoju.

– Wkrótce przekonasz się, że wszystkie psy mają doskonały słuch – mówi Josey. – A teraz znajdziemy ci jakiś gabinet, Liz.

Kolejnym po Sadie podopiecznym Liz jest rozemocjonowany, drobny chihuahua imieniem Paco.

– Ale gdzie jest Pete? – pyta, rozglądając się czujnie swoimi małymi oczkami po nowym, pozbawionym okien gabinecie Liz.

– Przykro mi, ale w najbliższym czasie prawdopodobnie go nie zobaczysz. Pete jest nadal na Ziemi – wyjaśnia Liz.

– Myślisz, że Pete się na mnie gniewa? – pyta Paco. – Czasami sikam mu do butów, kiedy zostawia mnie samego w domu zbyt długo, ale on chyba tego nie zauważa. A może jednak zauważa? Myślisz, że zauważa? Jestem złym, bardzo złym psem.

– Jestem pewna, że Pete się na ciebie nie gniewa. Nie możesz się z nim zobaczyć, bo umarłeś.

– Och – odpowiada miękko Paco.

Wreszcie – oddycha z ulgą Liz.

– Czy teraz już rozumiesz? – pyta.

– Chyba tak – odpowiada Paco. – Tylko gdzie jest Pete?
Liz wzdycha. Po chwili cierpliwie zaczyna mu tłumaczyć wszystko od nowa.
– Wiesz, Paco, przez długi czas sama nie wiedziałam, gdzie jestem...

Kiedy Liz wychodzi z pracy, Sadie podąża za nią do samochodu Betty.

– A to kto? – pyta Betty.

– Sadie – odpowiada Liz, po czym zniża głos. – Zgadzasz się?

Sadie patrzy na Betty wyczekująco.

Betty uśmiecha się.

– Wygląda na to, że Sadie już podjęła decyzję. – Suczka liże ją po twarzy. – Oj! Witaj w rodzinie, Sadie. Mam na imię Betty.

– Cześć, Betty! – Sadie wskakuje na tylne siedzenie. – Czy mówiłam wam już, że zostałam nazwana na cześć piosenki Beatlesów? Moje pełne imię brzmi Sexy Sadie, ale nie musicie mnie tak nazywać, chyba że chcecie. To określenie jest trochę na wyrost, nie sądzicie?

– Co ona mówi? – Betty zwraca się do Liz.

– Sadie mówi, że została nazwana na cześć jakiejś piosenki Beatlesów – tłumaczy Liz.

– Oczywiście, znam tę piosenkę. – Betty zaczyna śpiewać: – *Sexy Sadie, what have you done?* Czy jakoś tak, mam rację?

– Właśnie o nią chodzi! – wykrzykuje Sadie. – To ta piosenka! – Kładzie łapę na ramieniu Betty. – Betty, jesteś genialna! – Sadie wyszczekuje kilka tonów melodii.

Liz znowu się śmieje, ciepło i perliście.

– Masz piękny śmiech, Liz – zauważa Betty. – Chyba go jeszcze nie słyszałam.

Studia

Chociaż pensja wypłacana przez SZD jest dość skromna, Liz szybko zwraca Betty wszystkie pożyczone wieczne i wkrótce zauważa, że zostaje jej dużo pieniędzy nieprzeznaczonych na żaden konkretny cel. Mieszka z Betty i płaci jej niewielką kwotę za wikt i opierunek. Nie potrzebuje ubezpieczenia na zdrowie ani na samochód (niestety), a właściwie żadnego ubezpieczenia. Nie musi odkładać pieniędzy na zakup własnego domu, emeryturę, studia, wystawne wesele, czarną godzinę ani nic innego. Przestała odwiedzać TW. Kupiłaby sobie samochód, ale po co, skoro i tak nie może prowadzić? *Kiedy nie masz w perspektywie wydatków związanych ze starością, utratą zdrowia, śmiercią lub dziećmi, tak naprawdę nie ma co robić z pieniędzmi* – myśli ze smutkiem Liz.

– Aldousie? – zwraca się do niego podczas ich comiesięcznego spotkania. – Co mam zrobić z tymi wszystkimi wiecznymi?

– Kup sobie coś ładnego – radzi Aldous.

– Na przykład?

Aldous wzrusza ramionami.

– Dom?

– Nie potrzebuję domu. Mieszkam z Betty – odpowiada Liz. – Jaki jest sens chodzenia do pracy, skoro i tak nie potrzebuję wiecznych?

– Chodzisz do pracy – Aldous zawiesza głos – bo to lubisz. Stąd nazwa „zajęcie”.

– Ach, rozumiem.

– Lubisz swoją pracę, prawda Elizabeth?

– Nie – odpowiada Liz po chwili zastanowienia. – Ja ją kocham.

Minął zaledwie miesiąc, odkąd Liz zaczęła zajmować się zwierzętami. W tym czasie zyskała opinię jednego z najlepszych doradców w Sekcji Zwierząt Domowych. Znalazła się w rzadkiej i godnej pozazdrośczenia sytuacji: kocha to, co robi, i jest w tym doskonała. Dzięki pracy reszta jej pierwszego lata Gdzie Indziej upływa bardzo szybko. Zajęcie odciąga myśli Liz od tego, że nie żyje.

Większość czasu przesiaduje w biurze, a resztę spędza z Betty, Sadie lub Thandi (Liz przeprosiła Thandi krótko po tym, jak zatrudniła się w SZD, a koleżanka szybko jej wybaczyła). Liz stara się nie myśleć o swoich rodzicach oraz dawnym życiu na Ziemi i najczęściej jej się to udaje.

Zdołała nawet przekonać Thandi do przygarnięcia zdeorientowanego chihuahuy Paco, choć na początku Thandi podeszła do tego pomysłu sceptycznie.

– Jesteś pewna, że to pies? Wygląda mi raczej na większego szczura.

Paco był równie sceptyczny.

– Nie chcę być niegrzeczny – powiedział – ale dlaczego nie jesteś Petem?

– Jestem Thandi, ale możesz o mnie myśleć jak o Nowym Pecie.

– Och – odparł z rozmysłem Paco. – Chyba wreszcie rozumiem. Masz na myśli to, że Pete umarł, prawda? – Paco utonął w dziecięcym brodziku, o czym najwyraźniej znowu zapomniał.

– Jasne, możesz tak myśleć, jeśli wolisz. – Thandi ostrożnie poklepała Paco po łebku.

Często zdarza się, że po pracy dziewczynki wyprowadzają Paco i Sadie na spacer do parku nieopodal domu Liz. W jeden z takich wieczorów Liz pyta Thandi:

– Jesteś szczęśliwa?

– Nie ma sensu się smuć, Liz – wzrusza ramionami Thandi. – Mamy tutaj ładną pogodę,

a ja lubię występować w telewizji.

– Pamiętasz, jak wydawało mi się, że wszystko tutaj jest snem? – pyta Liz. – Nie mogę uwierzyć, że tak myślałam, bo teraz mam wrażenie, że wszystko na Ziemi, wszystko to, co przydarzyło mi się wcześniej... Czasami mam wrażenie, że tamto było snem.

Thandi przytakuje.

– Czasami – kontynuuje Liz – zastanawiam się, czy to już wszystko: praca, wprowadzanie psów i nic więcej.

– A gdyby nawet tak było, to co w tym złego? – dziwi się Thandi.

– Chodzi o to, że... Nigdy nie brakuje ci dreszczyku emocji, Thandi? Czegoś, co sprawiłoby, że twoje serce zabije szybciej?

– Czy śmierć nie zapewniła ci wystarczającej dawki emocji, Liz? – Thandi kręci głową. – Osobiście nie mam ochoty na więcej.

– Tak – odpowiada w końcu Liz. – Chyba masz rację.

– Myślę, że właśnie przeżywasz swoją przygodę, nawet o tym nie wiedząc – mówi Thandi.

Mimo to jedna rzecz nie daje Liz spokoju. Za dwa tygodnie jej ojciec będzie obchodził czterdzieste piąte urodziny. Kilka miesięcy wcześniej Liz i Zooey wybrały się do działu męskiego sklepu Lord & Taylor. Kiedy Zooey porównywała jedwabne bokserki, które zamierzała kupić swojemu chłopakowi Johnowi na walentynki (co lepsze: maleńkie świecące w ciemności kupidyny czy może para całujących się misiów polarnych?), Liz wypatrzyła kaszmirowy sweter barwy morskiej zieleni w takim samym odcieniu jak oczy jej ojca. Sweter kosztował aż sto pięćdziesiąt dolarów, ale był idealny. Liz miała taką kwotę, ponieważ przez kilka miesięcy odkładała pieniądze zarobione na opiekowaniu się dziećmi. Jej rozum natychmiast jednak zaprotestował. *Do urodzin ojca zostało jeszcze mnóstwo czasu – podpowiadał. To zbyt drogi prezent. Może udałoby ci się namówić mamę, żeby za niego zapłaciła?* – kusił. Liz zignorowała wewnętrzny głos. Wiedziała, że jeśli teraz nie kupi swetra, następnym razem pewnie już go nie będzie (Liz nie przyszło do głowy, że to jej może nie być). Poza tym nie chciała, by matka zapłaciła za sweter – zależało jej na tym, by kupić go za własne oszczędności. Tak byłoby uczciwiej. W końcu Liz wzięła głęboki oddech, położyła pieniądze na ladzie i kupiła sweter. Kiedy tylko wróciła z centrum handlowego, zapakowała prezent i wypisała kartkę z życzeniami, po czym schowała je pod luźną klepkę w szafie, gdzie nikt nie powinien zaglądać.

Ze wszystkich spraw, jakie mogłyby zaprzętać głowę Liz, to właśnie świadomość faktu, że jej ojciec nigdy nie otrzyma prezentu, prześladowuje ją najbardziej. Tato nigdy nie dowie się o tym, iż wydała na niego samodzielnie zarobione sto pięćdziesiąt dolarów. Być może wyprowadzi się kiedyś z ich domu, nie znalazłszy upominku, i nigdy się nie dowie, że Liz kochała go wystarczająco mocno, by kupić mu sweter w idealnym odcieniu morskiej zieleni. Prezent pozostanie w ukryciu, aż dobiórą się do niego mole, i wcześniej czy później zamieni się w bezkształtny strzęp kaszmiru w idealnym odcieniu morskiej zieleni. *Tak piękny sweter – myśli Liz – zasługuje na lepszy koniec.*

Wie, że nawiązywanie Kontaktu jest nielegalne, lecz nie dopuszcza do siebie myśli, by przekazanie ojcu jakiegoś tam swetra mogło komuś zaszkodzić. Jeśli już, powinno pomóc ojcu w uporaniu się z bólem po stracie córki.

W ten sposób Liz po raz kolejny decyduje się na zanurkowanie w Studni. Ma już sprzęt i tym razem naprawdę dobry powód. Poza tym życie smakuje lepiej, gdy towarzyszy mu dreszczyk emocji.

Liz dociera na plażę o zachodzie słońca. Zanurkowanie do Studni jest najbardziej

ambitnym wyczynem, jakiego kiedykolwiek się podjęła. Nie zna jej dokładnej głębokości i nie wie, czego się spodziewać, kiedy już dotrze do najniższej położonego miejsca. Dziewczynka odsuwa od siebie te wątpliwości. Po raz ostatni sprawdza miernik w Butli bez Dna i zaczyna płynąć.

Im głębiej Liz nurkuje, tym woda staje się ciemniejsza. Czuje wokół siebie obecność innych osób, prawdopodobnie również zмирzających w kierunku Studni. Od czasu do czasu dostrzega rozmazane kształty i słyszy dziwne dźwięki, przez co ogarnia ją nastrój niesamowitości, a nawet grozy.

Wreszcie Liz dociera do Studni – najsmutniejszego i najcichszego miejsca, w jakim kiedykolwiek się znalazła, przypominającego otwarty odpływ na dnie umywalki, z którego sączy się intensywne światło. Liz zagląda do środka, prosto w strumień światła, i widzi swój dom przy Carroll Drive. Budynek sprawia wrażenie wyblakłego, przypomina namalowany farbami wodnymi obrazek pozostawiony na słońcu. Rodzina Liz jest w kuchni – właśnie zasiadają do kolacji.

Liz odzywa się do Studni. Jej głos jest zniekształcony przez wszechobecną wodę. Liz wie, że musi ostrożnie dobrać słowa, jeśli chce, by rodzina ją zrozumiała.

– MÓWI LIZ. ZAJRZYJCIE POD PODŁOGĘ W SZAFIE. MÓWI LIZ. ZAJRZYJCIE POD PODŁOGĘ W SZAFIE.

W dawnym domu Liz w jednej chwili ze wszystkich kranów zaczyna płynąć woda: z prysznicza, z każdej umywalki, w zmywarce do naczyń, nawet z muszli klozetowej dobiega bulgotanie. Rodzina Liz spogląda na siebie w zdumieniu. Lucy donośnie szczeka.

– To dziwne – mówi matka Liz, podnosząc się z krzesła, i idzie zakręcić kran nad kuchennym zlewem.

– Pewnie hydraulika szwankuje – stwierdza ojciec Liz, po czym wychodzi do łazienki zając się prysznicem i umywalką.

Przy stole zostaje tylko Alvy. Słyszy jakiś odległy, przenikliwy dźwięk dobiegający z kranów, lecz nie potrafi go zidentyfikować. Pochylona nad Studnią Liz obserwuje, jak jej brat zakłada włosy za uszy. *Ma takie długie włosy* – myśli Liz. *Dlaczego nikt mu ich nie obciął?*

Zakręciwszy wszystkie krany, rodzice Liz wracają do stołu. Po upływie mniej więcej pięciu sekund ponownie zaczyna z nich lecieć woda.

– A niech mnie – mówi ojciec Liz i wstaje, by znów je zakręcić.

Matka Liz ma zamiar pójść w ślady męża, gdy nagle Alvy zrywa się z miejsca.

– STÓJCIE! – krzyczy.

– Co się stało? – pyta matka Liz.

– Bądźcie cicho – nakazuje Alvy rodzicom z niezwykłą, jak na ośmiolatkę, mocą – i nie dotykajcie zlewu.

– Dlaczego? – pytają jednym głosem.

– To Lizzie – odpowiada cicho Alvy. – Wydaje mi się, że słyszę głos Lizzie.

W tym momencie matka Liz zaczyna szlochać, a ojciec spogląda na Alvy'ego.

– Czy to jakiś żart? – pyta.

Alvy przykładą ucho bliżej wylotu kranu i wsłuchuje się w wiadomość:

– ALVY, MÓWI LIZ. POD PODŁOGĄ W MOJEJ SZAFIE ZNAJDUJE SIĘ COŚ DLA TATY.

Alvy kiwa głową.

– Powiem mu o tym, Lizzie. Wszystko u ciebie w porządku?

Liz nie ma szansy, by odpowiedzieć, ponieważ w tym samym momencie ktoś zarzuca na nią sieć i ciągnie z powrotem na powierzchnię.

Liz wierza rękami i nogami, bezskutecznie usiłując się uwolnić. Im większy stawia opór, tym ciaśniej się ją zaciska. Liz szybko zdaje sobie sprawę z tego, że wszystkie próby ucieczki są z góry skazane na porażkę. Wzdycha, przyjmując chwilową przegraną z godnością. Przynajmniej wróci na brzeg szybciej, niż gdyby musiała do niego płynąć.

Się popycha Liz do góry ze zdumiewającą prędkością. Czuje się tak, jakby ześlizgiwała się ze zjeżdżalni wodnej, tylko w przeciwnym kierunku. Na początku Liz boi się, że dopadnie ją choroba dekompresyjna, lecz po chwili uświadamia sobie, że siatka zdaje się posiadać system kontrolujący wytwarzane w niej ciśnienie. *Jakie to dziwne – myśli Liz – że Gdzie Indziej posługuje się tak skomplikowaną technologią wytwarzania sieci. Co sprawia, że cywilizacja rozwija tego rodzaju technologię?* – zastanawia się. *Może to...* Liz stara się odsunąć od siebie wszystkie myśli dotyczące sieci i skoncentrować się na sytuacji, w której się znalazła.

Mimo że została złapana, Liz ma doskonały humor. Jest niemal pewna, że jej misja zakończyła się sukcesem. Oczywiście nikt jej nie przygotował na dziwny sposób komunikowania się przez Studnię: głośne krany i odłączony od ciała głos Liz, przypominający dźwięk wzburzonego czajnika. Czy właśnie na tym polegało bycie duchem?

Liz zaczepta palce o oczka sieci. Zastanawia się, dokąd ten ktoś ją ciągnie. Najwyraźniej ta krótka wycieczka wpędziła ją w tarapaty, ale analizując wszystkie za i przeciw, dziewczynka jest zadowolona, że się na nią zdecydowała.

Po dotarciu na powierzchnię Liz kuli się w sobie w obronie przed chłodnym nocnym powietrzem. Chociaż ma na sobie dobrej jakości piankę, zaczyna się trząść z zimna. Liz ściąga maskę do nurkowania i widzi biały holownik na środku wodnej tafli. Z trudem dostrzega na pokładzie sylwetkę ciemnowłosego mężczyzny. Kiedy zostaje przyholowana bliżej, zauważa, że mężczyzna ma na sobie okulary przeciwsłoneczne, chociaż jest środek nocy. Jest starszy od niej, lecz młodszy od Curtisa Jesta (choć ocenianie faktycznego wieku mieszkańców Gdzie Indziej bywa zwodnicze). Twarz mężczyzny wydaje się Liz znajoma, ale nie potrafi powiedzieć, skąd go zna.

Siatka otwiera się i Liz zostaje bezceremonialnie wrzucona do łodzi. Kiedy tylko uderza o pokład, mężczyzna odzywa się surowym głosem:

– Elizabeth Marie Hall, jestem detektyw Owen Welles z Biura Śledczego Gdzie Indziej do Spraw Przepięstw Paranormalnych i Kontaktu. Czy masz świadomość tego, że usiłując skontaktować się z żyjącymi, naruszyłaś prawo Gdzie Indziej?

– Tak – oświadcza dobitnie Liz.

Owen Welles wygląda na zaskoczonego jej odpowiedzią. Ta kobieta, a właściwie dziewczynka, właśnie beztrósco oświadczyła, że świadomie złamała prawo. Większość ludzi przynajmniej próbuje udawać.

– Czy mógłby pan zdjąć okulary? – pyta Liz.

– Dlaczego?

– Chcę zobaczyć pańskie oczy. Wtedy będę wiedziała, w jak poważnych jestem tarapatach – uśmiecha się Liz.

Detektyw Owen Welles ma dość specyficzny stosunek do swoich okularów. Nigdzie się bez nich nie rusza, bo uważa, że wygląda dzięki nim bardziej wiarygodnie. Dlaczego właściwie ona się uśmiecha?

– Okulary przeciwsłoneczne nie mogą być panu w tej chwili potrzebne – zauważa Liz. – Przecież jest noc.

Zachowanie Liz zaczyna drażnić Owena. Nie cierpi, kiedy ludzie zwracają mu uwagę na to, że nosi okulary przeciwsłoneczne w nocy. Teraz z całą pewnością ich nie zdejmie.

– Owen Welles... – Liz powtarza na głos jego imię i nazwisko. – O. Welles, tak jak *oh*,

*well*¹! – Liz zaczyna się śmiać, chociaż wie, że jej żart nie jest najwyższych lotów.

– Jasne, jesteś pierwszą osobą, która mi to mówi. – Owen jakoś się nie śmieje.

– No cóż... – mówi Liz i znowu wybucha śmiechem – ...czy to nie dziwne, że nazywa się pan Welles i pracuje akurat w Studni²?

– A co w tym dziwnego? – pyta Owen.

– To dość zaskakujący zbieg okoliczności – odpowiada Liz. – Hm, czy mogę wreszcie usłyszeć, jaka czeka mnie kara, albo dostać mandat i wynieść się stąd?

– Najpierw muszę ci coś pokazać. Chodź za mną.

Owen prowadzi Liz na główny pokład, do znajdującego się na rufie teleskopu.

– Spójrz przez niego – nakazuje.

Liz wykonuje polecenie. Teleskop działa na podobnej zasadzie jak lornetki na TW. Liz zagląda w okulary i znowu widzi wnętrze swojego domu. Jej brat klęczy przed szafą rodziców i mamrocze pod nosem, gorączkowo szukając obluzowanej klepki.

– Powiedziała, że to coś będzie w waszej szafie.

– O nie! – krzyczy Liz. – Poszedł do niewłaściwej szafy. Alvy, szukaj w mojej szafie!

– On cię nie słyszy – mówi Owen.

Liz widzi przez teleskop, jak jej ojciec krzyczy na Alvy'ego.

– Wynos się stąd! – wrzeszczy, ciągnąc Alvy'ego za kołnierz tak mocno, że aż rozrywa materiał. – Dlaczego opowiadasz brednie na temat Lizzie? Ona nie żyje, a ja nie pozwolę ci pleść o niej bajek!

Alvy zaczyna płakać.

– On niczego nie zmyśla! Po prostu źle mnie zrozumiał! – Liz czuje, że jej serce bije jak szalone.

– Ja nie zmyślam! – protestuje Alvy. – Liz mi kazała. Kazała mi... – Alvy przerywa, kiedy ojciec podnosi rękę, żeby go spoliczkować.

– NIE! – krzyczy Liz.

– Oni cię nie słyszą, panno Hall – zauważa Owen.

Ojciec powstrzymuje się w ostatniej chwili. Bierze głęboki oddech i powoli opuszcza rękę. Liz widzi, jak jej ojciec osuwa się na podłogę i zaczyna płakać.

– Och, Lizzie – łka. – Lizzie! Moja biedna Lizzie! Lizzie!

Obraz w teleskopie rozmazuje się i w końcu całkiem znika. Liz cofa się o krok.

– Mój tata nigdy nas nie bił – mówi cicho, niemal szeptem – a przed chwilą był o krok od uderzenia Alvy'ego.

– Teraz już rozumiesz? – pyta łagodnie Owen.

– Co rozumiem?

– Z rozmów z żyjącymi nie wynika nic dobrego, Liz. Myślisz, że im pomagasz, a w rzeczywistości tylko pogarszasz sprawę.

Nagle Liz odwraca się do Owena.

– To wszystko pańska wina! – mówi.

– Moja?

– Być może wyprowadziłabym Alvy'ego z błędu, gdyby mnie pan nie odciągnął, zanim skończyłam wyjaśniać! – Liz podchodzi do Owena. – Chcę, żeby zabrał mnie pan z powrotem!

– Jakbyś naprawdę wierzyła, że to zrobię. Co za tupet!

– Jeśli mi pan nie pomoże, zrobię to sama. – Liz biegnie w stronę burty holownika. Owen goni ją, uniemożliwiając Liz wyskoczenie z łodzi. – PROSZĘ MNIE PUŚCIC! – krzyczy Liz, lecz Owen jest silniejszy, a dla niej to był długi dzień. Nagle Liz czuje się bardzo zmęczona.

– Przykro mi – odzywa się Owen. – Naprawdę bardzo mi przykro, ale tak musi być.

- Dlaczego?! – pyta Liz. – Dlaczego tak właśnie musi być?
- Ponieważ żywi muszą żyć swoim życiem, podobnie jak zmarli.

Liz kręci głową.

Owen zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, zza których wyłania się para ciemnych sympatycznych oczu, otoczonych długimi ciemnymi rzęsami.

– Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie – mówi Owen – to wiedz, że rozumiem, co czujesz. Sam zmarłem młodo.

Liz przygląda się twarzy Owena. Bez okularów wygląda na niewiele starszego od niej. Dziewczynka ocenia jego wiek na siedemnaście, może osiemnaście lat.

- Ile miał pan lat, kiedy tu trafił?

Owen przez chwilę milczy.

- Dwadzieścia sześć.

Dwadzieścia sześć – myśli gorzko Liz. Jest ogromna różnica między śmiercią w wieku dwudziestu sześciu lat a piętnastu. Dwudziestosześcioletek ma za sobą rzeczy, o których piętnastolatek może tylko pomarzyć. Kiedy wreszcie Liz się odzywa, w jej głosie słychać melancholię typową dla osób dużo starszych niż ona.

– Mam piętnaście lat, panie Welles. Nigdy nie przeżyję szesnastych urodzin, a niedługo znowu będę czternastolatką. Nie pójdę na bal, do college’u, nie wyjadę do Europy ani nigdzie indziej. Nie zdobędę nawet prawa jazdy stanu Massachusetts czy dyplomu ukończenia szkoły średniej. Nigdy nie zamieszkać z kimś, kto nie jest moją babcią. Myślę, że nie ma pan pojęcia, co czuję.

– Masz rację – odpowiada łagodnie Owen. – Miałem na myśli to, że nam wszystkim trudno jest żyć dalej.

– Jakoś sobie z tym radzę – mówi Liz. – Po prostu musiałam załatwić tę jedną sprawę. Wątpię, by miała ona wpływ na czyjeś życie, nie licząc mojego, ale wiedziałam, że muszę to zrobić.

- Co to za sprawa? – pyta Owen.

- Dlaczego miałabym panu powiedzieć?

– Potrzebuję tej informacji do napisania raportu – odpowiada Owen. Oczywiście to tylko część prawdy.

Liz wzdycha.

– Skoro już musi pan wiedzieć, chodziło o sweter: kaszmirowy, koloru morskiej zieleni, ukryty pod klepkami podłogowymi w mojej szafie. Był to prezent urodzinowy dla mojego taty. Jego oczy mają tę samą barwę co ten sweter.

- Sweter? – pyta Owen z niedowierzaniem.

- A co w tym dziwnego? – odpowiada Liz.

– Nie obraż się, ale większość ludzi, którzy zadają sobie trud wyprawy do Studni, ma poważniejsze powody. – Owen kręci głową.

- Dla mnie to był poważny powód – mówi z przekonaniem Liz.

– Miałem raczej na myśli sprawy życia lub śmierci: lokalizację zwłok, nazwisko mordercy, testamenty, pieniądze. Rozumiesz, o czym mówię?

– Przykro mi, ale nie spotkało mnie nic szczególnego – odpowiada Liz. – Jestem tylko dziewczynką, która zapomniała spojrzeć w obie strony, zanim przeszła na drugą stronę ulicy.

Dźwięk syreny okrętowej informuje ich, że holownik dotarł do przystani.

- No więc jak, mam kłopoty? – Liz stara się, by jej głos zabrzmiał lekko.

– Ponieważ to twoje pierwsze wykroczenie, poprzestanę na pouczeniu. Nie muszę chyba dodawać, że o wszystkim dowie się twój doradca adaptacyjny, Aldous Ghent, mam rację?

Liz kiwa głową.

– Dobry z niego człowiek. Przez najbliższych sześć tygodni masz zakaz korzystania z jakiegokolwiek Tarasu Widokowego. Będę też musiał skonfiskować twój sprzęt do nurkowania aż do czasu zakończenia kary.

– Dobra – odpowiada wyniośle Liz. – Mogę już iść?

– Jeśli ponownie zejdiesz do Studni, czekają cię poważne konsekwencje. Nie chcę, żebyś znowu wpakowała się w tarapaty, panno Hall.

Liz potakuje.

Idąc na przystanek autobusowy, myśli o Alvym, ojcu i zmartwieniach, jakich przysporzyła swojej rodzinie. Z ciężkim sercem i wciąż lekko przemoczona, Liz uświadamia sobie, że Owen Welles mógł mieć rację. *Pewnie uważa mnie za straszną idiotkę* – myśli.

Oczywiście prawda jest zupełnie inna.

Ludzie pracujący w Biurze Śledczym to najczęściej ci, którym zaakceptowanie własnej śmierci przyszło z największym trudem. Chociaż okazywali przestępcom dużo współczucia, doskonale wiedzieli, jak ważne jest stanowcze postępowanie względem tych, którzy podjęli pierwszą próbę nawiązania Kontaktu. Wyrobienie w sobie nawyku komunikowania się z żyjącymi było czymś bardzo niebezpiecznym.

Owen Welles nie może więc zrozumieć, dlaczego jego myśli wciąż zaprzęta kaszmirowy sweter barwy morskiej zieleni. Podejrzewa, że przyczyną jest niecodzienne życzenie Liz. Większość ludzi wybierających się do Studni musiała być zatrzymana dla ich własnego dobra – w przeciwnym razie wpadliby w obsesję na punkcie żyjących na Ziemi. Ma jednak wrażenie, że Liz nie należy do tej grupy.

Czy komukolwiek stałaby się krzywda, gdyby jej ojciec dostał sweter? – zastanawia się Owen. Może dzięki temu rodzice ślicznej dziewczynki, która umarła tak młodo, poczuliby się choć trochę lepiej?

Kawalek sznurka

W chwilach zdenerwowania Liz instynktownie szarpała szwy nad uchem, a nocna wyprawa do Studni okazała się bardzo stresująca. Tamtej nocy, leżąc w łóżku, Liz odkrywa, że szwy zniknęły. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie może przestać płakać.

Podjeżdżewa, że musiały się wysmyknąć podczas nurkowania, pod wpływem działania silnego ciśnienia i wody. Liz nie może się pogodzić z tym, że bezpowrotnie straciła ostatnią pamiątkę ze swego poprzedniego życia. Zastanawia się nawet nad kolejnym zanurkowaniem w celu odnalezienia szwów, lecz szybko porzuca ten pomysł. Po pierwsze, ma zakaz nurkowania, a po drugie, gdyby nawet go nie miała, sznurek (a właściwie poliestrowa linka) jest krótszy niż siedem i pół centymetra i cieńszy niż milimetr – próba odnalezienia go byłaby czystym szaleństwem.

Liz przesuwa małym palcem po ledwie wyczuwalnej bliźnie w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się sznurek. Wie, że wkrótce nie zostanie po niej nawet ślad, a kiedy zniknie zupełnie, będzie tak, jakby nigdy nie mieszkała na Ziemi.

Dziewczyna wybucha śmiechem. Tyle łez wylanych nad kawałkiem sznurka i tragedia z powodu swetra! Jej życie sprowadza się do kłębka nici. Po głębszym zastanowieniu Liz dochodzi do wniosku, że nie jest pewna, kiedy „zgubiła” szwy. Odkąd zaczęła pracę, rzadko czuła potrzebę ich dotykania. Właściwie to nie pamięta, kiedy dotykała je po raz ostatni. Niewykluczone, że wypadły jej już jakiś czas temu (a może były to szwy rozpuszczalne?), a ona niczego nie zauważyła. Liz znowu się śmieje.

Słyszac ten dźwięk, babcia Betty wsuwa głowę do pokoju wnuczki.

– Stało się coś zabawnego? Chętnie pośmieję się z tobą.

– Zostałam aresztowana – odpowiada rozbawiona Liz.

Betty zaczyna się śmiać, ale szybko milknie. Włącza światło w sypialni Liz.

– Nie mówisz poważnie.

– Mówię. Zatrzymano mnie za nielegalne nurkowanie do Studni i próbę Kontakt z tatą – wzrusza ramionami Liz.

– Liz!

– Nie martw się, Betty, dostałam nauczkę. Wycieczka nie była warta zachodu – mówi. – Opowiem ci całą historię.

Betty siada na łóżku Liz. Po wysłuchaniu opowieści wnuczki, oznajmia:

– Wiesz, że wielu ludzi stamtąd nie wypłynęło? Nikt nie jest w stanie wydobyć ich na powierzchnię. Po prostu leżą na dnie oceanu, na wpół martwi.

– Nie musisz się o mnie niepokoić, bo nigdy więcej tam nie wrócę – oświadcza stanowczo Liz. – Najgorszy w tym wszystkim jest fakt, że Alvy będzie mnie wspominał jako kłamczuchę, która na dodatek wpędziła go w tarapaty. Skoro i tak nie miał znaleźć tego swetra, mogłam po prostu powiedzieć: *Hej, Alvy, jesteś wspomniałym bratem i bardzo cię kocham.*

– On o tym wie, Liz – odpowiada Betty.

Liz znów odruchowo sięga do szwów, a raczej do miejsca po nich.

– Betty, jak można się pozbyć tęsknoty za Ziemią?

– Nie można.

– A więc sytuacja jest beznadziejna? – pyta Liz, wzdychając.

– Tego nie powiedziałam, prawda? – strofuje ją Betty. – Oto, co musisz zrobić: napisz listę ziemskich rzeczy, których naprawdę ci brakuje. Zastanów się nad nimi dobrze. To nie może

być zbiór przypadkowych imion, ponieważ mają one reprezentować osoby, za którymi tęsknisz, a tutaj ludzi mamy pod dostatkiem.

– W porządku, zrobię listę. I co dalej?

– Później masz dwa wyjścia: wyrzucić listę i pogodzić się z tym, że nie ma do tych rzeczy powrotu, albo spróbować je wszystkie odzyskać.

– W jaki sposób? – pyta Liz.

– Gdybym to ja wiedziała.

– A jak długa powinna być taka lista?

– Och, na twoim miejscu ograniczyłabym się do trzech, czterech punktów. Góra pięciu.

– Wymyślasz to wszystko na poczekaniu, prawda?

– Nie zapominaj o tym, że sama poprosiłaś mnie o radę! – zauważa Betty. – A teraz powinniśmy się położyć.

Betty idzie w stronę drzwi. Po drodze zatrzymuje się, żeby wyłączyć światło.

– Hej, Betty? – woła za nią Liz. – Dziękuję.

– Za co, skarbie?

– Za... – urywa Liz. – Okazuje się, że jesteś całkiem niezła w tym całym babciowaniu – szepcze.

Następnego dnia w pracy Liz sporządza listę.

Ziemskie rzeczy, których najbardziej mi brakuje

Autor: Elizabeth M. Hall

1) bajgle z wędzonym łososiem, jedzone z mamą, tatą i Alvym w niedzielne poranki

2) przecucie, że lada chwila zdarzy się coś miłego

3) różne zapachy: słodki, ciasteczkowy zapach mamy, wyrazisty, drapiący w nosie, mydlany zapach taty i drożdżowy, przypominający woń chleba zapach Alvy'ego

4) mój kieszonkowy zegarek

Liz czyta swoją listę. Teraz, kiedy ją spisała, nie jest pewna, co powinna z nią zrobić: wyrzucić czy spróbować to wszystko odzyskać? Czy możliwe jest i jedno, i drugie?

A może Betty tylko sobie z niej zażartowała?

Liz zna już odpowiedź. Śmieje się i wyrzuca listę.

Przez chwilę zastanawia się nad swoim kieszonkowym zegarkiem. To dziwne, że od przyjazdu Gdzie Indziej prawie o nim nie myślała. Kiedyś zegarek należał do ojca Liz i przez długie lata stanowił obiekt jej pragnień. Na kopercie wyryto obrazek przedstawiający parę zakochanych w gondoli, a od środka – inicjały jej ojca: A.S.H. Zegarek wydawał bardzo przyjemny dźwięk, jego tykanie przypominało szept dzwonu, a od częstego polerowania srebro przybrało barwę księżycy. W dniu trzynastych urodzin Liz tata powiedział, że osiągnęła odpowiedni wiek, i podaruje jej zegarek, pod warunkiem że będzie o niego dbała. Mniej więcej miesiąc przed śmiercią Liz zegarek stanął. Teraz dręczą ją wyrzuty sumienia, że go wtedy nie naprawiła. Ze zgrozą wyobraża sobie, jak jej ojciec odnajduje popsuty zegarek i myśli, że Liz nie wywiązała się z danej mu obietnicy.

Owen Welles daje nura

Owen Welles urodził się w Nowym Jorku. Jego matką była profesorka college'u, a ojcem – malarz. Oboje nie wychodzili z zachwytu nad swoim jedynym dzieckiem: uśmiechniętym, wygadany, ślicznym chłopcem. Dzieciństwo Owena przebiegło spokojnie i bez problemów. W wieku trzynastu lat poznał rudowłosą Emily Reilly, swoją rówieśniczkę. Emily była dziewczyną z sąsiedztwa, i to dosłownie. Owen mieszkał pod 7C, a Emily pod 7D. Ich sypialnie znajdowały się po dwóch stronach tej samej ściany. Późną nocą, kiedy oboje powinni już spać, Emily i Owen wystukiwali sobie na niej wiadomości alfabetem Morse'a. Wkrótce Owena spotkało to, co wielu chłopców z sąsiedztwa: zakochał się w Emily. Seria balów i innych godnych uwiecznienia na zdjęciu okazji zaprowadziła ich do końca szkoły średniej.

Później dziewczyna wyjechała do college'u w Massachusetts, a Owen został na studiach w Nowym Jorku. Pobrali się w wieku dwudziestu dwóch lat, po czterech latach nabijania niebotycznych rachunków za połączenia międzymiastowe. W przyływie poszanowania dla tradycji, który wszystkich zaskoczył, Emily przyjęła nazwisko po mężu. I tak Emily Reilly stała się Emily Welles.

Owen i Emily z oszczędności przeprowadzili się na Brooklyn. Emily rozpoczęła studia na uczelni medycznej, a Owen został strażakiem. Nie był pewien, czy chce nim być do końca życia, ale lubił swoją pracę i był dobry w tym, co robił.

W roku, w którym ukończyłby dwadzieścia sześć lat, Owen zginął w jednym z pożarów. Osiemdziesięcioletnia staruszka zostawiła włączony palnik, a ogień uwięził w jej mieszkaniu cztery koty. Odnalezienie pierwszych trzech przyszło Owenowi z łatwością, lecz czwarty – biały kociak imieniem Koshka – splątał mu figła: spał w szafie, nieświadomy zagrożenia. Owen znalazł go dopiero następnego dnia. Kot spokojnie lizał futerko, leżąc pod koją Owena na statku *Nil*. Obaj udusili się dymem.

– Konam z pragnienia – miauknęła Koshka. Na nieszczęście dla niego Owen nie mówił po kociemu.

Owen nie potrafił się pogodzić ze śmiercią. Zakochanym umiera się o wiele trudniej.

Przez wzgląd na Emily robił wszystko, co mógł, by wrócić na Ziemię. Próbował się nawet ukryć na statku, ale odnaleziono go przed wypłynięciem z portu.

Nie on pierwszy uzależnił się od lornetek na Tarasie Widokowym. Korzystając z ogromnej liczby pożyczonych monet, obserwował Emily tak długo, że z wysiłku łzawiły mu oczy.

Wykonał rekordową liczbę stu siedemnastu nielegalnych nurkowań do Studni. Czasami udawało mu się skontaktować z Emily, ale najczęściej doprowadzał ją tylko do szaleństwa. Emily bardzo tęskniła za Owenem, a jego w miarę regularne wizyty tylko pogarszały jej stan. Rzuciła studia medyczne, zamknęła się w domu i czekała na znak od Owena, który w końcu zrozumiał, że wyrządza jej krzywdę i będzie musiał z tym skończyć. Nie chciał być odpowiedzialny za zrujnowanie ukochanej życia. Bogate doświadczenie z nielegalnym kontaktem czyniło z Owena doskonałego kandydata do pracy w Biurze Śledczym.

Teraz Owen miał siedemnaście lat, a w Biurze pracował od dziewięciu. Posiadał niewielu przyjaciół i kilku krewnych, z którymi rzadko się widywał. Raz w tygodniu (ani więcej, ani mniej) pozwalał sobie na poobserwowanie Emily przez lornetkę. Każdego czwartkowego wieczoru patrzył, jak jego żona się starzeje, podczas gdy on stawał się coraz młodszy. Trzydziestopięcioletnia Emily była specjalistką od oparzeń (jesienią, po śmierci Owena, wróciła

na uczelnię medyczną). Nie wyszła ponownie za mąż i nadal nosiła obrączkę, podobnie jak Owen, który po przyjeździe Gdzie Indziej kupił sobie nową, w zastępstwie tej, pozostawionej na Ziemi.

W pewnym momencie Owen zorientował się, że prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy swej żony. Z jego obliczeń wynikało, iż najprawdopodobniej wróci na Ziemię, zanim Emily trafi Gdzie Indziej. Nauczył się z tym żyć, ale nawet po dziesięciu latach jedyną osobą, na której mu zależało, była Emily Reilly.

Na pytanie, czy jest żonaty, Owen odpowiadał, że tak, co wydawało mu się jednocześnie prawdą i kłamstwem. Nie będzie chyba dla nikogo zaskoczeniem, że Owen często czuł się jak oszust. Jak mógł radzić innym ludziom, by zrobili coś, na co sam nie potrafił się zdobyć? Największe wyrzuty sumienia odczuwał wtedy, gdy spotykał kogoś takiego jak Liz. Jego zdaniem ta dziewczyna naprawdę chciała żyć dalej, a on jej w tym przeszkodził. Owen czuł, że musi naprawić to, co zepsuł.

Dlatego zdecydował się na wyprawę do Studni i pierwsze od wielu lat zanurkowanie w niej z pobudek osobistych.

Owen zagląda do środka i szybko odnajduje dom Liz w Medford, w stanie Massachusetts, a następnie Alvy'ego, siedzącego przy kuchennym stole ze szklanką soku jabłkowego w ręku.

Owen nurkował w swoim życiu tak wiele razy, że jest prawdziwym ekspertem w nawiązywaniu Kontaktu. Kiedy więc odzywa się przez Studnię, w starym domu Liz odkręca się tylko jeden kran.

– Cześć – mówi Owen.

Alvy wzdycha.

– Pomyliłeś domy. Jedyną zmarłą osobą, jaką znam, jest moja siostra Lizzie.

– Ja również ją znam.

– Jasne – odpowiada Alvy. – Gdy ją spotkasz, powiedz jej, że jestem wściekły. Nie znalazłem niczego w szafie i wpakowałem się w niezłe tarapaty.

– Szukałeś w niewłaściwej szafie – wyjaśnia Owen. – Powinieneś zajrzeć pod podłogę w szafie Liz.

Alvy odkłada szklankę.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Chyba można powiedzieć, że znajomym Liz. A tak w ogóle to jest jej przykro, że miałeś przez nią kłopoty.

– Powiedz jej, że za nią tęsknię – prosi Alvy. – Była całkiem dobrą siostrą, przez większość czasu. O, i złóż jej najlepsze życzenia z okazji Święta Dziękczynienia.

Do kuchni wchodzi ojciec Liz i zakręca kran.

– Dlaczego znowu go odkręciłeś? – pyta syna.

– Sam się odkręcił – odpowiada Alvy. – Tato... proszę, nie gniewaj się na mnie, ale muszę ci coś pokazać w szafie Liz.

Owen patrzy, jak Alvy prowadzi ojca Liz po schodach na górę, odchyła poluzowaną klepkę po lewej stronie i wyjmuje zapakowane w papier pudełko z przyklejoną do niego karteczką: „Dla taty”.

Kiedy po godzinie Owen wynurza się na powierzchnię, koledzy z Biura już na niego czekają.

– Uznałem, że powinnaś się o czymś dowiedzieć. Twój tata dostał sweter. – Owen stoi niepewnie przed biurkiem Liz w jej gabinecie, w wieczór poprzedzający Święto Dziękczynienia. Nie jest ono co prawda oficjalnym świętem Gdzie Indziej, lecz wielu Amerykanów nadal je tutaj

obchodzi.

– Wybrałeś się do Studni z mojego powodu?

– Twój brat... ma na imię Alvy, prawda?

Liz przytakuje.

– Alvy składa ci najlepsze życzenia z okazji jutrzejszego Święta. – Owen odwraca się w stronę drzwi.

– Zaczekaj. – Liz chwyta go za ramię. – Zaczekaj chwilę, nie możesz tak po prostu sobie pójść! – Przytula się do niego. – Dziękuję.

– Proszę – odpowiada szorstko Owen.

– Podobał mu się sweter? – pyta Liz.

– Był nim zachwycony. Pasował do barwy jego oczu, tak jak mówiłaś. – Owen uświadamia sobie, że sweter pasowałby również do koloru oczu Liz.

Dziewczyna ponownie siada za biurkiem.

– Doprawdy, nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Wykonywałem tylko swoje obowiązki.

– Podarowanie swetra mojemu tacie należy do twoich obowiązków?

– No, może niezupełnie – przyznaje Owen.

– Co jeszcze powiedział Alvy?

– Powiedział, że byłaś dobrą siostrą. Właściwie, to powiedział, że byłaś dobrą siostrą przez większość czasu.

Liz śmieje się i chwyta Owena za rękę.

– Przyjdź do nas jutro na kolację z okazji Święta Dziękczynienia. Do nas, czyli do mnie i babci Betty, z którą mieszkam.

– Ja... – Owen odwraca wzrok.

– No tak, zapraszam cię tak późno, że pewnie masz już inne plany – wycofuje się Liz.

Owen zastanawia się przez chwilę. Nigdy nie ma innych planów. Zwykle stara się unikać świąt, takich jak to, które ludzie spędzają w gronie bliskich osób. Nawet po dziesięciu latach planowanie czegoś bez Emily wydaje się Owenowi rodzajem zdrady. Zazwyczaj zjada świąteczną kolację w samotności.

– Dziwna sprawa z tym Świętem Dziękczynienia – odpowiada wreszcie. – Właściwie, dlaczego tyle osób mieszkających tutaj ciągle je obchodzi? Czy to kwestia przyzwyczajenia? Świętujemy tylko dlatego, że zawsze tak robiliśmy?

– Słuchaj, nie musisz przychodzić, jeśli nie...

Owen przerywa jej.

– Ludzie na Ziemi nie bardzo przejmują się całą tą historią z Pielgrzymami i Indianami, która zresztą nie ma absolutnie żadnego związku z tym, co dzieje się tutaj. A jednak co roku wbrew sobie popadam w ten dziękczynny nastrój i nabieram ochoty na robienie dobrych uczynków i opychanie się ciastem, jakbym miał to w sobie zakodowane. Jak myślisz, dlaczego tak się dzieje?

– Wiem, co masz na myśli. We wrześniu chciałam kupić sobie wyprawkę, mimo że nie chodzę już do szkoły – odpowiada Liz. – Chociaż ze Świętem Dziękczynienia jest trochę inaczej. To chyba jedna z tych rzeczy, które robimy, by upodobnić się do naszych bliskich, pozostających wciąż na Ziemi, i poczuć z nimi więź. Jesz ciasto, bo wiesz, że oni również to robią.

Owen kiwa głową. Całe to gadanie o cieście sprawiło, że nabrał na nie jeszcze większej ochoty.

– To o której mam wpaść? – rzuca lekko.

Święto Dziękczynienia

– Zaprosiłam jeszcze jedną osobę na kolację. Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko – oznajmia tego wieczoru Liz. Wcześniej zaprosiła już Aldousa Ghenta z żoną Roweną, Thandi, jej kuzynkę Shelly, chihuahue Paco i kilku swoich podopiecznych z SZD. Zaprosiła również Curtisa Jesta, ale ten odmówił, tłumacząc, że jest Anglikiem i uważa to święto za nieco zbyt kliwe.

– Im nas więcej, tym weselej – odpowiada Betty. Już na Ziemi uwielbiała święta, a po śmierci polubiła je jeszcze bardziej. – Kogo?

– Owena Wellesa.

– To chyba nie ten okropny chłopiec, który wpędził cię w kłopoty przy Studni? – pyta Betty. Wspomnienie „incydentu z prawem” (jak nazywa go Betty) nadal jest dla niej bolesne.

– Właśnie on – mówi Liz.

– Myślałam, że go nie lubisz – dziwi się Betty, unosząc lewą brew.

– Właściwie nie, ale oddał mi przysługę i dałam się ponieść chwili. – Liz wzdycha. – Prawdę mówiąc, Betty, nie spodziewałam się, że przyjmie zaproszenie, a później nie mogłam się już wycofać, rozumiesz?

– Rozumiem – przyznaje Betty ze śmiechem. – Kto będzie następny, Liz? Może chciałabyś zaprosić jeszcze emerytowanego nożownika?

– Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć. – Liz również wybucha śmiechem. – Mamy tu takich?

Tak jak na Ziemi, a przynajmniej w Stanach Zjednoczonych, Gdzie Indziej Święto Dziękczynienia wypada w czwartek.

Pierwsi przychodzą Aldous i Rowena Ghent, a następnie Thandi i Shelly (z ciastem) oraz Paco w kostiumie indyka, przygotowanym specjalnie na tę okazję.

Owen Welles zjawia się jako ostatni. Przez cały ranek wymyślał wiarygodne wymówki, by odwołać swoją wizytę (eksplozja w szambie? nagły wypadek w pracy?), lecz w ostatniej chwili postanawia z nich nie korzystać. Odkąd zawieszono go na miesiąc za nurkowanie w sprawie swetra, ma dużo wolnego czasu. Owen przynosi roślinę doniczkową dla babci Liz.

Nie licząc obecności zmarłych, Święto Dziękczynienia Gdzie Indziej jest dokładnie takie samo jak w pozostałych miejscach, w których się je obchodzi. Chociaż Betty lubi świętować, gotowanie nie sprawia jej przyjemności, dlatego zamówiła wszystkie potrawy w restauracji. Przypadkowo jest to ten sam lokal, który zwykle odwiedzał w to święto Owen. Betty podaje sos żurawinowy (z puszki, ale domowej roboty), ziemniaki (tłuczone i słodkie), chleb kukurydziany, małe, tłuste, drożdżowe bułeczki, casserole z fasolki szparagowej, nadziewane grzyby, cztery rodzaje ciast przyniesione przez Thandi i Shelly (jabłkowe, z orzechami pecan, dyniowe i ze słodkich ziemniaków) oraz indyka z tofu (jego zdecydowanie smaczniejszą wersję).

Betty nalewa wszystkim po dużym kieliszku białego wina. Liz piła już kiedyś wino, ale po raz pierwszy dostaje je od babci, przez co czuje się bardziej dorosła. Po napełnieniu kieliszków Betty mówi:

– Chciałabym wznieść krótki toast. – Odchrząkuje. – Wszyscy przebyliśmy długą drogę, by się tu znaleźć – zawiesza głos.

– Zdrowie! – wykrzykuje Aldous.

– Jeszcze nie skończyłam – mówi Betty.

– Och, przepraszam – odpowiada Aldous. – Myślałem, że toast miał być krótki.
– Nie aż tak krótki – podkreśla Betty.
– Poza tym zawiesiłaś głos – dodaje na swoją obronę Aldous.
– Dla wzmocnienia efektu!
– Toast tej długości byłby idealny – zauważa Rowena Ghent.
– Ja też lubię krótkie toasty – wtrąca Thandi. – Niektórzy ludzie przeciągają je w nieskończoność, a przecież życie jest takie krótkie.
– Tak samo, jak śmierć – rzuca Owen.
– Czy to miał być żart? – pyta Liz.
– Właściwie tak – odpowiada Owen.
– Hm – mówi Liz po chwili zastanowienia. – Całkiem niezły.
Owen patrzy na nią spode łba.
– Jeśli trzeba się zastanawiać nad czymś żartem tak długo, zwykle oznacza to, że...
Betty odchrząkuje ostentacyjnie i ponownie podejmuje swój toast:
– Wszyscy przebyliśmy długą drogę, by się tu znaleźć – zawiesza głos i tym razem nikt jej nie przerywa. Patrzy na Rowenę, Aldousa i Owena, siedzących po jej prawej stronie, oraz Liz, Shelly i Thandi – po lewej. Zagląda nawet pod stół, gdzie Paco i Sadie mają swoje talerze. Nagle Sadie zaczyna burczeć w brzuchu.
– Przepraszam – szczeka.
– I tak już nie pamiętam, co chciałam powiedzieć. Jedźmy – stwierdza Betty ze śmiechem.
Shelly unosi swój kieliszek.
– Za śmiech – mówi. – Zawsze wznosiliśmy taki toast, spędzając święta w domu dziadka.
– Och, to urocze! – wtrąca Rowena. – Za śmiech!
– Za śmiech i zapominanie! – dodaje Liz, posyłając Betty figlarny uśmieszek.
– Za śmiech i zapominanie! – wtóruje jej reszta gości, wznosząc kieliszki. Liz upija mały łyk wina, które wydaje jej się jednocześnie słodkie i gorzkie. Po wypiciu kolejnego łyeczka dochodzi do wniosku, że jednak przeważa słodycz.

Po skończonym posiłku, gdy już wszyscy zapadli w tradycyjną poobiednią drzemkę, Owen oferuje Liz swoją pomoc przy zmywaniu.
– Ty myjesz, ja wycieram – zarządza Liz.
– Ale mycie jest najtrudniejsze – protestuje Owen.
Liz uśmiecha się.
– Powiedziałeś, że chcesz mi pomóc. Nie dodałeś, że w wycieraniu.
Owen podwija najpierw lewy, później prawy rękaw koszuli. Liz zauważa na jego prawym przedramieniu tatuaż: duże czerwone serce z napisem *Emily na zawsze* w środku.
– Pomyliłem się co do ciebie. – W jego głosie słychać nutkę kpiny.
– To znaczy?
– Nie sądziłem, że jesteś typem osoby, która zrzuca na faceta całe zmywanie – mówi.
Liz obserwuje, jak Owen zdejmuje obrączkę i kładzie ją ostrożnie na krawędzi zlewu. Nadal oswaja się z myślą, że ktoś w wieku Owena, siedemnastolatek, może być żonaty. Oczywiście Gdzie Indziej coś takiego zdarza się dość często.
Liz i Owen szybko wpadają we właściwy rytm mycia i suszenia. Owen gwizdże pod nosem. Chociaż Liz nie przepada za gwizdaniem, dochodzi do wniosku, że w jego wykonaniu brzmi ono... może nie przyjemnie, ale całkiem znośnie. Podoba jej się nie tyle gwizdanie, ile wykonawca.

Po kilku minutach Owen zwraca się do Liz:

– Może masz jakieś specjalne życzenie?

– To miło z twojej strony, Owenie, ale... – Liz zawiesza głos – tak naprawdę nie przepadam za gwizdaniem.

Owen śmieje się.

– Przecież gwizdzę już jakieś dziesięć minut. Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Stwierdziłaś, że jestem typem osoby, która zrzuca na faceta całe zmywanie. Nie chciałam być kimś, kto zrzuca na faceta całe zmywanie i na dodatek nie pozwala mu przy tym gwizdać.

– Wolisz, żebym mrucał?

– Zostańmy przy gwizdaniu – kapituluje Liz.

– Hej, ja tylko staram się zapewnić ci trochę rozrywki. – Owen ponownie wybucha śmiechem, a po chwili Liz dołącza do niego. Chociaż nie powiedział nic szczególnie zabawnego, Owen i Liz nie potrafią przestać się śmiać. Liz musi przerwać wycieranie i usiąść. Minęło sporo czasu, odkąd dopadł ją ostatni tak silny atak śmiechu. Kiedy to było? Liz usiłuje sobie przypomnieć.

Tydzień przed śmiercią Liz przymierzała z Zooey swetry w centrum handlowym. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, powiedziała do przyjaciółki:

– Moje piersi przypominają malutkie tipi.

Zooey, która miała jeszcze mniejsze piersi niż Liz, odparła:

– Jeśli twoje przypominają tipi, moje wyglądają jak tipi najechane i doszczętnie spalone przez kowbojów.

Nie wiedzieć czemu, ta uwaga wydała się obu dziewczynkom strasznie zabawna. Śmiały się tak długo i głośno, że ekspedientka zapytała je, czy nie potrzebują pomocy.

Tamto wydarzenie miało miejsce w marcu, teraz był listopad. Czy naprawdę minęło aż osiem miesięcy, odkąd Liz śmiała się ze szczerego serca?

– Co się stało? – pyta Owen.

– Myślałam o tym, że minęło dużo czasu, odkąd coś porządnie mnie rozbawiło – wyjaśnia Liz. – Bardzo dużo czasu. – Wzdycha. – Po raz ostatni śmiałam się w ten sposób z moją przyjaciółką Zooey, kiedy jeszcze żyłam. Wiesz, tamten żart nawet nie był szczególnie zabawny.

Owen kiwa głową.

– Takie właśnie są najlepsze. – Zmywa ostatni talerz, podaje go Liz do wytarcia, po czym zakręca wodę i wkłada na palec obrączkę.

– Chyba trochę tęsknię za domem – przyznaje Liz – ale to najgorszy rodzaj tęsknoty, bo wiem, że nigdy tam nie wrócę i nie zobaczę więcej swojej rodziny.

– To przytrafia się nie tylko Gdzie Indziej – mówi Owen. – Nawet na Ziemi trudno wrócić do tych samych ludzi czy miejsc. Odwracasz się na moment, a kiedy znowu na nie patrzysz, wszystko jest już inne.

Liz przytakuje.

– Staram się o tym nie myśleć, ale czasem doznaję olśnienia: łup! I w jednej chwili przypominam sobie, że nie żyję.

– Musisz wiedzieć, że naprawdę dobrze sobie radzisz, Liz – mówi Owen. – Kiedy trafiłem Gdzie Indziej, przez cały rok byłem uzależniony od TW.

– Miałam podobny problem – przyznaje Liz – ale to już przeszłość.

– To częsta przypadłość, ma nawet swoją nazwę: syndrom podglądacza. Niektórzy ludzie nigdy z tego nie wychodzą. – Nagle Owen spogląda na zegarek: jest już dziewiąta trzydzieści, za pół godziny zamykają Taras Widokowy. – Przepraszam, ale muszę uciekać – mówi. – Co

czwartek odwiedzam Emily, moją żonę.

– Wiem – odpowiada Liz. – Jakiś czas temu siedziałam przy sąsiednim stanowisku i zapytałam, kogo przychodzisz obserwować.

W głowie Owena kołocze się mgliste wspomnienie przygaszonej dziewczynki z tłustymi włosami, ubranej w brudną piżamę. Patrzy na stojącą przed sobą Liz o błyszczących oczach i zastanawia się, czy to możliwe, by była tamtą osobą.

– Miałaś na sobie piżamę? – pyta.

– Byłam wtedy lekko przybita.

– Teraz wyglądasz o niebo lepiej – stwierdza Owen. – Dziękuję ci za kolację. Przekaż podziękowania również swojej babci.

Sadie wchodzi do kuchni w momencie, gdy Owen ją opuszcza. Kładzie kudłatą, złocistą głowę na kolanach Liz, zmuszając swoją panią, by ją pogłaskała.

– Nikt nigdy tak mocno mnie nie pokocha – żali się Liz.

– Ja cię kocham – odpowiada Sadie.

– Ja ciebie też – mówi Liz, wzdychając. Psia miłość jest jedynym, na co może liczyć.

Owen dociera na Taras Widokowy pięć minut przed zamknięciem. Chociaż nie powinna już nikogo wpuszczać, Esther zna Owena i postanawia zrobić dla niego wyjątek.

– Spóźniłeś się dzisiaj, Owene – zauważa.

Owen siada przy tym samym stanowisku co zwykle, wrzuca monetę do szczeliny i patrzy. Zastaje Emily w typowej dla niej pozycji: siedzącą przed lustrem w łazience i czeszącą srebrną szczotką długie, rude włosy. Owen obserwuje ją przez około pół minuty i odwraca wzrok.

Marnuję swoją śmierć – myśli. Upodobniłem się do tych, którzy spędzają całe życie przed telewizorem, zamiast budować prawdziwe relacje z ludźmi. Jestem tu od blisko dziesięciu lat, a moim najpoważniejszym związkiem jest nadal ten z Emily, która myśli, że nie żyję. Bo ja faktycznie nie żyję. Nie pomagam w ten sposób ani jej, ani sobie.

Wychodząc, Owen zwraca się do Esther:

– Co ja tutaj właściwie robię?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiada Esther.

W drodze do samochodu Owen postanawia, że następnego dnia zadzwoni do Liz. *Równie dobrze mogę zacząć od zaopiekowania się psem – myśli.*

Tajemnica

Dlaczego dwoje ludzi się w sobie zakochuje? To tajemnica.

Kiedy Owen dzwoni we wtorek do Liz, od razu przechodzi do sedna.

– Cześć, Liz. Pomyślałem, że przydałby mi się pies – mówi.

– To wspaniale – odzywa się Liz. – A jaki?

– Cóż, właściwie się nad tym nie zastanawiałem. Chyba taki, którego mógłbym zabierać ze sobą do pracy.

– Czyli mały?

– Tak, jeśli nie będzie zbyt mały, chciałbym go też zabierać na piesze wędrówki, biegać z nim i takie tam.

– A więc zależy ci na małym psie, pod warunkiem, że będzie duży? – pyta Liz ze śmiechem.

– Właśnie, zależy mi na małym dużym psie. – Owen również się śmieje. – Najlepiej, żeby to nie była suczka.

– Może wpadniesz do SZD? – proponuje Liz.

Kilka godzin później przedstawia Owena kilku potencjalnym kandydatom. Gdzie Indziej do adopcji może dojść tylko w przypadku, gdy i pies, i człowiek wyrażą na nią zgodę. Tak naprawdę to pies ma w tej sprawie więcej do powiedzenia.

Psy podchodzą do Owena jeden po drugim i obwąchują jego dłoń i twarz. Niektóre pozwalają sobie na krótkie liźnięcie, jeśli Owen wyjątkowo im się spodoba. Ponieważ Owen nie mówi po psiemu, Liz tłumaczy pytania zadawane mu przez czworonogi.

– Czy będę mogła spać w jego łóżku, czy na osobnym legowisku? – chce wiedzieć złocista labradorka imieniem Jen.

– Co ona mówi? – dopytuje Owen.

– Chce wiedzieć, czy pozwolisz jej spać w swoim łóżku.

Owen spogląda na suczkę i drapie ją między uszami.

– Jejku, jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Czy możemy o tym zdecydować później?

Labradorka kiwa głową.

– Jasne, ale bardzo zależy mi na oglądaniu telewizji z kanapy. Nie będziesz mnie z niej ciągle przepędzał, prawda?

– Chce wiedzieć, czy będzie mogła leżeć na kanapie – tłumaczy Liz.

– Pewnie – odpowiada Owen. – Czemu nie?

– OK – odpowiada Jen po chwili zastanowienia i trzykrotnie liże dłoń Owena. – Powiedz, że z nim pójdę.

– Mówi, że chce z tobą zamieszkać – oświadcza Owenowi Liz.

– Czy to nie za szybko? – pyta Owen. – Nie chcę zranić jej uczuć, ale... – ogranicza głos do szeptu. – Wiesz, właściwie to wolałbym psa, nie suczkę.

Liz wzrusza ramionami.

– Jen już podjęła decyzję, ale nie martw się, psy mają nosa do tych spraw.

– Aha – mówi Owen, zaskoczony szybkim obrotem spraw.

– Poza tym – dodaje radośnie Liz – polizała cię po ręce trzy razy, a więc klamka zapadła.

– Nie wiedziałem, że tak to się odbywa – odpowiada Owen.

– Musisz tylko wypełnić kilka formularzy i wszystko będzie oficjalnie załatwione – mówi

Liz.

– OK, ale zapytaj ją jeszcze, czy nie ma choroby morskiej. Większość czasu w pracy spędzam na łodzi – dodaje Owen.

– Wiesz, rozumiem ludzki. Nie wszystkie psy to potrafią, ale ja tak. Po prostu nim nie mówię – oznajmia Jen. – Poza tym uwielbiam łodzie i nie mam choroby morskiej, a przynajmniej nie za często, tylko wtedy, gdy naprawdę kołysz.

– Jen rozumie, co mówisz, i uwielbia łodzie – oświadcza Liz.

Jen wydaje jej kolejne instrukcje.

– Powiedz mu, że lubię dostawać świeżą wodę przynajmniej trzy razy dziennie. Wolę mięsną karmę od suchej. Uwielbiam piłeczki tenisowe, długie spacery po parku i grę w frisbee. Och, i potrafię korzystać z toalety, więc musi zostawiać otwarte drzwi do łazienki. Juuupiii! Jestem taka podekscytowana! – Jen kładzie łapę na ramieniu Owena. – Będzie nam bardzo dobrze we dwójkę, Owenie!

– Co ona mówi? – pyta Owen.

– Uważa, że będzie wam bardzo dobrze razem. – Liz sprytnie streszcza jej wypowiedź.

Po wypełnieniu wszystkich wymaganych formularzy Liz odprowadza Jen i Owena do jego jeepa. Jen natychmiast wskazuje do środka i kładzie się na tylnym siedzeniu samochodu.

– Dzięki za pomoc – mówi Owen.

– Nie ma za co – odpowiada z uśmiechem Liz. – Dlaczego właściwie zdecydowałeś się na psa?

Owen również się uśmiecha.

– Tak naprawdę nie byłem do końca przekonany, dopóki tu nie przyszedłem, a później Jen wzięła sprawy w swoje łapy.

Liz kiwa głową.

– Tak samo było ze mną i Sadie.

– Wiesz – mówi Owen, przestępując z nogi na nogę. – Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś znowu ze mną pozmywać.

– Pozmywać? – dziwi się Liz.

– Mhm – potwierdza Owen. – W ten dziwaczny sposób usiłuję zaprosić cię do siebie na kolację.

– Och, naprawdę? Nigdy bym nie zgadła. – Liz mówi prawdę. Jej doświadczenie w tych sprawach jest niewielkie.

– No wiesz, żeby podziękować ci za Jen. Nie musisz zmywać, chyba że przyjdzie ci na to ochota. Wtedy nie będę cię powstrzymywał.

– Hm – mówi Liz.

Sadie woła Liz z przeciwnej strony parkingu:

– Liz, telefon do ciebie!

– Przepraszam, muszę odebrać – mówi Liz, oddalając się w stronę biura. Po chwili się zatrzymuje. – Zadzwoń do mnie kiedyś! Wiesz, gdzie mnie szukać!

Owen patrzy, jak Liz wbiega do budynku. Blond kucyk (dopiero niedawno jej włosy odrosły na tyle, by mogła je związać) podskakuje rytmicznie przy każdym kroku. *Jest w nim coś przyjemnego i budzącego nadzieję* – myśli Owen. Czeka, aż Liz zniknie w środku, potem wsiada do samochodu i odjeżdża.

W drodze do domu Jen wystawia głowę przez okno i pozwala swoim złocistym uszom falować na wietrze. Nie przestaje czekać ani na moment.

– Nie mam pojęcia, dlaczego tak uwielbiam wystawiać głowę przez okno. Po prostu to lubię i kropka – mówi, kiedy zatrzymują się na czerwonym świetle. – Zawsze miałam do tego słabość, nawet kiedy byłam szczeniakiem. Czy to nie dziwne? Czy to nie dziwne, że coś sprawia

nam przyjemność, a my nawet nie wiemy dlaczego?

Owen bierze szczekanie Jen za objaw podekscytowania i jego interpretacja jest całkowicie trafiona.

Dlaczego dwoje ludzi się w sobie zakochuje? To tajemnica.

Tydzień później Liz i Sadie odwiedzają mieszkanie Owena Wellesa. Jen biegnie się z nimi przywitać.

– Cześć, Liz! Cześć, Sadie! – woła, szczerze podekscytowana ich widokiem. – Miło was widzieć! Owen całkiem dobrze sobie radzi! Pozwala mi spać w swoim łóżku! Próbuję go namówić na przeprowadzkę do domu z ogródkiem! Stara się coś ugotować, ale chyba nie najlepiej mu to wychodzi! Mimo to bądźcie dla niego wyrozumiałe! Nie zrańcie jego uczuć!

Owen uśmiecha się, widząc w proggu Liz i Sadie.

– Kolacja jest już gotowa. Mam nadzieję, że lubicie spaghetti.

Wbrew temu, co powiedziała Jen, Owen nie jest złym kucharzem. (A w ogóle kto powiedział, że psy znają się na gotowaniu?). Liz bardzo docenia jego starania. To pierwszy raz, kiedy gotuje dla niej ktoś spoza rodziny.

Po obiedzie Liz oferuje mu swoją pomoc.

– Tym razem to ja zmywam – mówi – ale nie musisz wycierać ani gwizdać.

Kiedy wszystkie naczynia są już czyste, Liz, Owen, Sadie i Jen idą na spacer do pobliskiego parku.

– Jak ci się układa z Jen? – pyta Liz.

– Jest wspaniała – uśmiecha się Owen. – Nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej nie miałem psa.

– Nie miałeś psa na Ziemi?

– Nie mogłem – odpowiada. – Emily była uczulona. Pewnie nadal jest.

Liz kiwa głową.

– Sposób, w jaki wypowiadasz jej imię... – wzdycha. – Nie potrafię sobie wyobrazić, by ktoś mógł tak wypowiedzieć moje imię.

– Och, jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Ale to prawda.

– Zmarłaś zbyt młodo – zauważa Owen – i pewnie onieśmielałaś chłopców. Może przy następnym podejściu?

– Może – w głosie Liz słychać powątpiewanie. – Mam już wiele planów na to następne podejście.

– Gdybym znał cię wcześniej, może wypowiedziałbym twoje imię w ten szczególny sposób – mówi Owen.

– Każdy człowiek może tak wypowiadać imię tylko jednej osoby, a ty jesteś już zajęty – odpowiada Liz. – Na tym to polega, wiesz?

Owen przytakuje, ale nic nie mówi.

Jego milczenie wywołuje w Liz dziwne, lecz nie jest to nieprzyjemne uczucie i dodaje jej odwagi, by poprosić Owena o przysługę.

– Możesz odmówić, jeśli chcesz – mówi Liz.

– Zaczynam się bać – odpowiada Owen.

Liz wybucha śmiechem.

– Nie bój się, to nic strasznego, przynajmniej tak mi się wydaje.

– A poza tym wiem już, że mogę ci odmówić.

– Chodzi o to, że znudziło mi się proszenie Betty o podwiezienie, ale żeby zdać egzamin

na prawo jazdy, muszę się nauczyć parkowania równoległego i zawracania na wstecznym biegu. Zmarłam, zanim...

– Jasne – mówi Owen, nie pozwalając jej dokończyć. – Nie ma sprawy.

– Mogłabym poprosić o to Betty, ale mamy za sobą nieprzyjemny incydent związany z prowadzeniem przeze mnie samochodu...

Owen ponownie jej przerywa.

– Powiedziałem, że nie ma sprawy. Z przyjemnością ci pomogę.

– Och – mówi Liz. – Dziękuję.

– Chociaż byłoby dobrze, gdybyś opowiedziała mi o tym nieprzyjemnym incydencie – dodaje Owen. – Najlepiej jeszcze zanim zaczniemy.

Dlaczego dwoje ludzi się w sobie zakochuje? To tajemnica.

Przez kolejny tydzień Liz i Owen spotykają się każdego dnia po pracy. Liz dość szybko osiąga perfekcję w zawracaniu na wstecznym biegu, lecz parkowanie równoległe sprawia jej więcej kłopotów.

– Po prostu musisz sobie wyobrazić swój samochód w przestrzeni – tłumaczy jej cierpliwie Owen.

– Ale to wydaje się niemożliwe – mówi Liz. – Skoro jego koła kręcą się w przód i w tył, to jakim cudem mają nagle przesuwać się na boki?

– Sekret tkwi w odpowiednim ustawieniu – odpowiada Owen. – Musisz przekręcić kierownicę do oporu, a później delikatnie cofnąć.

Mija kolejny tydzień, a Liz nie jest ani o krok bliżej opanowania tej umiejętności. Prawie straciła nadzieję, że nauczy się parkować równoległe, i zaczyna się czuć jak matolek.

– Posłuchaj, Liz – mówi Owen – zaczynam podejrzewać, że twój problem ma podłoże psychologiczne. Nie ma powodu, dla którego nie miałabyś zrobić tego poprawnie. Coś powstrzymuje cię od nauczenia się parkowania równoległego. Może powinniśmy dać sobie na dziś spokój?

Tego wieczoru Liz zastanawia się nad przyczyną swojej nieudolności i postanawia zadzwonić do Thandi.

– Zapomniałam o tobie prawie na śmierć – wita się z nią przyjaciółka.

– Dużo ostatnio pracowałam – wyjaśnia Liz. – Poza tym Owen Welles uczył mnie prowadzić samochód.

– Nie wątpię.

– Co to miało znaczyć? – pyta Liz.

– Kiedy byliśmy na spacerze, Sadie powiedziała Paco, że ostatnio często spotykasz się z panem Wellesem.

Liz spogląda na Sadie, która przewraca się na plecy, żeby Liz mogła ją pogłaskać po brzuchu.

– Zdrajca – szepcze dziewczynka. – Owen kocha kogoś innego. – Liz stara się wyjaśnić Thandi. – Poza tym, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Jaaasnee – odpowiada Thandi.

Liz opowiada jej o swoich problemach z parkowaniem równoległym i prosi przyjaciółkę, doświadczonego kierowcę z prawie jedenastomiesięcznym stażem, o opinię.

– Myślę, że nie chcesz się nauczyć parkowania równoległego, Liz.

– Oczywiście, że chcę! – wykrzykuje Liz. – To po prostu zbyt skomplikowane i trudniejsze niż cała reszta! Nie ma w tym za grosz logiki! Wymaga zastosowania wizualizacji, wiary w siebie i pewnej ręki! Trzeba być magikiem, żeby to opanować!

Thandi wybucha śmiechem.

– Może nie chcesz, żeby twoje lekcje z Owenem dobiegły końca? Wiesz chyba, co mam na myśli? Przecież gdyby zależało ci wyłącznie na nauce parkowania i zawracania, poprosiłabyś o pomoc mnie.

– Ciebie? Masz prawo jazdy od niespełna roku!

– Albo Betty? – sugeruje Thandi.

– Daj spokój! Wiesz, co nam się przydarzyło!

– Myślę, że się w nim zakochujesz – droczy się Thandi. – Może nawet już się w nim kooochasz! – Parska śmiechem.

Liz odkłada słuchawkę. Czasami Thandi potrafi ją przejrzeć na wylot. Zdarzają się chwile, kiedy Liz nie może uwierzyć w to, że Thandi jest jej najlepszą przyjaciółką.

Następnego wieczoru Liz udaje się zaparkować równolegle trzy razy z rzędu, bez popełnienia błędu.

– Mówiłem ci, że potrafisz to zrobić, jeśli się porządnie przyłożysz – mówi Owen, wyglądając przez okno. – Chyba skończyliśmy – dodaje.

Liz kiwa głową.

– Wiesz już, co cię powstrzymywało? – pyta Owen.

– To tajemnica – odpowiada Liz, po czym wręcza mu kluczyki i wysiada z samochodu.

Zakochana Liz

– Skąd wiadomo, że jest się w kimś zakochanym? – Liz zadaje to pytanie Curtisowi Jestowi podczas przerwy na lunch.

Curtis unosi pytająco brew.

– Chcesz powiedzieć, że się w kimś zakochałaś?

– To tylko przyjaciel – odpowiada sztywno Liz.

Curtis uśmiecha się.

– Chcesz powiedzieć, że zakochałaś się w swoim przyjacielu? Czyżbyś mi coś sugerowała, Lizzie?

Liz oblewa się rumieńcem.

– Moje zainteresowanie tym tematem jest czysto antropologiczne – mówi.

– Antropologiczne, powiadasz? – Curtis przewraca oczami w wysoce niewłaściwy, zdaniem Liz, sposób.

– Jeśli nie zaczniesz się zachowywać poważnie, to sobie pójdę! – Liz jest nieustępliwa.

– Rety, ale jesteś przewrażliwiona! Czy para przyjaciół nie może czasem pożartować, Lizzie? – Widząc, że Liz nie jest jednak w nastroju do żartów, Curtis poważnieje. – W porządku, skarbie, porozmawiajmy o miłości.

– No więc?

– Moim skromnym zdaniem o miłości można mówić wtedy, gdy ktoś nie potrafi sobie wyobrazić życia bez drugiej osoby. Jesteś rozsądną dziewczynką, więc pewnie już to wcześniej słyszałaś.

– Ale, Curtisie, my jesteśmy martwi! – wtrąca Liz. – Musimy żyć bez ludzi, których nie przestajemy kochać i którzy w dalszym ciągu kochają nas.

– Powiedziałem *wyobrazić*. Tak naprawdę nikt nie potrzebuje drugiej osoby ani jej miłości, by przetrwać. Miłość, Lizzie, jest wtedy, gdy jesteśmy irracjonalnie przekonani, że jest inaczej.

– Ale, Curtisie, czy nie ma ona nic wspólnego ze szczęściem, rozśmieszaniem się i dobrą zabawą w towarzystwie tej drugiej osoby?

– Och, Lizzie – śmieje się Curtis. – Gdyby to było takie proste!

– To bardzo nieuprzejme śmiać się z zupełnie zwyczajnego pytania – zauważa Liz.

Curtis natychmiast poważnieje.

– Przepraszam – mówi, szczerze skruszony. – Chodzi o to, że tylko osoba, która nigdy nie była zakochana, może zadać tak absurdalne pytanie. Dawno temu postanowiłem trzymać się z dala od miłości i od tego czasu jestem o wiele szczęśliwszym człowiekiem.

Wracając autobusem do pracy, Liz zastanawia się nad słowami Curtisa, który w zawołany sposób udzielił odpowiedzi na jej rzeczywiste pytanie: czy jest zakochana w Owenie? Odpowiedź brzmi: nie. Oczywiście, że go nie kocha. Patrząc na to chłodno, Liz czuje się idiotycznie. Po pierwsze, Owen jest zakochany w swojej żonie. Po drugie, śmiech, dobra zabawa i bycie szczęśliwym nie ma nic wspólnego z miłością. Liz oddycha z ulgą. Może się nadal spotykać z Owenem tak często, jak będzie miała ochotę, tkwiąc bezpiecznie w przekonaniu, że go nie kocha, a i on nie darzy jej uczuciem. Miłość to przecież same kłopoty. Liz dochodzi do wniosku, że i tak jest za młoda na romanse. Lepiej będzie, jeśli skoncentruje się na pracy i przyjaciółach. Kropka.

Tak, do pewnego stopnia Liz czuje ulgę, ale nie do końca. Prawdę mówiąc, cieszyła ją

myśl, że Owen może być w niej zakochany, choćby troszeczkę.

Następnego wieczoru po tym, jak Liz opanowuje umiejętność parkowania równoległego, Owen zauważa, że nie ma nic do roboty. Spędził prawie dziesięć lat samotnie i tylko trzy tygodnie w towarzystwie Liz, a mimo to nie pamięta, czym wypełniał sobie wieczory przez ten długi czas poprzedzający te trzy tygodnie. Owen kręci się po mieszkaniu. Zabiera się za czynności, które wykonuje się wyłącznie dla zabicia czasu: czyści podłogę między piekarnikiem a lodówką długą, drewnianą łyżką, i tak zbyt krótką, by mogła spełnić swoje zadanie, siada do lektury *Braci Karamazow*, nowego tłumaczenia, które usiłował przeczytać jeszcze przed śmiercią, zatrzymując się na stronie sześćdziesiątej drugiej, próbuje postawić jajko na sztorc, usypując na kuchennym blacie niewielki kopczyk soli (bez powodzenia), rzeźbi łódkę z kostki mydła i wyrzuca wszystkie skarpetki bez pary. Wszystko to zajmuje mu godzinę, po której Owen opada ze zniechęceniem na kanapę.

– Powinieneś zadzwonić do Liz – zwraca się do niego Jen, złocista labradorka. Niestety Owen w dalszym ciągu nie mówi po psiemu, więc umyka mu jej sugestia. – Jestem pewna, że Liz i Sadie świetnie się bawią. Może je odwiedzisz?

Owen nie odpowiada.

– Owenie, najwyższy czas, żebyś się nauczył psiego. Mogłabym ci wtedy doradzić to i owo – szczeka poirytowana Jen. – Zakochałeś się w Liz, wiesz? Wszyscy to widzą! – Jen drapie we frontowe drzwi i przejmująco wyje. – Zobacz, do czego mnie zmuszasz!

– Chcesz wyjść? – pyta Owen.

– Och, naprawdę tak myślisz? – szczeka Jen z sarkazmem. – No dalej, idziemy! Zabieram cię na spacer.

Jen ciągnie Owena przez całe miasto, aż w końcu docierają do ulicy, przy której mieszka Liz.

Liz, Betty i Sadie dekorują właśnie dom świątecznymi ozdobami. Liz stoi na drabinie, przymocowując do dachu sznur choinkowych lampek. Sadie szczeka na widok zbliżających się Jen i Owena.

– Cześć, Jen! Cześć, Owenie! – wita gości.

Owen uśmiecha się głupkowato do Liz.

– Przyjście tu było pomysłem Jen. Nie chciałbym wam przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz nam, Owenie – odpowiada Betty, która bardzo go polubiła, odkąd nauczył Liz parkowania równoległego. Zauważyła też, że lekcje jazdy znacząco wpłynęły na poprawę nastroju jej wnuczki. – Liz, dokończę to sama. Może zejdiesz i przywitasz się z kolegą?

Liz schodzi z drabiny.

– I tak miałam zamiar zrobić sobie przerwę – oświadcza chłodno.

– Przepraszam – odzywa się Owen. – To był pomysł Jen. Powinniśmy najpierw zadzwonić.

– Jeszcze raz dziękuję za lekcje – mówi Liz nieco bardziej przyjaznym tonem. – Przepraszam, że byłam takim opornym uczniem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiada sztywno Owen, nagle skrępowany. – Kiedy dostaniesz prawo jazdy?

– Okazuje się, że Ośrodek Ruchu Drogowego Gdzie Indziej raczej odbiera ludziom prawa jazdy, niż je przyznaje. Dokumenty wydawane są tylko w drugi i czwarty wtorek miesiąca, z wyjątkiem grudnia. Muszę więc zaczekać do stycznia.

Owen kiwa głową.

– Powodzenia – mówi, przekręcając na palcu ślubną obrączkę. Liz już wcześniej zauważyła u niego ten nerwowy tik. Teraz zaczyna ją to drażnić.

– Powinam pomóc Betty przy świeciakach – oznajmia. – Może pewnego dnia znowu zawędrujesz pod mój dom. – Liz uśmiecha się i odchodzi.

– Może będę wędrował pod twój dom każdego dnia! – woła za nią Owen.

Liz odwraca się i zagląda mu w oczy.

– Ale przecież doprowadziliśmy moje parkowanie równoległe do perfekcji, nie sądzisz?

– Nie przeciwiczyliśmy go na wzgórzu. Pewnie ten wariant nie pojawi się na egzaminie, ale...

– Nie – przerywa mu Liz. – Jeśli chodzi o parkowanie równoległe, lepiej być przygotowanym na wszystko.

– Z ust mi to wyjął – odpowiada Owen.

Na gwiazdkę Liz ofiaruje Owenowi podręcznik do nauki psiego. Owen daje Liz parę puchatych kostek do zawieszenia na wstecznym lusterku jej samochodu (czy raczej autka Betty, które jest jedynym samochodem, poza jeepem Owena, prowadzonym przez Liz).

W ciągu tygodni pozostałych do egzaminu Liz i Owen trenują parkowanie równoległe wszędzie, gdzie tylko się da: na polnych drogach, w pobliżu rzek, pod mostami, na autostradzie, obok stadionów, na plaży i, rzecz jasna, na wzgórzach. W miarę zbliżania się dnia egzaminu Liz niemal ma nadzieję, że obleje.

Wieczorem poprzedniego dnia, kiedy Liz wysiada z samochodu, Owen chwyta ją za rękę.

– Liz, bardzo cię lubię – mówi.

– O! – odpowiada Liz. – Ja też cię bardzo lubię!

Owen nie jest pewien, co oznacza owo „O”: pierwszą literę jego imienia czy zwykły wykrzyknik? Nie wie też, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie. Czuje, że powinien postawić sprawę jasno.

– Mówiąc, że cię bardzo lubię, tak naprawdę miałem na myśli to, że cię kocham.

– O – odpowiada Liz. – Właściwie to ja też – dodaje, zamykając za sobą drzwi.

– No, no – mówi do siebie Owen w drodze powrotnej. – To ci dopiero!

Następnego ranka Liz przyjeżdża do ORD Gdzie Indziej już o siódmej rano, jako pierwsza zdająca. Egzamin idzie jej jak z płatka. Egzaminator stwierdza, że parkowanie równoległe w jej wykonaniu było jednym z najbardziej płynnych, jakie kiedykolwiek widział.

– Gratulacje – mówi Owen do Liz jeszcze tego samego wieczoru. – Ale wiesz co? Jest jedno miejsce, w którym nie przeciwiczyliśmy parkowania. Nie będę się czuł całkowicie bezpiecznie, dopóki tego nie zrobimy.

– Naprawdę? Co to za miejsce? – pyta Liz.

– Cierpliwości. Jesteś moją podopieczną i pod żadnym pozorem nie mogę puścić cię w świat bez uzupełnienia tego braku.

– W porządku – wzrusza ramionami Liz. – Czy możesz mi powiedzieć, gdzie odbędzie się ten rytuał przejścia, który uczyni ze mnie prawdziwego kierowcę?

– Nie – odpowiada z uśmiechem Owen. – Niestety nie mogę.

Owen i Liz po raz kolejny wsiadają do jego samochodu. Liz prowadzi, a Owen od czasu do czasu udziela jej wskazówek co do kierunku jazdy. Wreszcie prosi, by zatrzymała się przed czerwonym neonem wiszącym nad wjazdem do kina samochodowego.

– Będziemy oglądać film? – pyta Liz, spoglądając na ogromnych rozmiarów ekran.

- Nie – odpowiada Owen, płacąc za bilety. – Ćwiczyć parkowanie.
- Myślę, że zaprosiłeś mnie do kina – upiera się Liz – na prawdziwą randkę.
- No cóż, ty to widzisz tak, a ja inaczej – odpowiada ze śmiechem Owen.
- Jaki film będziemy oglądać, ćwicząc parkowanie? – pyta Liz.
- Remake jakiegoś filmu o miłości. Grają Natalie Wood i River Phoenix.
- Zapowiada się ciekawie – oznajmia Liz – ale nie cierpię przeróbek.
- Na szczęście nie przyjechałaś tu po to, by oglądać film.

Po krótkim przystanku na zakup prażonej kukurydzy i napojów dziewczyna parkuje w przednim rzędzie samochodów. Liz i Owen skubią popcorn i czekają na początek filmu.

- To trochę dziwne – odzywa się Liz – że nigdy nie nazywasz rzeczy po imieniu.
 - Co masz na myśli?
 - Kiedy zaprosiłeś mnie na kolację, nazwałeś to *wspólnym zmywaniem*, a teraz sprawiłeś mi przyjemność, zapraszając mnie do kina, i nazywasz to *ćwiczeniem parkowania*.
 - Przepraszam – mówi Owen.
 - Ale ja się nie gniewam. Nawet mi się to podoba – odpowiada Liz. – To trochę tak, jakbyś mówił szyfrem. Dzięki temu mam zajęcie: za każdym razem muszę rozszyfrować twoją wypowiedź.
 - Od tej pory postaram się wysławiać jaśniej – mówi Owen.
- Kiedy zaczyna się film, Owen szepcze do Liz:
- Myślałem, że teraz, kiedy już masz prawo jazdy, nigdy więcej cię nie zobaczę.
- Liz przewraca oczami.
- Czasami jesteś taki głupi, Owenie.

Tydzień później Liz i Owen ponownie trafiają do kina samochodowego.

A po tygodniu znowu.

I kolejnego tygodnia też.

- Czy to nie dziwne, że spędziliśmy tyle czasu w samochodzie i ani razu nie wylądowaliśmy na tylnym siedzeniu? – pyta Liz.
 - Kto teraz mówi szyfrem? – odbija piłeczkę Owen.
 - Odpowiedz na pytanie. Nie sądzisz, że to dziwne?
 - Nie chodzi o to, że nie chcę, Liz, wręcz przeciwnie. – Owen zawiesza głos. – Po prostu nie jestem pewien, czy powinniśmy.
 - Dlaczego?
 - Po pierwsze, jestem od ciebie starszy.
 - Raptem dwa lata.
 - Dwa lata i całe życie lub coś koło tego, ale nie chodzi tylko o mój wiek. – Owen bierze głęboki oddech. – Mam w tych sprawach pewne doświadczenie i wiem, że tylne siedzenie samochodu ma niewiele wspólnego z bliskością. Prawdziwa bliskość to wspólne mycie zębów.
- Owen zdejmuje kurtkę. Liz patrzy na tatuaż *Emily na zawsze*, który nagle przypomina jej o tym, że dawno temu Owen kochał się z Emily. Nagle Liz zauważa, że tatuaż jest bardziej jaskrawy i rzucający się w oczy niż przedtem. Wygląda tak, jakby roztaczał blask.
- Owenie, o co chodzi z tym tatuażem?
 - Och, zrobiłem go sobie, kiedy miałem szesnaście lat, jeszcze na Ziemi. To było głupie.
 - Ale dlaczego jest taki jaskrawy?
- Owen spogląda na swoje ramię.
- Też to zauważyłem. Dziwne, prawda? Kiedyś wydawało mi się, że z biegiem lat zblednie i zniknie, a tymczasem staje się coraz bardziej wyraźny.

– Możesz sobie wytatuować na ramieniu moje imię, jeśli chcesz – rzuca Liz.
– Wiem, ale tatuaże nie bardzo sprawdzają się Gdzie Indziej. Znikają niemal natychmiast po zrobieniu – odpowiada Owen. – Cały ból poszedłby na marne.
– Liczy się gest. Nie rozumiesz? – żartuje Liz.
– O ile dobrze cię zrozumiałem, zgodziłabyś się na to, żebym przez wiele godzin cierpiał katusze dla gestu?
– Tak – odpowiada Liz z kamienną twarzą. – Chciałabym zobaczyć napis *Liz na teraz*, wytatuowany na twoim tyłku.
– Na moim tyłku?
– Właśnie tak. To tylko dziesięć liter, nie powinno cię boleć aż tak bardzo.
– Jesteś sadystką – mówi Owen.
– A moim zdaniem okazałam ci serce. Nie zażądałam przecież wytatuowania mojego pełnego imienia.
– Cóż za wspaniałomyślność!
Liz obejmuje dłońmi ramię Owena i uważnie przygląda się tatuażowi Emily, myśląc:
Kiedyś kochał kogoś tak bardzo, że wytatuował sobie jej imię.
– To nic wielkiego – mówi Owen. – Byłem młody i głupi.
– Naprawdę tak strasznie bolało? – pyta Liz.
Owen kiwa głową.
Liz podnosi wytatuowane ramię do ust – najpierw je całuje, a później gryzie.
– Auć! – zrywa się Owen.
A więc to jest miłość – myśli Liz.

Pasażerka

Gdyby to była książka o Thandi, znalazłaby się w niej historia dawno zapomnianego (przez wszystkich z wyjątkiem jej samej) konkursu ortograficznego, w którym mała dziewczynka umieściła niepotrzebną literę *r* w słowie *bagaż*, i opowieść o jej pierwszej miłości, otyłym chłopcu imieniem Slim, który w tydzień po pogrzebie Thandi zaczął się spotykać z jej kuzynką Beneathą. Można by się było z niej dowiedzieć o tym, że strzał w głowę potrafi wszystko zmienić i jeszcze długo po wygojeniu się rany kolory, zapachy, a nawet wspomnienia wydają się inne, a także o ojcu, którego Thandi nie знаła. Mężczyzna co prawda mieszka teraz Gdzie Indziej, lecz jego córka nie ma ochoty się z nim widzieć. Ponieważ jednak to nie jest opowieść o Thandi, będziemy jej towarzyszyć w całkiem zwyczajnym – przynajmniej dla niej – dniu.

Codziennie po przerwie na lunch, czyli około godziny pierwszej, Thandi otrzymuje listę nazwisk osób przypluwających Gdzie Indziej. Odczytuje je na antenie swojej stacji dopiero o godzinie piątej, dlatego też pozostałe cztery godziny wykorzystuje na przećwiczenie ich wymowy. W większości przypadków nie jest to konieczne. Thandi rzadko się myli. Posiada naturalny dar właściwego odczytywania nawet obco brzmiących nazwisk. A jednak tamtego dnia zatrzymuje się przy prostym, łatwym do wymówienia nazwisku i już po chwili wybiera numer Liz.

– Jak nazywała się kobieta, którą poślubił na Ziemi Owen? Ellen jakaś tam? – Thandi ma nadzieję, że źle je zapamiętała.

– Emily Welles. – To nazwisko wryło się w pamięć Liz równie mocno, jak jej własne. – Dlaczego pytasz?

– Emily Welles... Pewnie wiele kobiet się tak nazywa.

– Thandi, do czego zmierzasz? – naciska Liz.

– Nie ma co owijać w bawełnę, Liz. Jej nazwisko znajduje się na dzisiejszej liście pasażerów. Ta kobieta przyplynie jutro Gdzie Indziej.

Serce Liz gwałtownie przyspiesza, a głos więźnie w gardle.

– To nie musi nic oznaczać – dodaje Thandi.

– Wiem. Oczywiście, że nie. Masz rację. – Liz bierze głęboki oddech. – Ciekawe, czy Owen wie. Od lat nie ogląda tego programu.

Liz decyduje się porozmawiać z nim w cztery oczy. Trudno złapać Owena w ciągu dnia, ponieważ większość czasu spędza na oceanie. Czasami wpada do portu na lunch, więc około drugiej Liz postanawia zaryzykować i zaczekać na niego na przystani.

Owen uśmiecha się na widok dziewczyny.

– Cóż za niespodzianka – mówi, przytulając ją.

Liz miała zamiar od razu powiedzieć mu o Emily, ale jakoś nie potrafi się na to zdobyć.

– Wszystko w porządku? – pyta Owen.

Liz kiwa głową i wciąż milczy, wpatrując się w ocean.

– Zastanawiam się, czy gdzie indziej są inne Gdzie Indziej – mówi w końcu. – To dziwne, że nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Czy wszyscy trafiają w jedno miejsce? Muszą istnieć inne statki, prawda? Może płyną one do tych pozostałych miejsc?

Owen potrząsa głową.

– Wcześniej czy później wszyscy trafiamy Gdzie Indziej.

– Tylko że ono wydaje się dość małe. Na pewno nie może pomieścić wszystkich ludzi, mam rację?

– W gruncie rzeczy Gdzie Indziej jest bardzo duże. Wszystko zależy od punktu widzenia.
– Owen bierze dłoń Liz i przekręca ją wnętrzem do góry. – Tak naprawdę to wyspa – wyjaśnia, kreśląc delikatnie na skórze Liz niewidzialną mapę Gdzie Indziej. – Tutaj zawijają statki, a tu jest Rzeka prowadząca na Ziemię. Nie wiem, czy wiesz, ale Rzeka znajduje się na środku oceanu, którego wody rozstępują się raz dziennie, żeby przepuścić dzieci z powrotem na Ziemię. – Owen rysuje krętą linię Rzeki pośród błękitnych żyłek na nadgarstku Liz, aż do miejsca, w którym znajduje się kciuk. – A tu jest Studnia, miejsce naszego pierwszego spotkania.

Liz przygląda się swojej dłoni. Nadal czuje mrowienie w miejscu, w którym Owen narysował niewidzialne granice. Nagle zaciska palce i cały świat znika.

– Emily przyjeżdża – oznajmia.

– Nie żyje? – pyta Owen po chwili milczenia spokojnym, poważnym tonem.

– Thandi znalazła jej nazwisko na liście pasażerów. Emily zjawi się tutaj jutro.

Owen kręci głową.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta niemal szeptem Liz.

– Wyjść po nią na molo – odpowiada Owen.

– A później?

– Zabrać ją do domu.

– Czy to znaczy, że będzie z tobą mieszkać?

– Oczywiście, że będzie ze mną mieszkać, Liz.

– A co z nami?

Owen nie odpowiada przez chwilę, która ciągnie się w nieskończoność, i wreszcie oświadcza:

– Kocham cię, ale ją poznałem wcześniej. – Kładzie rękę na dłoni dziewczynki. – Nie wiem, jak postąpić, ani co jest słuszne.

Liz patrzy na Owena, który wygląda na szczerze zmartwionego. Nie chce być przyczyną jego smutku. Wsuwa dłoń spod ręki chłopca i odzywa się mocnym, bardzo dojrzałym głosem.

– Prawda jest taka, że dopiero co się poznaliśmy, Owenie. Masz zobowiązania wobec swojej żony. – Liz czeka na jego odpowiedź.

– Nie chcę stracić naszej przyjaźni.

– Nadal będziemy przyjaciółmi – zapewnia Liz. Jest rozczarowana, że tak szybko się z tym pogodził.

– Och, Liz, jesteś wspaniała! – Owen ponownie ją przytula. – Emily to świetna dziewczyna. Myślę, że ją polubisz.

Wieczorem Liz leży zwinięta w kłębek na łóżku obok Sadie i zastanawia się, jak można w jednej minucie kogoś kochać, a w drugiej już nie.

Oczywiście Liz nie ma wielkiego doświadczenia w tych sprawach. Jak przekonało się wielu ludzi, kochanie dwóch osób całym swoim sercem jest możliwe (choć nieszczęśliwie pożądane), tak jak możliwa jest tęsknota za dwoma życiami, jakby jedno nie wystarczyło do pełni szczęścia.

*

Statek przybija do brzegu o zachodzie słońca. Owen zastanawia się, czy Emily go rozpozna. Od ich ostatniego spotkania minęło przecież prawie dziesięć lat. Zauważa, że inni ludzie czekający na molo trzymają tekturowe tabliczki z odręcznie napisanymi imionami bliskich. Może i on powinien sobie taką przygotować?

Emily schodzi na ląd jako druga. Nawet z odległości kilkuset metrów dzielących go od

trapu statku Owen potrafi ją rozpoznać. Na widok jej charakterystycznych rudych włosów ma ochotę śpiewać. Emily ma teraz trzydzieści sześć lat, lecz dla niego wygląda dokładnie tak samo, jak w dniu jego śmierci.

Wypatrzwszy Owena, Emily uśmiecha się i macha do niego.

– Owen! – woła.

– Emily! – Owen przeciska się przez tłum.

Wreszcie Owen i Emily padają sobie w ramiona i całują się. Owen czuje się jak w filmie. Czekał na nią tak długo i oto ma ją teraz na wyciągnięcie ręki.

– Tęskniłeś za mną? – pyta Emily.

– Tylko troszeczkę – żartuje Owen.

Emily odsuwa się od niego na odległość ramienia i mierzy go spojrzeniem od stóp do głów.

– Dobrze wyglądasz – stwierdza.

– Ty też nie najgorzej się prezentujesz – mówi Owen.

Emily zakłada mu włosy za uszy.

– Wyglądasz młodo – zauważa, marszcząc brwi, i przygląda się twarzom zgromadzonych na moło ludzi. – Czy tutaj wszyscy są młodzi?

– Wcześniej czy później tak – odpowiada Owen.

– Co masz na myśli, mówiąc „wcześniej czy później”? – pyta Emily.

Owen uśmiecha się.

– Nie martw się – mówi. – Wszystko układa się tak, jak powinno. Później ci to wyjaśnię.

– Chwyta Emily za rękę. Prowadząc ją w stronę parkingu, Owen czuje, że smutne czasy właśnie się dla niego skończyły, i to raz na zawsze.

W samochodzie Emily pyta:

– Jak to wszystko jest urządzone? Mogę zamieszkać z tobą?

– Oczywiście, że tak – odpowiada Owen. – Jesteś moją żoną.

– Naprawdę? Nadal?

– Oczywiście. – Owen wybuchają śmiechem. – Kim innym miałabyś być?

– A co z *dopóki śmierć was nie rozłączy* i całą tą resztą? – pyta Emily.

– Zawsze myślałem o nas jak o małżeństwie – mówi Owen – a teraz znowu możemy być razem.

Emily kiwa głową, ale nie komentuje tego.

– A ty myślałaś o nas jak o małżeństwie? – dopytuje Owen.

– W pewnym sensie na pewno – mówi Emily. – Tak.

– Mówiłem ci już, jak bardzo się cieszę, że cię widzę? – pyta Owen.

Leżąc tamtej nocy w łóżku, Owen odzywa się do Emily:

– Czy to okropne, że pokochałem grypę i mam ochotę wychwalać ją pod niebiosa?

– Z jednej strony cieszę się, że moja śmierć obudziła w tobie duszę trubadura, a z drugiej martwię tym, że jestem martwa – równowaga została więc zachowana – śmieje się Emily i dodaje: – Grypa... Co za głupi powód, by umrzeć. – Nagle kicha. – Hej, myślałam, że tutaj nie ma chorób!

– Bo nie ma – odpowiada Owen.

Emily kicha raz jeszcze i wtedy Owen przypomina sobie o jej uczuleniu na psią sierść.

(Postanowił oddać Jen pod opiekę Liz na pierwszą noc Emily w mieście – podejrzewał, że będzie im zależało na odrobinie prywatności.).

– Chodzi o to, że... – zaczyna Owen. – Mam psa. Pamiętam o twojej alergii, ale...

Emily nie pozwala mu dokończyć.

– Skąd wiesz, że ciągle ją mam? Może tutaj będzie inaczej.

– Może. – W głosie Owena słychać powątpiewanie.

– Niewykluczone, że kicham, bo nie doszłam jeszcze do siebie po grypie. Czy to w ogóle możliwe?

Owen uważa, że nie, ale postanawia się z tym nie zdradzać.

– Może.

Następnego dnia, kiedy Emily jest na spotkaniu adaptacyjnym, Owen przywozi Jen do domu. Chociaż Jen chce być lojalna wobec Liz, nadal kieruje się zdrowym rozsądkiem. Wie, jak ważne jest zrobienie dobrego wrażenia na Emily. Jak wynika z jej doświadczenia, niewielu ludzi potrafi się oprzeć merdającemu ogonowi, a więc gdy tylko Emily pojawia się w drzwiach, Jen zaczyna nim energicznie wymachiwać.

– Cześć, Emily. Jestem Jen, pies Owena. Miło cię poznać.

– Cześć, Jen – odpowiada Emily.

Jen wyciąga w jej stronę łapę, na którą Emily kicha.

– Na litość boską! – wyrywa się Jen, lecz szybko się poprawia: – Na zdrowie!

– Dziękuję – odpowiada Emily, a po chwili zwraca się do Owena: – Czy to nie dziwne, że twój pies mówi?

– Wspaniale, Emily, znasz psi! – odpowiada Owen. – Niestety nie mogę tego samego powiedzieć o sobie, chociaż bardzo bym chciał. Niektórzy ludzie mają tę umiejętność we krwi, tak jak... – zawiesza głos – moja przyjaciółka Liz.

Emily znowu kicha.

– Jesteś uczulona na psy? – pyta Jen.

– Na Ziemi byłam – przyznaje Emily – ale tutaj chyba nie jestem, prawda?

Jen patrzy na nią z powątpiewaniem.

Emily mówi dalej:

– Pewnie tylko mi się wydaje, że jestem uczulona tak jak wcześniej. Może to problem o podłożu psychosomatycznym? – zgaduje, ponownie kichając.

– Co to znaczy psychosomatyczny? – pyta Jen z zaniepokojeniem.

– To znaczy, że tkwi w mojej głowie, więc wcześniej czy później przestanę mieć na ciebie alergię. Jestem tego pewna.

– Naprawdę? – dopytuje Jen, przekrzywiając łeb.

– Chyba tak. – Emily kicha raz jeszcze. – Miejmy nadzieję.

Jednak następnego ranka Emily ma czerwone i zapuchnięte oczy, a do tego ciągle kaszle i kicha. Mimo alergii nie przestaje odgrywać roli tłumacza między Jen a Owenem.

– Posłuchaj, Owenie – mówi Jen. – Nie chcę mieszkać z kimś, kto bezustannie przy mnie kicha – kontynuuje, smętnie zwieszając ogon. – Czuję się przez to jak niechciany gość.

– Naprawdę bardzo mi przykro z powodu mojej alergii – zwraca się do niej Emily, a później tłumaczy Owenowi: – Jen mówi, że nie chce ze mną mieszkać, bo kępuje ją moje kichanie.

– OK – odpowiada Owen, zadowolony, że Jen wyręczyła go z przykrego obowiązku.

– Owenie, nie zamierzasz zaprotestować, choćby ociupinkę? – Jen smutno zwiesza uszy.

– Przecież zjawiłam się tu pierwsza. Może to ona powinna sobie znaleźć nowe lokum?

– Jen sugeruje, żebym się wyprowadziła, skoro to ona zamieszkała z tobą pierwsza. Może ma rację, Owenie? – Emily znowu kicha.

– Nie – odpowiada Owen. – Jesteś moją żoną. Coś wymyślimy.

Tego wieczoru Jen, która nie jest psem podwórzowym, śpi na ganku.

– Coś wymyślmy – powtarza Owen, usiłując ją udobruchać.
– Może mogłabym zostać chociaż na kanapie? – marudzi Jen. – Podczas naszego pierwszego spotkania obiecałeś, że nigdy mnie z niej nie przegonisz. – Niestety Owen nie rozumie ani słowa.

Trzy dni później Owen zostawia Jen w domu Liz. Emily w dalszym ciągu wierzy, że jej alergia minie, ale Jen ma dość spania na zewnątrz.

– Jak leci? – pyta Liz. Jej zdaniem Owen wygląda na wykończonego, lecz szczęśliwego.
– Świetnie – odpowiada Owen, po czym dodaje szeptem: – Mam nadzieję, że za kilka dni zabiorę Jen z powrotem, ale na razie cała ta sytuacja trochę przerasta Emily.

– Oczywiście – odpowiada z nieszczerym uśmiechem Liz.
– Jak ci idzie prowadzenie samochodu? – pyta Owen. – Parkowanie równoległe nie sprawia ci już kłopotów? Bo jeśli tak, mógłbym...

– Nie – przerywa mu Liz.

– Dziękuję za opiekę nad Jen.

– Nie ma za co. – Liz wzrusza ramionami. – Czasami po prostu się nie udaje.

Owen zabiera się do odejścia.

– A tak przy okazji – mówi Liz – na co zmarła Emily?

– Na grypę.

– Przecież mówiłeś, że była lekarzem! Musiała się zaszczepić.

– To prawda, ale szczepionka nie zadziałała. Nigdy nie ma stuprocentowej gwarancji.

– Wiem – odpowiada Liz.

Odprowadzając wzrokiem samochód Owena, Liz rozmyśla o grypie i o tym, że śmierć większości znanych jej osób nastąpiła w bardziej dramatycznych okolicznościach: Aldous i jego żona zginęli w katastrofie lotniczej, Betty zmarła na raka piersi, ona i Sadie zostały potrącone przez samochód, Curtis i Shelly przedawkowali narkotyki, Thandi śmiertelnie postrzelono w głowę, Owen zginął w pożarze, Esther z powodu Alzheimer'a i pochodnych tej choroby, a Paco utonął. *To się nazywa śmierć* – myśli Liz. *Kto, u diabła, umiera na grypę, nie licząc naprawdę starych ludzi?* Liz zastanawia się nad tym, jak wszystko wywróciło się do góry nogami tylko dlatego, że głupiej Emily nie chciało się porządnie umyć rąk.

Po powrocie do domu Owen zastaje Emily pogrążoną w lekturze broszury zatytułowanej *Poradnik Poszukiwacza Alternatywnej Profesji*, którą otrzymała w Biurze Pośrednictwa Zająciowego Gdzie Indziej.

– Wygląda na to, że nie mogę już być lekarką – oznajmia Emily. – Mogłabym się zatrudnić w centrum zdrowia, ale ta praca bardziej przypomina pielęgniarstwo.

– Przykro mi – mówi Owen.

– Niepotrzebnie. Nie wiem, czy chciałabym być lekarką, nawet gdybym wciąż miała taką możliwość.

– Wiesz już, co chcesz robić?

– Może być jedną z osób, które wypatrują z TW czytających ludzi i przepisują ziemskie książki dla mieszkańców Gdzie Indziej?

– Chyba nie masz na myśli opiekuna książek?

– Właśnie tak. Do wykonywania tego zawodu potrzebna jest dobra znajomość interpunkcji i umiejętność słuchania, które posiadam. Trzeba też być typem sowy – tak jak ja – bo ludzie najczęściej czytają nocą.

– To chyba dość nudne zajęcie – komentuje Owen.

Emily wzrusza ramionami.
– Jako lekarka nigdy nie miałam czasu na czytanie dla przyjemności. Poza tym to tylko praca, nie całe życie.
Owen tylko kręci głową.
– Zawsze byłaś taka ambitna. Opiekun ksiąg? Jakoś mi to do ciebie nie pasuje.
– Może teraz jestem inna? – odpowiada Emily.
Owen postanawia zmienić temat.
– Co tam u twoich rodziców?
– W porządku.
– A u siostry?
– Allie rozwodzi się z Joem.
– Byli tacy zakochani – dziwi się Owen.
– Widocznie im przeszło, O.
– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.
– Dawno ich nie widziałeś – zauważa Emily. – Umknęło ci to i owo.
– OK, opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu lat – prosi Owen. – Masz na to pół minuty. Czas start!
– Hm... Ja...
– Szybciej – rozkazuje Owen, spoglądając na zegarek. – Zostały ci dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy sekundy.
Emily śmieje się i zaczyna mówić najszybciej, jak potrafi:
– Skończyłam szkołę medyczną. Zająłam się oparzeniami, na twoją cześć. Bycie lekarzem było w porządku: choroby, wypadki, śmierć. Dużo czasu spędziłam z siostrą...
– Masz jeszcze dziesięć sekund.
– No to muszę się pospieszyć. Allie urodziła synka i nazwała go Owen. Byłam dobrą ciocią. – Nagle zmienia się jej ton głosu. – Czy wiesz, że kiedy umarłeś, byłam w ciąży? Mielśmy dziecko, ale poroniłam, O.
– Czas minął – odzywa się słabo Owen. – Nie miałem o tym pojęcia.
– Co dzieje się z dzieckiem, które umiera przed urodzeniem? – pyta Emily.
– Myślę, że nie udaje mu się nawet dopłynąć do Rzeki. Pewnie dryfuje z powrotem i zbiera siły przed kolejną próbą. Nie jestem pewien.
– A więc jednak przychodzi na świat? W jakiejś innej rodzinie?
– Coś w tym rodzaju – potwierdza Owen.
– Żałuję, że wcześniej o tym nie wiedziałam. Łatwiej byłoby mi znieść smutek.
– Żałuję, że nie mogłem ci pomóc.
Emily wzdycha.
– Mielśmy dziecko – powtarza Owen. – Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?
– Sama dowiedziałam się dopiero po twojej śmierci. Poroziłam w drugim miesiącu, kiedy nie było po mnie nic widać.
– Mimo to powinienem coś zauważyć! Zajmowałem się wyłącznie obserwowaniem cię!
– Nie wszystko można dostrzec. Niektórych rzeczy wolimy nie widzieć – zauważa Emily.
– A ja myślałem, że rozpaczasz z powodu mojej śmierci – szepcze Owen.
– Bo tak było.
– Chciałbym móc się spotkać z naszym dzieckiem. Nadałaś mu jakieś imię?
Emily kiwa głową.
– Tak.
– Jakie?

Emily szepcze mu je do ucha.

– Podoba mi się – mówi miękko Owen. – Nie jest ani zbyt wymyślne, ani zbyt pospolite. Myślę, że on też by je polubił.

Tej nocy Emily przynosi się na kanapę, a Owen zostaje w sypialni. Kładą się o różnych porach i takie rozwiązanie wydaje im się wygodniejsze. Poza tym Owena uszczęśliwia sama myśl o tym, że Emily znajduje się po drugiej stronie ściany. Przypomina mu to czasy, kiedy dorastali razem w Nowym Jorku i używali alfabetu Morse'a, by się komunikować.

Każdy dzień spędzony w jej towarzystwie to dla Owena mały cud. Emily siedząca w fotelu, ubrana w jego koszulę, pogrążona we śnie. Wypełnia swoją obecnością całą przestrzeń, do tego stopnia, że Owen ledwie może w to uwierzyć. Ma ochotę ją ugryźć, by upewnić się, że jest tu naprawdę, robić Emily zdjęcia, skoro wreszcie może. Siedzi beczynn timer i przygląda się jej, chociaż powinien się czymś zająć. Emily jest niesamowita, chciałaby wszystko zobaczyć, więc Owen zabiera ją w swoje ulubione miejsca Gdzie Indziej. Zadaje też mnóstwo pytań (o czym jej mąż zdążył zapomnieć). Owen stara się na nie odpowiedzieć najlepiej, jak potrafi, ale Emily zawsze była od niego mądrzejsza (teraz jest to jeszcze bardziej widoczne) i nie wiadomo, czy te wyjaśnienia jej wystarczają.

W porządku, kilka rzeczy działa mu na nerwy. Wstydzi się o nich choćby wspominać. Emily jest bałaganiarą i lubi rozpoczynać różne domowe przeróbki, których nigdy nie kończy. Poza tym kręci się po domu do późna, robiąc dużo hałasu nawet wtedy, kiedy stara się być cicho. Nigdy nie wyciąga włosów z odpływu umywalki. Zadaje naprawdę dużo pytań. Czasami brakuje im tematów do rozmów, bo jedynym, co ich w gruncie rzeczy łączy, jest przeszłość. Wiele ich rozmów zaczyna się więc od słów: „A pamiętasz, jak...?”. Jednak to, co najbardziej przeszkadza Owenowi, nie ma nic wspólnego z Emily.

Owen stara się o tym wszystkim nie myśleć. Przecież to nadal jego żona.

Pewnego sobotniego popołudnia Liz postanawia wpaść do Owena i odebrać od niego ulubioną piłeczkę Jen, która od tygodnia wierci jej o nią dziurę w brzuchu. Liz uciekała się do różnych wymówek, żeby odwlec tę wizytę. Kiedy wreszcie się na nią decyduje, nie zastaje w domu Owena, lecz Emily. Liz zastanawia się, czy ta kobieta w ogóle wie o jej istnieniu.

– Mam na imię Liz – mówi sztywno. – Opiekuję się Jen. Ty pewnie jesteś Emily.

– Miło cię poznać, Liz. – Emily ściska jej dłoń. – Dziękuję, że zajęłaś się Jen. Mam nadzieję, że moja alergia nie potrwa wiecznie i wcześniej czy później Jen do nas wróci.

Liz kiwa głową.

– Przyszłam tylko po piłeczkę.

– Jasne, już po nią idę. – Po chwili Emily wraca z zabawką i badawczo przygląda się Liz, która kogoś jej przypomina. Nie potrafi sobie jednak przypomnieć kogo. – Jak właściwie poznaliście się z Owenem? – pyta.

– Ja... – Liz zawiesza głos. – Pomogłam mu w adopcji Jen. Pracuję w Sekcji Zwierząt Domowych. Właściwie zaprzyjaźniliśmy się dzięki Jen.

– To ma sens – mówi Emily. – Masz ochotę się czegoś napić? Nie spotkałam jeszcze żadnego z przyjaciół Owena i stąd moja ciekawość.

– Naprawdę muszę iść – wykręca się Liz. – Przepraszam.

– Och, nie szkodzi. Pogadamy przy innej okazji.

Liz kiwa głową. Wsiada do samochodu najszybciej, jak się da, i odjeżdża z piskiem opon.

– Hej, Liz! – woła za nią Emily. – Zapomniałaś zabrać piłeczkę!

Po powrocie do domu Liz rzuca się na łóżko i płacze w poduszkę. Betty próbuje ją

pocieszyć.

- Nie płacz, skarbie. Tego kwiatu jest pół świata.
- Na wypadek gdybyś nie zauważyła, nie robię się coraz starsza – odpowiada smutno Liz.
- Nie mam czasu na szukanie kolejnego kwiatka. Kto w ogóle powiedział, że trzeba je lubić? Nie cierpię kwiatów!

– Nadal możesz się przyjaźnić z Owenem, prawda?

Liz nie odpowiada.

– Powinniśmy ich zaprosić na kolację – zauważa Betty.

– Kogo?

– Owena i jego żonę, rzecz jasna.

– Dlaczego?

– Bo to miły gest, a on jest twoim bliskim przyjacielem.

– Myślę, że ten pomysł jest do kitu – odpowiada Liz.

– Zaprosimy ich na przyszłą sobotę – proponuje Betty. – Jestem bardzo ciekawa Emily.

– Poznałam ją dzisiaj.

– Naprawdę? I jaka jest?

– Bardzo ładna – przyznaje Liz. – I dorosła.

Liz gramoli się z łóżka i spogląda w wiszące nad toaletką lustro. Zastanawia się, czy zaczęła już młodziej wyglądać.

Mniej więcej po tygodniu Emily i Owen przychodzą do domu Betty na kolację. Owen cieszy się ze spotkania z Jen i czuje się dumny, mogąc przedstawić wszystkim swoją żonę. Przez większość wieczoru Betty i Emily są pogrążone w rozmowie. Co jakiś czas przerywa ją kichnięcie tej drugiej, mimo że na czas jej wizyty oba psy zostały zamknięte w pokoju Liz. Dziewczynka niewiele się odzywa. Owen usiłuje nawiązać z nią kontakt wzrokowy, ale Liz unika jego spojrzenia. Z powodu uczulenia Emily i milczenia Liz kolacja szybko dobiega końca.

Po wyjściu Emily i Owena Betty pyta:

– Czy po ich wizycie nie czujesz się lepiej?

– Nie bardzo – odpowiada Liz.

– Emily była miła – dodaje Betty.

– Przecież nie twierdzę inaczej – cedzi przez zęby Liz.

W drodze powrotnej Emily pyta Owena:

– Lubisz Liz, prawda?

Owen milczy.

– Nie musisz mieć z tego powodu wyrzutów sumienia – ciągnie Emily. – Gdybyś ją polubił, to byłaby najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Liz jest w twoim wieku, a ty nie mogłeś przewidzieć, że się tu pojawię.

Owen kręci głową.

– Kocham cię, Em, i nigdy nie przestanę.

– Wiem o tym – odpowiada Emily.

Tego samego wieczoru Liz ma właśnie zamiar wskoczyć do łóżka, kiedy zauważa na nim wielką żółtą kałużę.

– A co tu się stało? – zwraca się do Sadie.

– Nie patrz na mnie! To Jen. Chyba cierpi na syndrom opuszczenia. Była przekonana, że Owen przyjechał dzisiaj, by ją zabrać do domu.

– Tego już za wiele! – krzyczy Liz. – Jadę tam! – Zabiera kluczyki Betty ze stolika i zatrząskuje za sobą drzwi.

Z szaleńczo bijącym sercem Liz naciska wiszący przy drzwiach Owena dzwonek.

– Czy ty w ogóle zamierzasz przyjechać po Jen?! – wrzeszczy , gdy ten staje w progu. –
Czy może chcesz ją u mnie zostawić do końca życia?!

– Kto przyszedł, Owene? – woła z głębi domu Emily.
– To tylko Liz – odpowiada Owen.
– Cześć, Liz!
– Tylko Liz? – pyta dziewczynka nieustępliwie.
Owen zamyka drzwi i sprowadza Liz z ganku.
– Przez cały wieczór milczysz jak zakłeta, a później przyjeżdżasz tu i na mnie wrzeszczysz?!

– Myślę, że nie zachowujesz się fair wobec Jen, a ona się tym zamartwia i czuje się porzucona.
– Daj spokój, jestem pewien, że nie ma nic przeciwko mieszkaniu z tobą. Jen cię kocha –
odpowiada Owen.
– Może i tak, ale to nie ja jestem jej właścicielką. Zsikała mi się na łóżko. Zwierzęta nauczony porządku zachowują się tak tylko wtedy, gdy trapią je jakieś problemy.
– Cóż, przykro mi z tego powodu.
– No więc kiedy zamierzasz ją ode mnie zabrać? – nie odpuszcza Liz.
– Niedługo, jak tylko Emily się zdomowi.
– Minęły dwa tygodnie. Nie sądzisz, że jest już dostatecznie zdomowiona?
– Wiesz przecież o jej alergii – wzdycha Owen. – Nie wiem, co robić.
– Podjąłeś wobec Jen zobowiązanie. Obiecałeś, że będziesz się nią opiekował – zauważa Liz.

– Mam również zobowiązania wobec Emily, i to zaciągnięte dużo wcześniej.
– Och, na litość boską! Mam już dość tej całej Emily! – krzyczy Liz.
– A ja myślę, że wcale nie chodzi o nią! – odgryza się Owen.
– Tak dla twojej wiadomości, nie chcę mieć z tobą więcej do czynienia. Nie byłoby mnie tu, gdybyś nie zostawił mi swojego psa!
– Naprawdę?
– Naprawdę!

I wtedy, kiedy nie mają sobie już nic do powiedzenia, nagle pogrążają się w długim pocałunku. Liz nie jest pewna, które z nich zaczęło. W każdym razie nie tak wyobrażała sobie ich pierwszy pocałunek.

Kiedy wreszcie Liz odsuwa się od Owena, czuje na sobie czyjś wzrok. Emily przygląda się jej nie tyle ze wściekłością, ile z zaciekawieniem.

– Witaj – mówi Emily. – Usłyszałam krzyki. – Na jej twarzy pojawia się bardzo zagadkowy uśmiech. – Chyba będzie lepiej, jeśli zostawię was samych. – W jej głosie nie słychać wrogości.
– Emily... – odzywa się Owen, ale jej już nie ma. – To wszystko twoja wina! – krzyczy na Liz.
– Moja wina?! Przecież to ty mnie pocałowałeś.
– Miałem na myśli twój przyjazd. To, że pojawiłaś się w moim życiu i tak bardzo je skomplikowałaś – wyjaśnia Owen.
– Co chcesz przez to powiedzieć? – nie rozumie Liz.
– Kochałem Emily. Kocham ją. Może gdybym to ciebie spotkał pierwszą, wszystko potoczyłoby się inaczej, ale tak się nie stało.

Owen odchodzi w stronę schodków na ganek. Wygląda, jakby uszła z niego cała energia.

- Emily jest moją żoną, Liz, i nic nie mogę na to poradzić, nawet gdybym chciał.
- Będę się nadal opiekować Jen – mówi Liz, po czym wsiada do samochodu i odjeżdża.

Klauzula Zbiega

Pewnego wieczoru po pracy Aldous Ghent wstępuje na chwilę do SZD. Liz jest jedną z jego ulubionych podopiecznych i często zostawia sobie załatwianie związanych z nią spraw na koniec dnia. Tego wieczoru zastaje Liz, Sadie i Jen stłoczone w gabinecie Liz. Przez cały dzień padało i wszystkie trzy są w pieskim nastroju. W ferworze kłótni o miski na wodę Sadie ugryzła Jen w tylną łapę. Chociaż rana nie była głęboka, duma Jen została nadszarpnięta i teraz labradorka nie odzywa się do Sadie.

– Witam panie – odzywa się radośnie Aldous. Na szczęście dla niego należy do grona osób odpornych na humory otaczających go ludzi oraz zwierząt, dzięki czemu sam prawie zawsze tryska optymizmem. – Jen, Sadie, chciałbym przez chwilę porozmawiać z Liz na osobności. – Psy niechętnie zbierają się do odejścia. Jen ostentacyjnie utyka. – Co nowego u Owena? – pyta Aldous z porozumiewawczym uśmiechem.

– Skąd mam to wiedzieć? – odpowiada Liz.

– Jak powiedział Szekspir: „Nigdy pogodnie prawdziwej miłości strumień nie płynął”³ – droczy się z nią Aldous.

– Skąd mam to wiedzieć? – powtarza Liz.

– O ile dobrze pamiętam, to cytat ze *Snu nocy letniej*.

– Zanim umarłam, zdążyliśmy przeczytać tylko *Makbeta*.

– Cóż, Elizabeth, mamy tutaj dzieła Szekspira.

– Problem z Szekspirem polega na tym, że czyta się go wyłącznie z przymusu – odpowiada Liz. – Gdzie Indziej nikt nie jest zmuszany do czytania Szekspira ani czegokolwiek innego – dodaje z westchnieniem. – Po co tutaj przyszedłeś, Aldousie?

– Jestem pewien, że wkrótce wszystko się ułoży, niezależnie od przyczyny twojej kłótni z Owenem.

– Wątpię. Jego żona niedawno przyплыnęła z Ziemi.

– Ojej, to niewesoło – mówi Aldous, szczerze zbity z tropu tą wiadomością. Po krótkiej chwili nieodłączny uśmiech wraca jednak na jego twarz. – Kiedy pożyjesz tak długo jak ja, dowiesz się, że takie problemy wcześniej czy później same się rozwiązują.

– Cokolwiek to znaczy? – mruczy pod nosem Liz.

– Przyszedłem ci powiedzieć, że w przyszłym tygodniu mija rok od twojego przyjazdu Gdzie Indziej – oświadcza Aldous. – Gratulacje, Liz!

– To wszystko? – pyta kwaśno dziewczynka. Aldous zawsze robi przydługi wstęp, zanim przejdzie do sedna. Liz zazwyczaj wydaje się to zabawne, lecz dzisiaj doprowadza ją do szału.

– Cóż, właściwie to czysta formalność, ale muszę się upewnić, że nie zamierzasz skorzystać z Klauzuli Zbiega.

– Mógłbyś przypomnieć mi, co to takiego?

– Zbiegiem nazywamy nastolatka lub dziecko, które wraca na Ziemię wcześniej, niż powinno – wyjaśnia Aldous. – O ile sobie przypominasz, miałas rok na podjęcie decyzji. Twój rok właśnie mija.

Liz zastanawia się nad słowami Aldousa. Sytuacja z Emily i Owenem kompletnie ją wyczerpała i załamała. Jaki sens ma miłość? Praca, życie, miłość, rozmowa nagle zaczęły przychodzić Liz z ogromnym wysiłkiem. Za piętnaście lat (a nawet mniej) i tak wszystko odejdzie w zapomnienie. Po głębszym zastanowieniu pomysł przyspieszenia całego procesu zaczyna jej się podobać.

- A więc w dalszym ciągu mogę odejść? – pyta.
- Nie mówisz chyba, że masz taki zamiar? – upewnia się Aldous.

Liz kiwa głową.

Aldous przygląda się jej.

– Muszę przyznać, że jestem tym zaskoczony, Elizabeth. Nigdy nie podejrzewałbym cię o chęć zostania Zbiegiem. – Do oczu napływają mu łzy. – A ja myślałem, że pomyślnie się zaadaptowałaś.

– Co muszę zrobić?

– Poinformować rodzinę i bliskich o swojej decyzji – listownie lub w cztery oczy, jak wolisz. Może powinnaś najpierw poradzić się Betty?

– Już podjęłam decyzję, Aldousie – oznajmia Liz. – Chyba jej nie powiesz, co?

Aldous potrząsa głową z nieczęsto spotykanym na jego twarzy wyrazem udręczenia.

– Wszystko, o czym rozmawiamy, jest poufne. Nie mógłbym jej powiedzieć, nawet gdybym chciał. Chociaż prawdopodobnie powinienem to zrobić.

Z jego oczu zaczynają płynąć łzy.

– Czy zrobiłem coś nie tak? A może czegoś nie dopilnowałem? – pyta. – Możesz być ze mną całkowicie szczera.

– Nie, problem chyba tkwi we mnie. – Liz pociesza Aldousa najlepiej, jak umie.

Zdecydowano, że Uwolnienie Liz nastąpi w niedzielę rano, w rocznicę jej przybycia Gdzie Indziej, ostatniego dnia, kiedy może skorzystać z Klauzuli Zbiega. Wróci na Ziemię Rzeką, razem z niemowlętami. Liz myśli, że to dziwne, znaleźć się pośród tak wielu niemowląt. Na dodatek będzie musiała mieć na sobie powijaki. Spaliłaby się ze wstydu, gdyby ktoś ją w tym zobaczył. Oczywiście nikt znajomy nie będzie jej towarzyszył.

Jedyna osoba, którą postanawia wtajemniczyć w swój plan, to Curtis Jest. Pozostali – Betty, Thandi i Sadie – z pewnością usiłowałyby ją odwieść od decyzji o powrocie, a Liz nie ma ochoty na kolejne dramaty. Nie rozmawia z Owenem, więc tak naprawdę zostaje jej tylko Curtis – pozornie zainteresowany życiem innych, lecz jednocześnie trzymający się na uboczu i lekko apatyczny. Na pewno zasmuci go wieść o rozstaniu z Liz, ale nie zrobi niczego, by ją powstrzymać. Dokładnie tego jej potrzeba.

Mimo to zwleka z rozmową jak najdłużej. W końcu mówi mu o wszystkim w sobotni wieczór poprzedzający wyruszenie w podróż.

– Namawianie cię do rezygnacji chyba nie będzie miało większego sensu? – pyta Curtis. Oboje siedzą na moło, z nogami przewieszonymi przez jego krawędź.

– Nie – odpowiada Liz. – Klamka zapadła.

– I nie chodzi o Owena?

Liz wzdycha.

– Nie – mówi wreszcie. – Nie do końca. Ale może po prostu mu zazdrościsz?

– Nie bardzo rozumiem, Lizzie.

– Chodzi o to, że Owen zna Emily jeszcze sprzed przyjazdu tutaj, z Ziemi. Ja nie mam stamtąd żadnej pamiętki. Emily była jego pierwszą miłością. Tego właśnie mi brakuje: chcę być dla kogoś tą pierwszą. Potrafisz to zrozumieć? Czasami mam wrażenie, że nic, co mnie spotyka w tym życiu na opak, nie jest nowe. Wszystko to już się komuś wcześniej przytrafiło. Czuję się tak, jakbym wszystko dostawała z drugiej ręki.

– Liz – zwraca się do niej poważnym tonem Curtis. – Myślę, że gdybyś nawet żyła na Ziemi, w normalnej kolejności, odkryłabyś, że wszystko, co cię spotyka, przydarzyło się już komuś innemu.

– Tak – przyznaje Liz – ale nie byłoby to z góry przesądzone. Nie znalazłbym daty swojej śmierci. Nie wiedziałabym, że za niespełna piętnaście lat znowu stanę się głupim niemowlakiem. Stałabym się dorosła i wreszcie miałabym własne życie.

– Przecież masz własne życie.

Liz wzrusza ramionami. Nie ma ochoty ciągnąć tej rozmowy.

– Muszę ci to powiedzieć, Liz. Myślę, że popełniasz wielki błąd.

Nagle Liz zwraca się przeciwko Curtisowi.

– I kto to mówi?! Spójrz na siebie, cały czas przesiadujesz w porcie, dzień za dniem, i nic nie robisz! Z nikim się nie spotykasz! Nie śpiewasz! Żyjesz na pół gwizdka!

– Właściwie to wcale nie żyję – żartuje Curtis.

– Każde słowo obracasz w żart, wszystko cię śmieszy. Powiedz mi, dlaczego już nie śpiewasz? Może mógłbyś mi coś teraz zanucić, Curtisie?

– Nie śpiewam, bo już to kiedyś robiłem – odpowiada twardo Jest.

– I wcale za tym nie tęsknisz? Czy rzeczywiście jesteś szczęśliwy jako rybak? Chyba nie myślisz, że w to uwierzę? Nawet nie widziałam, żebyś cokolwiek złowił!

– Łowię ryby, po prostu wypuszczam je z powrotem do wody.

– To idiotyczne i kompletnie pozbawione sensu!

– Wcale nie. Kierujemy ryby z powrotem na Ziemię, a poza tym dbamy o malowniczość nabrzeża. Łowienie ryb to uczciwe, godne szacunku zajęcie – oświadcza Curtis.

– O ile nie powinieneś się zajmować czymś innym!

Curtis milczy przez chwilę.

– W zeszłym tygodniu spotkałem ogrodnika nazwiskiem John Lennon.

– Jak to się ma do czegokolwiek? – pyta Liz. Nie jest w nastroju, by wysłuchiwać jego bredni.

– Nijak. Chciałem ci tylko pokazać, że tutaj nie trzeba koniecznie robić tego, czym się kiedyś zajmowało.

– Wiesz, co myślę? Myślę, że jesteś zwykłym tchórzem! – Liz wstaje i odchodzi.

– Swoją zawsze pozna swego, droga Lizzie! – woła za nią Curtis.

Liz siedzi do późna w nocy i próbuje sklecić list do Betty.

Droga Betty,

~~Każdy dzień jest dokładnie taki sam jak poprzedni i nie mogę tego dłużej znieść. Mam wrażenie, że nigdy nie doczekam się niczego ciekawego. Śmierć przypomina bieganie w kółko, wiesz?~~

~~Nie chodzi o Owena.~~

~~Pewnie już wiesz, że wróciłam na Ziemię.~~

~~Wróciłam na Ziemię jako Zbieg.~~

~~Nie martw się o mnie.~~

~~Przepraszam, że dowiadujesz się o tym w taki sposób.~~

~~Przepraszam.~~

~~Zaopiekuj się Sadie i Jen.~~

~~Całuję,~~

~~Liz~~

Liz przepisuje list na czystą kartkę, z pominięciem wykreślonych fragmentów, i kładzie się do łóżka.

Tej samej nocy Owen słyszy pukanie w ścianę. Przysłuchuje się znajomemu, równomiernemu rytmowi: to Emily wystukuje wiadomość alfabetem Morse'a.

– Chcesz, żebym się wyprowadziła? – pyta.

Owen nie odpowiada.

– Chcę to zrobić – wystukuje Emily.

Nadal cisza.

– Zastukaj dwa razy, żebym wiedziała, że mnie słyszysz.

Owen bierze głęboki oddech i wykonuje jej polecenie.

– Nie układa nam się – zauważa Emily.

– Wiem – wystukuje odpowiedź Owen.

– Zawsze będę cię kochała – kontynuuje Emily – ale to nie jest dla nas dobry czas.

– Wiem.

– Mam trzydzieści pięć lat – nie jestem już dawną Emily.

– Wiem.

– Masz siedemnaście lat.

– Szesnaście – poprawia ją.

– Szesnaście!

– Przepraszam – wystukuje łagodnie Owen.

– Nie przepraszaj, O. To twoje życie.

– Ale my nie żyjemy.

Owen słyszy dobiegający zza ściany śmiech Emily, która, zamiast wystukać odpowiedź, staje w drzwiach jego sypialni.

– Po twojej śmierci też chciałam umrzeć. Nie wyobrażałam sobie życia bez ciebie – mówi. – Byłeś całym moim światem. Każde wspomnienie w ten czy inny sposób wiązało się z tobą.

Owen kiwa głową.

– W końcu wróciłam do życia i przestałam na ciebie czekać. Prawdę mówiąc, nie spodziewałam się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę – przyznaje Emily.

– Nikogo nie poślubiłaś – zauważa Owen.

– Już byłam żoną, a poza tym porównywałam wszystkich kandydatów na męża z niedościgłym wzorcem, czyli tobą – śmieje się Emily. – Najzabawniejsze jest to, że kilka miesięcy przed śmiercią poznałam kogoś. To nie było nic poważnego, ale wyglądało obiecująco.

– Nic nie zauważyłem! Ani razu nie widziałem cię w towarzystwie innego faceta! – mówi Owen.

– Od jakiegoś czasu nie przyglądałeś mi się chyba zbyt uważnie – zauważa Emily.

Owen odwraca wzrok.

– Czułam na swój sposób, kiedy mnie obserwowałeś, Owenie. Zauważyłam też, kiedy przestałeś to robić.

Owen nie odpowiada.

– To nic złego, że zakochałeś się w kimś innym. Nie powinienes mieć z tego powodu wyrzutów sumienia – mówi łagodnie Emily.

– Na początku polubiłem ją, bo przypominała mi ciebie – szepcze Owen.

– Chyba mnie dwadzieścia lat temu.

Owen podnosi wzrok i po raz pierwszy od jej przyjazdu naprawdę dostrzega Emily. Wygląda ładnie, może nawet lepiej niż kiedyś, ale też inaczej: jest starsza, bardziej koścista. Jej oczy także się zmieniły, chociaż Owen nie potrafi dokładnie określić, na czym polega ta zmiana.

– Już cię nie znam, prawda? – pyta smutno.

Emily całuje go w czoło i Owenowi zbiera się na płacz.

– Niektórym parom się układa. Niektórym udaje się być tu razem – mówi Owen. –

Dlaczego nie nam?

– Nie martwiłabym się tym zbyttnio – odpowiada Emily. – W każdym razie cieszę się, że mogłam się z tobą znowu zobaczyć.

– Ale to takie niesprawiedliwe, prawda? Mieliśmy się razem zestarzeć.

– Cóż, tutaj i tak nie mielibyśmy na to szansy – zauważa Emily. – Myślę, że mieliśmy dużo szczęścia w porównaniu z wieloma parami. Przeżyliśmy razem tyle cudownych chwil, a teraz jeszcze dostaliśmy drugą szansę. Ilu ludzi może tak o sobie powiedzieć?

– Czy to ma jakiś związek z tym, co się stało na ganku? – pyta Owen.

– Żadnego – zapewnia go Emily. – Ale skoro już o tym wspominasz, wiesz, co wtedy zobaczyłam? – zawiesza głos. – Parę zakochanych w sobie dzieciaków.

Owen zamyka oczy, a gdy je otwiera, Emily już przy nim nie ma. Nagle czuje dziwny ból w przedramieniu. Spogląda na tatuaż, który nigdy wcześniej – nawet w dniu, kiedy dał sobie go zrobić – nie wydawał mu się taki jaskrawy. Namalowane serce pulsuje prawie jak prawdziwe, a po chwili tatuaż znika bez śladu, jeśli nie liczyć lekkiego zaczerwienienia. Można odnieść wrażenie, że nigdy go tam nie było.

Tuż przed zaśnięciem Owen postanawia, że z samego rana odwiedzi Liz.

Na Ziemię

W dniu Uwolnienia Liz budzi się o czwartej. Wodowanie wszystkich niemowląt następuje o wschodzie słońca, kiedy fale przyływu odsłaniają Rzekę. Liz przyjeżdża piętnaście minut przed czasem.

Grupa pielęgniarek przygotowuje niemowlęta do Uwolnienia w Rzece. Pielęgniarka Liz ma na imię Dolly.

– Ojej – odzywa się na jej widok. – Rzadko zdarzają się takie duże dziewczynki jak ty.

– Jestem Zbiegiem – oświadcza Liz.

– No tak, Zbiegami zwykle zajmuje się Joleen, ale jest akurat na urlopie. Tak czy inaczej, musisz wszystko z siebie zdjąć, żebym mogła cię ubrać w powijaki.

– Czy mogę zostawić przynajmniej bieliznę? – pyta Liz.

– Przykro mi, wszyscy muszą wrócić na Ziemię w ubraniu niemowlęcym – odpowiada Dolly. – Rozumiem, że w twoim wieku to dość krępujące, ale inaczej to niemożliwe. Większość dzieci i tak jest nieświadoma. Poza tym, nikt nie będzie wiedział, że pod powijakami jesteś naga. – Dolly wręcza Liz jednorazową koszulę nocną. – W międzyczasie możesz założyć to.

Ubrana tylko w koszulę, Liz kładzie się na wózku na kółkach, przypominającym szpitalne nosze. Pielęgniarka zaczyna owijać ją białym, lnianym bandażem. Zaczyna od stóp, ciasno bandażuje złączone nogi Liz, a później resztę ciała w kierunku głowy. W połowie pracy ściąga z Liz koszulę nocną i okręca białą wstęgą ręce dziewczynki, przyciskając je do boków.

– Dlaczego krępujesz mi ręce? – pyta Liz.

– Im bardziej twoje ciało będzie opływowe, tym łatwiej prąd poniesie cię na Ziemię. Poza tym dzięki temu dzieciom jest cieplej – odpowiada Dolly.

Dolly zostawia szparę na usta, ale poza tym ciało Liz zostaje całkowicie zabandażowane, jak w przypadku mumii. Liz czuje się okropnie w tej pułapce i ledwie może oddychać.

Pielęgniarka toczy ją na brzeg morza i opuszcza do wody. Liz czuje, jak chłodne fale obmywają spowijające ją bandaże.

– Co dzieje się z powijakami po dotarciu na Ziemię?

– Nie martw się. Do tego czasu większość bandaży ulegnie zniszczeniu, a Rzeką zmyje to, co z nich zostanie – wyjaśnia Dolly. – Kiedy słońce zacznie się wychylać znad horyzontu, zobaczysz Rzekę. Popchnę cię, a prąd zanieś twoje ciało z powrotem na Ziemię. Podobno podróż trwa około tygodnia, ale poczucie czasu stracisz raczej dużo szybciej.

Liz przytakuje. Nad horyzontem dostrzega zapowiedź czerwonej poświaty i wie, że zostało jej niewiele czasu.

– Czy mogę cię o coś zapytać? – zwraca się do niej Dolly.

Liz kiwa głową. Ciasne bandaże sprawiają, że praktycznie całe jej ciało zaczyna się trząść.

– Dlaczego ktokolwiek miałby chcieć wrócić na Ziemię przed czasem? – dziwi się Dolly.

– Nie rozumiem, o co pytasz.

– Przecież to wszystko życie, mam rację? Dlaczego tak ci się spieszy z powrotem?

W tej samej chwili na horyzoncie pojawia się słońce. Ocean rozdziela się na dwoje, odsłaniając Rzekę.

– Wschód słońca – oznajmia Dolly. – Czas na ciebie. Przyjemnej podróży! – Mówiąc to, spycha Liz do Rzeki.

Curtis Jest nie może zasnąć. Przez jakiś czas wierci się na swojej drewnianej koi, wreszcie daje sobie spokój ze snem, wstaje z łóżka i jedzie na drugi koniec miasta, do domu Liz. Wie, że jego przyjaciółka mieszka z babcią. Postanawia poinformować kobietę o decyzji wnuczki, nawet jeśli w ten sposób zawiedzie zaufanie Liz. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu żałuje utraty statusu gwiazdy rocka, które zawsze jeżdżą szybkimi samochodami.

Kwadrans po szóstej Curtis dzwoni do drzwi Betty.

– Dzień dobry, szukam babci Lizzie – mówi, przyglądając się stojącej na progu kobiecie.
– Dobry Boże, to chyba nie pani?

– Tak, jestem babcią Elizabeth. A pan?

– Jestem... – Curtis milknie. Przez chwilę nie potrafi sobie przypomnieć swojego imienia ani powodu, dla którego się tu znalazł. Zamiast tego zastanawia się, jak określić kolor oczu Betty. Ostatecznie decyduje się na szaroniebieski, przypominający barwę mglistego poranka, wody w kamiennej fontannie, księżycy, a może gwiazd? Betty o szaroniebieskich oczach – to mógłby być dobry temat na piosenkę...

– Tak? – Betty przerywa jego rozmyślania.

Curtis odchrząkuje, zniża głos, prostuje się i zaczyna mówić:

– Nazywam się Curtis Sinclair Jest. Jestem byłym muzykiem kapeli Machine i zaufanym powiernikiem Elizabeth, dlatego też pozwoliłem sobie na wizytę o tak wczesnej porze. Mam dla pani pilną wiadomość o Lizzie.

– Co się stało Liz? – pyta Owen, wyłaniając się niespodziewanie zza pleców Curtisa. – Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

– Lizzie jest w poważnych tarapatach, Betty – ciągnie Jest. – Będziemy potrzebowali pani samochodu.

Betty bierze głęboki oddech.

– Co się stało? Co się stało Elizabeth? – Nie robi nic, by ukryć przerażenie w swoim głosie. – Chcę wiedzieć, co z moją wnuczką! – krzyczy.

Curtis bierze ją za rękę.

– Jest w drodze na Ziemię. Musimy ją zatrzymać.

– Chyba nie w charakterze Zbiega? – pyta Owen.

Curtis kiwa głową.

– Ale słońce już wzeszło! – wykrzykuje Betty.

Cała trójka spogląda w górę na żółknące niebo, które z każdą sekundą staje się jaśniejsze.

– Mój samochód jest szybszy – mówi Owen, biegnąc w dół podjazdu.

– Boże, miej nas w opiece – szepcze Betty i rusza za nim.

Płynąc coraz szybciej w kierunku Ziemi, Liz rozmyśla o Gdzie Indziej i poznanych tam ludziach. Zastanawia się, jak będą się czuli na wieść o tym, że wyjechała bez pożegnania.

Jej myśli krążą wokół Thandi.

Betty.

Sadie.

Paco, Jen i pozostałych psów...

A także Owena.

Głównie jednak Liz myśli o sobie. Z praktycznego punktu widzenia, spłynięcie w dół Rzeki będzie przecież oznaczało dla niej koniec. Patrząc na to w ten sposób, Liz zastanawia się, czy nie popełniła kolosalnego błędu.

A później zachodzi w głowę, czy jest już za późno, by go naprawić.

Gdyby wróciła Gdzie Indziej, to wcale nie ze względu na Owena, czy którąś z bliskich jej

osób, lecz na siebie. Z Owenem czy bez, prawie piętnaście lat to szmat czasu, prawdziwy dar od losu. Wszystko mogło się wydarzyć Gdzie Indziej, w miejscu, gdzie życie Liz podobno dobiegło końca.

Jeśli je przerwę, nigdy się nie dowiem, co jeszcze mnie tu czekało. Życie jest z gruntu dobre – uświadamia sobie Liz – *nawet tak szalone i biegnące na opak, jak moje.* Trzymanie się kurczowo dawnego życia nie miało sensu. Nie mogła go przecież odzyskać. Po głębszym zastanowieniu Liz dochodzi do wniosku, że życie na opak było jej zwykłym życiem. Czas pożegnania z nim jeszcze nie nadszedł, poza tym Liz z całego serca pragnie poznać jego zakończenie.

Właściwie skąd ten pośpiech? – myśli.

Po nasiąknięciu wodą bandaż zrobiły się sztywne jak gips. Liz kołysze się w przód i w tył, starając się je rozerwać. Nie uwalnia się dzięki temu, ale przekręca o sto osiemdziesiąt stopni, tak że widzi przepływające obok niej, niesione prądem niemowlęta.

Fale uderzają Liz w twarz, a słona woda wdziera się do oczu i płuc. Dziewczynka czuje, że jej nogi stają się coraz cięższe.

Wyciąga do przodu szyję i usiłuje rozerwać bandaż zębami. Po wielu wysiłkach udaje jej się zrobić małą dziurkę, w którą wciska ramię i zaczyna bez końca nim obracać. Boli jak diabli, lecz w końcu Liz uwalnia lewą rękę, którą podnosi na powierzchnię wody.

Wolną ręką usiłuje podźwignąć ciało, ale jest już za późno – zbyt wiele wody dostało się do jej płuc.

Liz tonie, pokonując długą drogę na dno oceanu. Robi się coraz ciemniej. Jej ciało uderza o dno z głuchym odgłosem, unosząc chmurę piasku i szczątków morskich żyjątek. Później traci przytomność.

Następnego ranka Liz budzi się unieruchomiona i zastanawia się, czy umarła. Wtedy jednak odkrywa, że jest w stanie otworzyć oczy, a jej serce bije, choć bardzo wolno, i uderza ją pewna myśl: być może już na zawsze pozostanie na dnie oceanu, zawieszona między życiem a śmiercią, jak duch.

- Przykro mi, stary, ale spóźniliśmy się – mówi Curtis do Owena. – Liz odpłynęła.
- Nie mogę uwierzyć, że zdecydowała się na coś takiego – odpowiada Owen, potrząsając głową. – To do niej zupełnie niepodobne.
- Betty również kręci głową z niedowierzaniem.
- Mnie też trudno w to uwierzyć – wzdycha. – Tuż po przyjeździe wpadła na krótko w depresję. Myślałam, że z tego wyszła, ale najwyraźniej się myliłam.
- Spróbuję ją dogonić łodzią – oświadcza Owen.
- Liz odeszła. Pielęgniarka to potwierdziła. Nic więcej nie możemy zrobić. – Betty piorunuje spojrzeniem Curtisa, który szybko odwraca wzrok.
- Spróbuję ją dogonić łodzią – powtarza Owen.
- Ale... – zaczyna Betty.
- Mogła się rozmyślić, a jeśli tak się stało, będzie potrzebować naszej pomocy.
- Płynę z tobą – mówią jednocześnie Curtis i Betty.
- Przez dwa dni i dwie noce pływają małą łodzią Owena wzdłuż wybrzeży Gdzie Indziej w poszukiwaniu Liz. Drugiej nocy Owen każe Curtisowi i Betty wrócić do domu.
- Dam sobie radę sam – mówi.
- To nie ma sensu, Owenie. Z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale tym razem Liz odeszła na dobre. Ty też powinieneś wrócić do domu – zauważa Betty.
- Owen kręci głową.

– Nie, poświęcę na poszukiwania jeszcze jeden dzień.
Betty i Curtis z ciężkim sercem zgadzają się wrócić do domu.

– Myśli pani, że powinniśmy z nim zostać? – pyta Curtis, siedząc u Betty w kuchni.
Kobieta wzdycha.

– Myślę, że Owen stara się pogodzić z tym, co się stało. Chyba wolał być sam.
Curtis kiwa głową.

– Przepraszam, że nie przyszedłem do pani w sobotni wieczór. Klóciliśmy się o to z Liz i
końcu zobowiązała mnie do milczenia.

– To nie pańska wina. Powinam się była domyślić, że coś jest nie w porządku. Żałuję
tylko, że nie przyszła z tym do mnie.

W tej samej chwili Curtis dostrzega przyczepiony do lodówki liścik z imieniem Betty.

– Proszę spojrzeć, Betty, Liz chyba zostawiła pani wiadomość.

Betty biegnie przez całą kuchnię i odrywa liścik.

– Jak mogłam go wcześniej nie zauważyć?

Curtis wygląda przez okno, dając Betty odrobinę prywatności podczas czytania. Po
niespełna minucie kobieta ciężko opada na krzesło.

– Ten list nie wyjaśnia, dlaczego Liz to zrobiła! Właściwie niczego nie wyjaśnia! – mówi
przez łzy. – Jest pan ostatnią osobą, z którą rozmawiała. Co pańskim zdaniem nią powodowało?

– Nie jestem pewien – odpowiada Curtis po chwili namysłu. – Chyba wydawało się jej, że
nie można tutaj normalnie żyć. Liz chciała być dorosła. Pragnęła się w kimś zakochać.

– Przecież mogła się zakochać tutaj! – zauważa Betty. – Wydawało mi się, że to się już
stało.

– Myślę, że to również stanowiło część problemu.

– Mogła się znowu zakochać! W Owenie lub kimś innym.

– Chyba wydawało jej się, że okoliczności tutaj nieszczęśliwie sprzyjają stałym
związkom – wyjaśnia Curtis.

Betty obejmuje go. Curtis delikatnie wciąga w nozdrza zapach jej włosów, swoistą
mieszankę woni róż i morskiej wody.

– Z drugiej strony – kontynuuje miękkiem głosem – mało gdzie okoliczności są naprawdę
sprzyjające, a mimo to miłość ciągle rozkwita na nowo.

Liz zdaje sobie sprawę z tego, że brakuje jej sił, by wypłynąć na powierzchnię. Ma ich
dość, by żyć, oddychać i młodzić, lecz poza tym jest praktycznie martwa. Tym razem na
poważnie. Jedyne nadzieje w tym, że ktoś ją odnajdzie.

Mimo to Liz wciąż żyje, choć chyba wolałaby umrzeć. Przypomina sobie opowiedzianą
jej przez Owena historię mężczyzny, który utonął w drodze do Studni. Szukano go przez
trzydzieści lat, a kiedy w końcu odnaleziono, był już niemowlęciem gotowym do drogi powrotnej
na Ziemię.

*Skoro wszyscy, a przynajmniej ci, których kocham, myślą, że nie żyję, to równie dobrze
mogłabym być martwa* – myśli Liz, spoglądając w górę. Niewiele jest do roboty na dnie oceanu.

Drugiej nocy spędzonej pod wodą obok Liz przepływają dwie syreny: rudowłosa i
blondynka. Zatrzymują się, żeby na nią popatrzeć.

– Jesteś syreną? – pyta rudowłosa.

Liz nie może odpowiedzieć, ponieważ jej krtań zamknęła się instynktownie, kiedy zaczęła
tonąć. Mruga dwukrotnie.

– Chyba nie – powątpiewa blondynka. – Widzisz? To jakieś głupie stworzenie, które

nawet nie umie mówić.

– A do tego ma malutkie piersi – dodaje ruda syrena, wybuchając śmiechem.

– Wydaje mi się, że to ślimak bez skorupy.

– Nie mów tak. Chyba zraniłaś jego uczucia. Zobacz, zaczęło płakać.

– Guzik mnie to obchodzi. Jest strasznie nudne. Spływajmy stąd – mówi blond syrena, po czym obie radośnie odpływają.

Syreny (wredne, próżne bestie) są jednymi z wielu stworzeń zamieszkujących dno oceanu, krainę między Gdzie Indziej a Ziemią.

Na dnie oceanu, w krainie między Gdzie Indziej a Ziemią

Trzeciego dnia pod wodą ze snu wyrywa Liz dziwny dźwięk, brzącający niczym dalekie wycie syreny okrętowej, dzwonu, a może nawet silnika.

Liz otwiera oczy i dostrzega w oddali znajomy srebrzysty błysk. Lekko je mruży. To gondola! Następnie zauważa, że gondola jest wryta na srebrnym księżycu, przyczepionym do srebrnego łańcuszka, a dźwięk bardzo przypomina tykanie zegara. Serce Liz zaczyna walić jak oszalałe. *To mój stary kieszonkowy zegarek – myśli. Ktoś go naprawił. Jeśli wyciągnę rękę, odzyskam go.*

Zbiera w sobie siły.

Unosi uwolnioną rękę.

Jednak zegarek znajduje się dalej, niż myślała.

Koncentruje się jeszcze bardziej.

Nie poddaje się, dopóki nie uwalnia z powijaków drugiej ręki.

Wymachuje ramionami ze wszystkich sił.

Nie może jednak popłynąć bez pomocy nóg.

Zrywa więc resztę bandaży, aż w końcu jest naga niczym w dniu narodzin.

Jest naga.

Wreszcie jednak udaje jej się uwolnić wszystkie kończyny.

Zaczyna płynąć.

Liz płynie bardzo długo, nie spuszczać oka ze srebrnego księżyca. Gondola staje się coraz większa, podczas gdy reszta zegarka znika. W końcu Liz wypływa na powierzchnię, rozpaczliwie spragniona powietrza i życia.

Kiedy już jej oczy przyzwyczajają się do światła dziennego, Liz nigdzie nie może dostrzec gondoli. Zamiast niej widzi znajomy biały holownik.

– Liz! – woła Owen. – Wszystko w porządku?

Liz nie może wydobyć z siebie głosu. Trzęsie się z zimna, a jej płuca wypełnia woda.

Owen zauważa, że usta Liz są sine.

Wciąga ją na łódź i przykrywa kocem.

Przez bardzo długą chwilę Liz kaszle, usiłując pozbyć się wody z płuc.

– Dobrze się czujesz? – pyta Owen.

– Wygląda na to, że zapodziałam gdzieś ubranie – chrypi Liz. Ma obolałe gardło i skrzeczący głos.

– Zauważyłam.

– Prawie umarłam. Znowu – dodaje.

– Przykro mi.

– A poza tym jestem na ciebie wściekła.

– Przepraszam cię i za to. Mam nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz.

– Zobaczymy.

– Mogę cię odwieźć do domu?

Liz kiwa głową i kładzie się na pokładzie, kompletnie wyczerpana. Czuje na twarzy ciepło promieni słonecznych. Przyjemnie jest płynąć łodzią, która zmierza w kierunku domu. Na myśl o tym od razu wracają jej siły.

– Może będę chciała się nauczyć kierować łodzią – oznajmia Liz, kiedy są już prawie na miejscu.

- Służę pomocą – odpowiada Owen. – Prowadzi się ją podobnie jak samochód.
- Kto cię tego nauczył?
- Mój dziadek, który przez wiele lat był kapitanem statku – i na Ziemi, i tutaj. Niedawno przeszedł na emeryturę.
- Nigdy o nim nie wspominałeś.
- Cóż, ma teraz około sześciu lat...
- Zaczekaj. Twój dziadek nie był chyba kapitanem statku *Nil*?
- To właśnie on.
- To na tym statku przypłynęłam! Poznałam twojego dziadka w dniu przyjazdu! – wykrzykuje Liz.
- Świat jest mały – zauważa Owen.

Odnowa

Przez dwa tygodnie Liz dochodzi do siebie w centrum zdrowia. Choć już po kilku dniach czuje się lepiej, cieszy ją okres rekonwalescencji. Przyjemnie jest być otoczonym opieką bliskich osób (szczególnie gdy wiadomo, że powrót do pełni sił jest wyłącznie kwestią czasu).

Jednym z gości Liz jest Aldous Ghent.

– Cóż, moja droga, wygląda na to, że nie wróciłaś na Ziemię – zauważa.

Liz kiwa głową.

– Najwyraźniej.

– Wiesz, że w tej sytuacji czeka mnie mnóstwo papierkowej roboty. – Aldous wzdycha, a później się uśmiecha.

– Przykro mi. – Liz odwzajemnia jego uśmiech.

– A mnie wręcz przeciwnie. – Mężczyzna przytula ją i głośno pociąga nosem.

– Aldousie, ty płaczesz!

– Znowu ta alergologia! Nasila się szczególnie podczas szczęśliwych spotkań. – Aldous wyciera nos.

– W końcu przeczytałam *Sen nocy letniej* – oświadcza Liz.

– Wydawało mi się, że Szekspira można czytać wyłącznie z przymusu.

– Miałam ostatnio trochę wolnego czasu.

Aldous uśmiecha się.

– I co o nim sądzisz?

– Przypomina mi Gdzie Indziej – odpowiada Liz.

– Pod jakim względem?

– Zachowujesz się jak belfer – upomina go Liz.

– Miło mi to słyszeć. Kiedyś nim byłem, wiesz? A więc co mówiłaś, Elizabeth?

Liz zastanawia się przez chwilę.

– W sztuce pojawiają się dwa światy: fantastyczny i rzeczywisty. Szekspir opisuje je w taki sposób, że w gruncie rzeczy nie ma między nimi wielkiej różnicy. Wróżki są postaciami z krwi i kości, z ludzkimi problemami i w ogóle. Poza tym żyją obok ludzi, razem i jednocześnie osobno. Świat wróżek mógłby być snem, podobnie zresztą jak świat ludzi. To mi się podobało. – Liz wzrusza ramionami. – Nigdy nie byłam dobra z literatury angielskiej. Najbardziej lubiłam biologię i algebrę.

– W rzeczy samej, to zacne przedmioty.

– Właśnie czytam *Hamleta*, ale wiem już, że nie spodoba mi się tak jak *Sen nocy letniej*.

– Dlaczego?

– Hamlet ma obsesję na punkcie śmierci, jakby ta mogła rozwiązać jego problemy – kręci głową Liz. – Gdyby tylko wiedział to, co my.

– Gdyby tylko wiedział! – przyznaje jej rację Aldous.

Pewnego dnia odwiedza ją Curtis Jest.

– Lizzie – zwraca się do niej tonem tak poważnym, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała. – Muszę ci zadać pytanie.

– O co chodzi?

– O Betty – mówi przyciszonym głosem Curtis.

– A konkretnie? – pyta Liz.

- Czy ma jakichś adoratorów? – odzywa się Curtis jeszcze ciszej.
- Nie sądzę. Dlaczego szepczesz?
- Czy istnieje jakiś dziadek do kompletu z babcią Betty? – kontynuuje Curtis, nie przestając szeptać.
- Nie, dziadek Jake powtórnie się ożenił i mieszka na łodzi niedaleko Monterey, w Kalifornii.
- Curtis bierze głęboki wdech.
- A więc twoim zdaniem mam szansę?
- Szansę na co, Curtisie?
- Na Betty.
- Szansę na Betty?! – powtarza podniesionym głosem Liz.
- Nie tak głośno, Liz. Wyjawiam ci mój sekret, na litość boską. – Curtis nerwowo rozgląda się po pokoju. – Uważam, że twoja babcia jest zachwycającą istotą.
- Czy chcesz powiedzieć, że lubisz moją babcię, Curtisie? – pyta szeptem Liz.
- Jestem nią mocno oczarowany. Tak, można to określić w ten sposób.
- Czy Betty nie jest dla ciebie trochę za stara? Zmarła jako pięćdziesięciolatka, a teraz ma coś koło trzydziestu trzech lat.
- Właśnie! Tyle w niej mądrości i ciepła! Poza tym, przynajmniej na razie, sam mam dwadzieścia dziewięć lat. Myślisz, że uzna mnie za niedojrzałego?
- Nie, Betty taka nie jest – odpowiada z uśmiechem Liz. – Powiedz mi tylko, czy ona już o tym wie?
- Jeszcze nie, ale myślałem, by napisać dla niej piosenkę.
- Curtisie, moim zdaniem to cudowny pomysł. – Liz ponownie się uśmiecha. – A gdy już nic innego nie przyjdzie ci do głowy, zawsze możesz skomplementować jej ogród.
- Tak, tak, jej ogród! Tak właśnie zrobię, dziękuję ci bardzo za radę, Lizzie.

Kiedy wreszcie Liz może wrócić do domu, spędza leniwie dni w ogrodzie Betty i kontynuuje rekonwalescencję, wyciągnięta na hamaku, podczas gdy jej babcia dogląda roślin.

Co jakiś czas Betty nieświadomie zagląda do Liz, upewniając się, że jej wnuczka nadal jest na swoim miejscu.

- Nigdzie się nie wybieram – uspokaja ją Liz.
- Betty gwałtownie wciąga powietrze.
- Wydawało mi się, że straciłam cię na zawsze.
- Och, Betty, czy nie wiesz, że coś takiego jak *zawsze* nie istnieje?
- Liz huśta się w hamaku, a Betty wraca do pracy w ogrodzie. Pięć minut później ich spokój zakłóca wizyta Curtisa Jesta, wystrojonego osobliwie w biały garnitur i okrągłe okulary przeciwsłoneczne.
- Cześć, Lizzie – odzywa się sztywno. – Witaj, Betty – dodaje miękko.
- Cześć, Curtisie – naśladuje jego ton Liz.
- Curtis mruga do niej porozumiewawczo. Liz przekręca się na hamaku, udając, że śpi. Sadie zwija się w kłębek za jej plecami. Od powrotu swej pani, stara się być możliwie blisko niej.
- Dobry Boże, Betty – mówi Curtis, zdejmując okulary – pani ogród jest doprawdy zachwycający!
- Dziękuję, panie Jest – odpowiada Betty.
- Czy miałaby pani coś przeciwko, gdybym tu przez chwilę został?
- Liz śpi, a ja właśnie zamierzałam wrócić do domu.
- Och, naprawdę musi pani?

– Tak.

– Cóż, w takim razie może porozmawiamy przy innej okazji – jaką się Curtis. – Do widzenia, Betty. Proszę pozdrowić ode mnie Liz.

Betty przytakuje mu skinieniem głowy.

– Do widzenia.

– Och, Betty – odzywa się Liz, po tym jak Curtis odchodzi. – Byłaś dla niego taka bezlitosna.

– To ty zasnęłaś, kiedy tylko pojawił się na horyzoncie.

– Myślę, że przyszedł tu, żeby spotkać się z tobą – zauważa Liz.

– Ze mną? A po jakie lichy?

– Wydaje mi się, że... – Liz zawiesza głos – postanowił przyjść w konkury.

– W konkury! – Betty wybuchła śmiechem. – To największa nedorzecznosc, o jakiej slyszalam! Curtis Jest to chłopiec, a ja jestem dostatecznie stara, by być jego...

– Dziewczyną – kończy Liz. – Tak naprawdę dzielą was zaledwie cztery lata.

– Kochanie, dałam sobie spokój z miłością, i to ładny czas temu.

– Równie dobrze mogłabyś powiedzieć, że dałaś sobie spokój z życiem, Betty. Życie przyprawione szczyptą miłości lepiej smakuje.

– W dalszym ciągu tak uważasz? Po tym wszystkim, co przeszłaś? – Betty unosi pytająco brew.

Liz łagodnie się uśmiecha i postanawia zignorować jej pytanie.

– Daj Curtisowi szansę, Betty.

– Szczerze wątpię, bym złamała mu serce, jeśli tego nie zrobię. Jestem pewna, że do jutra sobie odpuści – odpowiada sceptycznie.

Tydzień później Liz i Betty zostają obudzone w środku nocy dźwiękami gitary akustycznej.

– To dla ciebie, Betty! – krzyczy stojący w ogródku Curtis, a następnie zaczyna śpiewać, po raz pierwszy od prawie dwóch lat. To nowa piosenka. Liz nigdy wcześniej jej nie słyszała. Od tej pory będzie znana jako *Piosenka dla Betty*.

Nie jest to najlepszy występ ani tekst Curtisa Jesta. Jego słowa są (trzeba to powiedzieć otwarcie) raczej banalne, mówią głównie o przemieniającej sile miłości. W gruncie rzeczy większość piosenek o miłości opowiada właśnie o tym.

Podczas gdy Liz wraca do zdrowia, Owen poświęca się jej bez reszty. Codziennie składa dziewczynie wizytę.

– Co dało ci siłę, by wypłynąć na powierzchnię, kiedy byłaś na dnie oceanu, Liz? – pyta.

– Wydawało mi się, że zobaczyłam unoszący się na wodzie zegarek, który okazał się twoją łodzią.

– Jaki zegarek? – pyta po chwili Owen.

– Kiedy mieszkałam na Ziemi, miałam zegarek, który powinnam była oddać do naprawy. Owen kręci głową z niedowierzaniem.

– Zawdzięczamy twój powrót zepsutemu zegarkowi?

Liz wzrusza ramionami.

– Wiem, że to błahy powód.

– Gdzie Indziej mogłabyś sobie kupić nowy zegarek.

– Może – ponownie wzrusza ramionami Liz.

Następnego dnia Owen wręcza jej złoty zegarek. Stary był ze srebra, ale Liz postanawia to przemilczeć. Poza tym nowy zegarek nie jest kieszonkowy, lecz z bransoletką, wykonaną z

małych złotych ogniw. Liz nigdy nie wybrałaby podobnego, czego również nie zdradza Owenowi.

- Dziękuję – mówi, kiedy ten zapina bransoletkę na jej szczupłym nadgarstku.
- Pasuje do koloru twoich włosów – zauważa Owen, dumny z małego złotego zegarka.
- Dziękuję ci bardzo – powtarza Liz.

Tego samego popołudnia odwiedza ją Jen (która znowu zamieszkała z Owenem, po tym jak Emily wyjechała na szkolenie dla opiekunów ksiąg).

- Podoba ci się zegarek? – pyta. – Pomagałam go wybrać Owenowi.
 - Jest naprawdę piękny – mówi Liz, drapiąc psa między uszami.
 - Nie był pewien, czy zdecydować się na złoto, czy srebro, ale doradziłam mu to pierwsze. Złoto jest wspaniałym kolorem, nie sądzisz? – pyta Jen.
 - Najlepszym. Ale przecież psy nie odróżniają kolorów.
 - Bzdura! Kto ci tak powiedział?
 - Taka opinia panuje na Ziemi.
 - Tamtejsi ludzie bywają zabawni – zauważa Jen, potrząsając łbem. – Skąd mają wiedzieć, czy potrafimy odróżniać kolory, skoro nigdy nas o to nie zapytali? Przecież nawet nie znają psiego języka.
 - Słuszna uwaga.
 - Mieszkając na Ziemi, oglądałam kiedyś program, w którym twierdzono, że psy nie mają uczuć. Możesz w to uwierzyć? – Jen przekrzywia głowę. – Wiesz, Liz, chciałam ci podziękować za użyczenie mi dachu nad głową.
 - Nie ma za co.
 - I przepraszam za to, że – Jen ścisza głos – zsikałam się na twoje łóżko.
 - Dawno o tym zapomniałam – uspokaja ją Liz.
 - To świetnie! Nie zniosłabym, gdybyś się na mnie gniewała!
- Liz kręci głowę.
- Nie gniewałam się na ciebie.
 - Owen sprawuje się teraz znacznie lepiej – zauważa pies. – Uczy się naszego języka i w ogóle.
 - Nie jesteś na niego nawet odrobinę zła? – pyta Liz.
 - Może z początku byłam, ale już mi przeszło. Wiem, że dobry z niego człowiek. Poza tym mnie przeprosił, a ja go kocham. Kiedy się kogoś kocha, czasami trzeba mu wybaczyć. Tak myślę.
- Liz kiwa głową.
- I słusznie.
 - Czy mogłabyś mnie pomasować po brzuszku? – pyta Jen, przewracając się z radością na plecy.

Tego samego wieczoru Liz przygląda się złotemu zegarkowi. *A niech tam* – myśli w duchu. Zegarek w najmniejszym stopniu nie przypomina starego, ale liczą się intencje. Liz potrząsa nadgarstkiem, sprawiając, że ogniwa wydają przyjemny brzęk, przypominający dźwięk dzwonka. Przykłada zegarek do ucha, rozkoszując się tykaniem sekundowej wskazówki. Pięć tyknięć później Liz zapomina o wszystkich jego niedoskonałościach. *Cóż za wspaniały prezent* – myśli.

Wkrótce Liz wybacza także Owenowi. To prawda, że ma swoje wady, ale jest również doskonałym instruktorem nauki jazdy. Liz dochodzi do wniosku, że jeśli już zamierzamy komuś

wybaczyc, lepiej to zrobic wcześniejsz niż później. Doświadczenie podpowiada jej, że później może nadejsz wcześniejsz, niż się tego spodziewamy.

Część III: Antyczne kraje

Czas płynie

Będą kolejne istnienia.

Będą kolejne istnienia dla nerwowych chłopców o spoconych dłoniach, słodko-gorzkich, niewprawnych pieszczot na tylnych siedzeniach samochodów, czapek i sukni barwy błękitu królewskiego i purpury, matek zakładających piękne perłowe naszyjniki na gładkie szyje swoich córek, twojego nazwiska odczytanego na głos w sali pełnej ludzi, nowiutkich walizek, z którymi odwiedzisz dziwnych, nieznanych ludzi, zamieszkujących dziwne, nieznanne kraje.

Będą też kolejne istnienia dla niezapłaconych rachunków, przygód na jedną noc, Pragi i Paryża, ocierających stopę butów o spiczastych noskach, niepodjętych decyzji i rachunków sumienia.

Kolejne istnienia czekają również ojców prowadzących swoje córki przed ołtarz.

Słodkie niemowlęta o skórze jak mleko.

I człowieka, którego nie poznajesz, twarz w lustrze, która już do ciebie nie należy, pogrzeby bliskich osób, kurczenie się, wypadające zęby, włosy porastające twoje policzki, zapominanie o wszystkim. Naprawdę wszystkim.

Och, jest wiele istnień. Bardzo żałujemy, że nie możemy ich przeżyć jednocześnie, zamiast jedno po drugim. Wtedy moglibyśmy wybrać najlepsze fragmenty każdego z nich i nawlec je na sznurek niczym perły. Nie na tym to jednak polega – ludzkie życie jest zachwycającym bałaganem.

W roku, w którym Liz znowu będzie obchodzić trzynaste urodziny, szepcze Betty do ucha:

– Szczęście to kwestia wyboru.

– A zatem co wybierasz? – pyta Betty.

Liz zamyka oczy i w ułamku sekundy podejmuje decyzję.

Mija pięć lat.

Kiedy jesteśmy szczęśliwi, czas płynie bardzo szybko. Liz ma wrażenie, że jednego wieczoru położyła się spać jako czternastolatka, a rano obudziła się, mając dziewięć lat.

Dwa wesela

– Ktoś z Ziemi próbuje się z tobą skontaktować – oświadcza pewnego wieczoru Owen. Odkąd został dyrektorem Biura Śledczego do Spraw Przestępstw Paranormalnych i Kontaktu, jest zwykle jednym z pierwszych mieszkańców Gdzie Indziej, który dowiaduje się o tego rodzaju sprawach.

– Słucham? – Liz ledwie unosi wzrok znad książki. Ostatnio po raz drugi zabrała się za lekturę swoich ulubionych książek z czasów, gdy nauczyła się czytać, jeszcze na Ziemi.

– Co czytasz? – pyta Owen.

– *Pajęczynę Charlotty* – odpowiada Liz. – To naprawdę smutna książka. Jeden z głównych bohaterów właśnie umarł.

– Powinnaś czytać książki od końca do początku – żartuje Owen. – W ten sposób nikt nie umrze, a zakończenie zawsze będzie szczęśliwe.

– To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. – Liz przewraca oczami i wraca do lektury.

– Nie jesteś ciekawa, kto próbuje nawiązać z tobą Kontakt? – pyta Owen, wyjmując z kieszeni płaszcza zieloną zakorkowaną butelkę po winie, z karteczką przyklejoną w miejscu etykiety. Wewnątrz butelki znajduje się zrolowana koperta w kolorze écru. (Właściwie bardziej pofałdowana niż zrolowana ze względu na grubość papieru, z jakiego ją wykonano.)

– Morze wyrzuciło ją dzisiaj na brzeg niedaleko przystani – mówi, podając butelkę Liz. – Chłopcy z Ziemskich Artefaktów musieli ją otworzyć, by sprawdzić, kto jest adresatem, ale zawartość koperty pozostała nietknięta. Przy każdej WWB dokładamy wszelkich starań, by zapewnić jej poufność.

– Co to jest WWB? – pyta Liz, odkładając na bok książkę, by lepiej przyjrzeć się butelce.

– Wiadomość W Butelce – odpowiada Owen. – To jedna z kilku metod przesłania listu z Ziemi Gdzie Indziej. Nikt dokładnie nie wie, na czym ona polega, a mimo to ten sposób działa.

– Nigdy wcześniej nie dostałam takiej wiadomości.

– Nie są już tak popularne jak kiedyś.

– Dlaczego?

– Ludzie na Ziemi coraz rzadziej piszą listy. Pomysł przesłania wiadomości w butelce jakoś nie przychodzi im do głowy. Poza tym nie zawsze się to udaje.

Liz odkorkowuje butelkę i wyciąga z niej grubą kopertę w zdumiewająco dobrym stanie, zważywszy na przebytą przez nią morską podróż. Na przedzie znajduje się adres, wykaligrafowany elegancko ciemnozielonym atramentem:

Panna Elizabeth „Liz” „Lizzie” Marie Hall z osobą towarzyszącą

Niebo lub

Zaświaty lub

Kraina Cieni lub

Wiecznego Szczęścia lub

Wielkie Nieznane lub

Łono Abrahama lub

Pola Elizejskie lub

Valhalla lub

Wyspy Szczęśliwe lub

Raj lub

Królestwo Niebieskie lub

Eden lub

Firmament lub

Nieboskłon lub

Gdziekolwiek się znajdujesz, jakkolwiek nazwać to miejsce

– Bardzo pomysłowo – zauważa Owen – ale czemu nigdy nie piszą Gdzie Indziej?
– Nikt na Ziemi nie zna tego określenia – przypomina mu Liz, przekręcając kopertę.
Adres zwrotny został wykaligrafowany równie starannie:

192 Reed Street

Medford, Massachusetts 02109

– To adres Zooney – mówi Liz, zaglądając do środka koperty, gdzie znajduje trzyczęściowe zaproszenie na ślub i długi, napisany odręcznie list, który dziewczynka natychmiast wsuwa do kieszeni. – *Zaproszenie na ślub Zooney Anne Brandon i Paula Scotta Spencera* – odczytuje na głos. – Moja najlepsza przyjaciółka wychodzi za mąż?

– Była twoją najlepszą przyjaciółką, dopóki nie poznałaś mnie, prawda? – podpuszcza ją Owen.

Liz ignoruje go.

– Wesele odbędzie się w pierwszy weekend czerwca, czyli za mniej niż dwa tygodnie – odrzuca zaproszenie na bok. – Zwlekała z zaproszeniem mnie do ostatniej chwili, nie ma co! – fuka.

– Chyba powinnaś przymknąć na to oko. Wysyłanie listów Gdzie Indziej to nie taka prosta sprawa, wiesz? Pewnie zrobiła to wiele miesięcy temu. – Owen podnosi zaproszenie. – Porządny papier.

– Czy ona nie jest za młoda na małżeństwo? – pyta Liz. – Jesteśmy przecież w tym samym wieku. To znaczy byliśmy – poprawia się. – Właściwie Zooney była starsza ode mnie o miesiąc, czyli ma teraz prawie dwadzieścia dwa lata.

Owen sięga po długopis i zabiera się za wypełnianie karty zwrotnej.

– Czy panienka wybiera się z osobą towarzyszącą?
– Nie – odpowiada Liz.
– A co ze mną? – pyta Owen, otwierając szeroko oczy w geście udawanej urazy.
– Przykro mi, jeśli poczułeś się rozczarowany, O – mówi Liz, wyjmując mu z rąk zaproszenie – ale chyba mielibyśmy pewne problemy z załatwieniem sobie transportu – kończy, ostrożnie wsuwając je do koperty.
– Możemy obejrzyć uroczystość z TW – proponuje Owen.
– Nie chcę się tylko przyglądać – mówi Liz.
– W takim razie zanurkujmy. Ze Studni mogłabyś nawet złożyć Zooey życzenia.
– Nie mogę uwierzyć, że coś takiego w ogóle przyszło ci na myśl. – Liz kręci głową z niedowierzaniem. – Zważywszy na twoje stanowisko.
– Daj spokój, Liz! Gdzie się podział twój zew przygody? Co powiesz na ostatni wiwat, nim staniemy się zbyt młodzi, by zaszaleć?
Liz zastanawia się przez chwilę.
– Kiedy umarłam, Zooey nie pofatygowała się na mój pogrzeb, więc nie widzę potrzeby wzięcia udziału w jej ślubie.

Tej samej nocy, leżąc w łóżku, Liz czyta list od Zooey. Zauważa, że charakter pisma przyjaciółki nie zmienił się od czasu, gdy obie miały po piętnaście lat i wymieniały między sobą wiadomości, siedząc w szkolnej ławce.

Droga Liz,

to istne szaleństwo, pisać do Ciebie po tak długim czasie, ale jak widzisz, wychodzę za mąż! J Bardzo za Tobą tęsknię. Zastanawiam się, gdzie jesteś i co porabiasz. Jeśli i Ciebie ciekawi, co nowego u mnie, wiedz, że studiuje prawo na pierwszym roku na uniwersytecie w Chicago, gdzie teraz mieszkam.

Gdybyś miała czas i chęć, i przypadkiem znalazła się w Bostonie (woleliśmy Chicago, ale mamie udało się postawić na swoim), to wpadnij na nasze wesele. Mój narzeczony ma na imię Paul, przyjemnie pachnie i ma ładne przedramiona.

Wiem, że ten list prawdopodobnie do Ciebie nie dotrze (czuję się trochę tak, jakbym pisała do Świętego Mikołaja, czyli naprawdę dziwnie, biorąc pod uwagę, że jestem Żydówką), ale warto było zaryzykować. Próbowałam się już z Tobą kontaktować przez medium i śpiewającego rabina z brooklińskiego stowarzyszenia Synowie Przymierza, do którego moi rodzice w dalszym ciągu chodzą na msze. A właśnie, mama i tata Cię pozdrawiają. To Paul wpadł na pomysł wysłania listu w butelce. Coś mi się jednak wydaje, że podpatrzył go w jakimś filmie.

Całuję,

Twoja najlepsza przyjaciółka na Ziemi (mam nadzieję)
Zooey

PS Przepraszam, że nie przyszedłam na Twój pogrzeb.

– Chciałabym wnieść toast – oświadcza Liz następnego ranka.
– Proszę bardzo – mówi Owen z filiżanką kawy w ręku. – Zamieniam się w słuch.
– Nie teraz, głuptasie. Miałam na myśli wesele Zooey. Twój pomysł wybrania się do Studni nie jest chyba tak beznadziejny, jak mi się wydawało.
– A więc chcesz zanurkować? – W oczach Owena rozbłyskuje nadzieja.

– Tak, i potrzebuję twojej pomocy przy wygłoszeniu toastu. Moja ostatnia próba porozumienia się przez Studnię skończyła się kompletną katastrofą – mówi Liz.

– O ile dobrze pamiętam, tamtej nocy poznałaś mnie.

– Dlatego właśnie mówię, że skończyło się to kompletną katastrofą.

– To nie było śmieszne – kręci głową Owen.

Liz kontynuuje, niezrażona.

– W domu odkręciły się wszystkie krany i...

– Typowy błąd nowicjusza – przerywa jej Owen.

– Nikt nie mógł mnie zrozumieć – kończy Liz.

– Poza tym zostałaś aresztowana – dodaje Owen.

– Właśnie. Co mam zrobić, żeby goście weselni zrozumieli, co chcę im powiedzieć, i nie uciekli z krzykiem?

– Po pierwsze, nie wolno ci podnosić głosu. Kiedy już uda ci się przyciągnąć ich uwagę, szept sprawdzi się o wiele lepiej. Wrzeszczące duchy przyprawiają ludzi o gęsią skórę – zauważa Owen.

– To cenna wskazówka.

– Musisz sobie wybrać źródło bieżącej wody, skoncentrować się na nim i nie zapominać o kontrolowaniu oddechu. Oczywiście popłynę tam z tobą, jeśli będziesz chciała.

– Nie wylecisz z pracy, jeśli dowiedzą się, że pomogłeś mi w nawiązaniu Kontaktów?

Owen wzrusza ramionami.

– Jestem teraz dyrektorem i wiele rzeczy uchodzi mi płazem.

– W takim razie wszystko ustalone. – Liz uśmiecha się i unosi szklanekę z sokiem pomarańczowym. – Za naszą wyprawę!

– Za naszą wyprawę! – powtarza Owen, podnosząc filiżankę kawy. – Kocham przygody, a ty?

W dniu wesela Zooey, Owen i Liz spotykają się o dwudziestej na plaży. Przyjęcie zaczyna się za pół godziny, a dotarcie do Studni, zgodnie z obliczeniami Owena, powinno im zająć około czterdziestu minut.

– Kiedy już dotrzemy na miejsce, będziesz miała niewiele ponad pół godziny – uprzedza dziewczynkę. – Powiedziałem chłopakom, żeby przy płynęli po nas o dwudziestej pierwszej trzydzieści.

– Myślisz, że to wystarczy? – martwi się Liz.

– Tkwienie tam zbyt długo nie jest najlepszym pomysłem i jak wiesz, wciąż jest niezgodne z prawem.

Liz kiwa głową.

– Nie chcę być niegrzeczny, ale twoja pianka jest trochę za luźna na pupie, Liz – zauważa Owen.

– Naprawdę? – Pyta, pociągając za rozciągliwy materiał, zwisający z jej siedzenia. – Nie jest pierwszej nowości. Ostatni raz używałam jej prawie sześć lat temu – mówi Liz.

– Wyglądasz, jakbyś miała na sobie pieluchę.

– Cóż, najwyraźniej się kurczę. W końcu mam dziewięć lat.

– To niewiele.

– Właściwie to mam dziewięć-sześć lat, a mogłabym mieć dwadzieścia jeden, więc to coś innego niż zwykle dziewięć – oświadcza Liz. – Poza tym sam masz jedenaście lat, Owenie, niewiele więcej niż ja.

– Naprawdę? – dziwi się Owen. – Zdecydowanie nie czuję się jak jedenastolatek.

- Ale często się tak zachowujesz – podpuszcza go Liz.
- Gdybym żył, miałbym czterdzieści jeden lat.
- Byłbyś naprawdę stary! – kręci głową Liz. – Pomyśl tylko: gdybyś ty miał czterdzieści jeden lat, a ja dwadzieścia jeden i oboje nadal mieszkalibyśmy na Ziemi, pewnie nigdy nie byłoby nam dane się spotkać.

Wyprawa przebiega bez większych niespodzianek. Owen przebył tę drogę tak wiele razy, że jest doskonałym przewodnikiem.

Po dotarciu do Studni udaje im się znaleźć tylko jedno źródło bieżącej wody w pobliżu przyjęcia – wielką fontannę po przeciwnej stronie podwórza. Z tego miejsca mogą zajrzeć przez wysokie okna sali balowej, w której trwa wesele Zooey.

– Nie jesteśmy dostatecznie blisko – marudzi Liz. – Gdyby zależało mi wyłącznie na patrzeniu, mogliśmy po prostu pójść na TW.

– Nic się nie martw. Znajdziemy lepsze miejsce, z którego będziesz mogła wygłosić swój toast – uspokaja ją Owen.

Zaglądając przez okno na końcu podwórza, Liz obserwuje przyjęcie weselne. Jest podobne do tych, które widziała wcześniej: obfitość żółtych róż, różowe sukienki druhen, śpiewak z malującym się na twarzy znudzeniem, Zooey w kremowej sukni o kroju litery A, pan młody w szarym fraku z wyłogami. Liz dostrzega w tłumie mamę i tatę Zooey, a za nimi własnych rodziców.

– Spójrz, Owenie, to moi rodzice. Tata się postarzał, a mama zmieniła fryzurę – zauważa Liz. – Cześć, mamo! Cześć, tato! – Macha do nich. – O, a tam stoi mój brat! Cześć, Alvy!

– Która z dziewcząt to Zooey? – pyta Owen.

– Pff! – prycha Liz. – Oczywiście ta w ślubnej sukni.

– No tak.

Liz przewraca oczami.

– Im jesteś młodszy, tym głupszy, O – mówi, spoglądając na Zooey, dorosłą kobietę.

Jakie to dziwne – myśli – *że ja mam dziewięć, a ona dwadzieścia jeden lat.*

– Powinniśmy poszukać miejsca, z którego będziesz mogła wygłosić toast – odzywa się Owen. – Zostało nam jakieś dwadzieścia pięć minut.

Najpierw próbują z kranem w toalecie.

– GRATULACJE, ZOOEY! MÓWI ELIZABETH MARIE HALL! – krzyczy Liz, ale łazienka znajduje się zbyt daleko od sali balowej i nikt jej nie słyszy. – Może zaczekam, aż Zooey tutaj przyjdzie? – radzi się Owena. – Wtedy będę miała szansę z nią porozmawiać.

– Nie mamy tyle czasu. Poza tym panny młode zawsze skarżą się, że nie mają chwili, by coś zjeść lub pójść do toalety. Spróbujmy z kuchnią – proponuje Owen.

Chociaż to pomieszczenie znajduje się bliżej sali balowej, panuje w nim straszny hałas, wszędzie rozbrzmiewają rozmowy pracowników, szcęk talerzy, dzwonienie minutników i inne kuchenne odgłosy.

– KOCHAM CIĘ, ZOOEY! GRATULACJE DLA CIEBIE I PAULA! – krzyczy ponownie Liz, tym razem z kuchennego zlewu.

Pomocnik kelnera z wrzaskiem wypuszcza z rąk pełną brudnych talerzy tacę.

– PRZEPRASZAM – dodaje Liz. – To bez sensu – zwraca się do Owena. – Udało mi się tylko przestraszyć kelnera. Musimy znaleźć jakieś lepsze miejsce.

W przypływie desperacji Liz proponuje samowar, lecz Owen, który lepiej zna się na tych sprawach, odwołuje ją od tego pomysłu. Tłumaczy, że źródło wody powinno być podłączone do kanalizacji. Mimo ostrzeżeń Owena Liz próbuje szczęścia z czajniczką do kawy, ale jej

starania spełzają na niczym. (Nawet ją to cieszy – czułaby się jak kompletna idiotka, wygłaszając toast z czajniczka do kawy.)

– Wróćmy do fontanny – mówi zrezygnowana. – Może jeśli oboje zaczniemy krzyczeć, to w końcu nas usłyszą.

– GRATULACJE! GRATULACJE! GRATULACJE! – Z fontanny wydobywa się krzyk Liz i Owena.

Zdzierają sobie gardła przez kolejnych kilka minut, ale ich głosy nie mają szansy przedrzeć się przez szum fontanny i ścianę budynku.

– Cóż – wzdycha Liz – przynajmniej zobaczyłam Zooey w sukni ślubnej. Chyba moglibyśmy zrobić to samo z TW.

– Ale wtedy nie byłoby tak zabawnie – zauważa Owen.

– Wracamy? – pyta Liz.

– Nie, równie dobrze możemy poczekać tutaj. Łódź i tak przyplynie do nas dopiero za dziesięć minut.

Czekając, Liz przygląda się przyjęciu weselnemu przez szybę sali balowej. Z pozycji fontanny obserwuje taniec swoich rodziców.

– Twoja mama wygląda zupełnie jak ty – mówi Owen.

– Ma ciemniejsze włosy. Właściwie bardziej przypomina Alvy’ego niż... – urywa, rejestrując kątem oka, jak Alvy opuszcza budynek bocznymi drzwiami i zbliża się do fontanny.

– Liz? – odzywa się Owen.

– Mój brat chyba tu idzie.

Alvy podchodzi do fontanny i zagląda do wody. Liz wstrzymuje oddech.

– Lizzie – szepcze Alvy w stronę tafli.

– Pamiętaj, żeby nie krzyczeć – upomina ją Owen.

– To ja – mówi Liz przyciszonym głosem.

– Wydawało mi się, że słyszę twój głos – mówi Alvy. – Na początku myślałem, że dobiega z łazienki, potem z kuchni i wreszcie stąd.

Oczy Liz zachodzą łzami. Stary dobry Alvy.

– Alvy, tak dobrze móc z tobą porozmawiać.

– Pójdę po Zooey! Jesteś tu, żeby jej pogratulować, tak? Zawołam też mamę i tatę. Na pewno będą chcieli z tobą porozmawiać.

Owen kręci głową.

– Chłopcy będą tu za pięć minut.

– Nie ma na to czasu, Alvy – oznajmia Liz. – Po prostu powiedz Zooey i rodzicom, że ich kocham. Oczywiście postaraj się zrobić to tak, żeby ich nie przestraszyć.

– Pobiegnę po nich naprawdę szybko! Zaraz będziemy tu z powrotem.

– Nie! – woła Liz. – Kiedy przyjdziecie, może mnie tu już nie być. Porozmawiajmy sobie przez chwilę we dwójkę. Niedługo będę musiała wracać.

– OK – zgadza się Alvy.

– Jak ci się podoba w ósmej klasie? – pyta Liz.

– Właściwie jestem już w dziewiątej. Przeskoczyłem ósmą.

– Alvy, to cudownie! Zawsze byłeś taki mądry. No więc jak ci się podoba w dziewiątej klasie?

– Jest w porządku – odpowiada Alvy. – W tym roku biorę udział w konkursie debat, co jest o wiele fajniejsze niż gra w orkiestrze, którą zajmowałem się rok temu. Boże, Lizzie, tak naprawdę nie chce ci się o tym wszystkim słuchać, co?

– Nieprawda. Bardzo mi się chce.

Alvy kręci głową.

– Myślę o tobie, wiesz?

– Ja też o tobie myślę.

– Czy tam, gdzie teraz mieszkasz, jest OK?

– Jest inaczej.

– To znaczy jak?

– Jest... – Liz zawiesza głos. – Trudno to wytłumaczyć. Nie jest tak, jak myślisz, ale całkiem w porządku. U mnie wszystko dobrze, Alvy.

– Jesteś szczęśliwa?

Po raz drugi od przyjazdu Gdzie Indziej Liz milknie i zastanawia się, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Jestem – mówi. – Mam wielu przyjaciół i psa Sadie. Mieszkam z Betty, naszą babcią, tą, która umarła. Na pewno bardzo byś ją polubił. Macie podobne poczucie humoru. Ciągłe za wami tęsknię. Boże, Alvy, chciałabym z tobą porozmawiać o tylu rzeczach!

– Wiem! Tyle chciałbym ci powiedzieć i o wiele rzeczy zapytać, ale nie mogę sobie ich teraz przypomnieć.

– Przepraszam za tamtą sytuację ze swetrem.

– A ty ciągle się tym gryziesz? – wzrusza ramionami Alvy. – Nie warto. Wszystko się wyjaśniło.

– Przepraszam, jeśli miałeś przeze mnie kłopoty.

– Proszę cię! Po tym jak umarłaś, mama i tata byli kompletnie do niczego. Wpadali w szal z byle powodu. Jestem pewien, że sweter pomógł tacie dojść do siebie.

– W takim razie przykro mi, jeśli było ci ciężko z mojego powodu.

– Lizzie, było mi ciężko tylko z jednego powodu – z tęsknoty za siostrą.

– Masz takie dobre serduszko. Wiesz o tym? Zawsze byłeś najfajniejszym dzieciakiem pod słońcem. Jeśli kiedykolwiek się na ciebie złościłam lub dawałam ci w kość, to wyłącznie dlatego, że byłeś ode mnie dużo młodszy, a ja przyzwyczyłam się do roli jedynaczki.

– Wiem o tym, Lizzie, i też cię kocham.

Owen słyszy odgłos sunącej w ich stronę sieci, szepcze więc do Liz:

– Będą tu lada chwila.

– Kto jest z tobą? – pyta Alvy.

– To Owen, mój... chłopak – kończy po chwili.

Alvy kiwa głową.

– Fajnie.

– Miło mi cię poznać, Alvy – wtrąca Owen.

– Poznaliśmy się wcześniej, prawda? Twój głos brzmi znajomo. To ty wskazałeś mi właściwą szafę – mówi Alvy.

– Mhm – odpowiada Owen. – To byłem ja.

– A tak przy okazji, Alvy – odzywa się Liz – jak to się stało, że mnie dzisiaj usłyszałeś?

– Zawsze przysłuchuję się szumowi wody. Zacząłem to robić, kiedy byłem mały – wyjaśnia Alvy. – Nigdy nie straciłem nadziei, że jeszcze kiedyś cię usłyszę.

W tej samej chwili Liz czuje znajome szarpnięcie sieci i zaczyna się oddalać od Studni razem z Owenem. Z jej gardła wrywa się westchnienie. Inaczej wyobrażała sobie to wesele. Z drugiej strony, czy cokolwiek w naszym życiu przebiega zgodnie z naszymi wyobrażeniami?

– Twój brat to naprawdę fajny dzieciak – zauważa Owen w drodze powrotnej.

– To prawda – przyznaje Liz. – W gruncie rzeczy to było całkiem udane wesele, nie sądzisz?

– Rzeczywiście, było – przyznaje Owen.
– A Zooney wyglądała prześlicznie – dodaje Liz.
Owen wzrusza ramionami.
– Nie miałem okazji dobrze się jej przyjrzeć. Wszystkie panny młode wyglądają podobnie.
Liz zaczepia palce o oczka sieci.
– Czasami żałuję, że nigdy nie założę białej sukni.
– Przecież masz białą suknię, Liz – mówi Owen – chociaż rzeczywiście bardziej przypomina ona piżamę.
– Wiesz, co miałam na myśli: suknię ślubną.
Sieć znajduje się coraz bliżej powierzchni. W chwili gdy ma ich uderzyć fala zimnego nocnego powietrza, Owen zwraca się do Liz:
– Ożenię się z tobą, jeśli chcesz.
– Jestem już na to za młoda – odpowiada dziewczynka.
– Ożeniłbym się z tobą wcześniej, ale nie chciałaś.
– Wcześniej też byłam za młoda i nie znaliśmy się dość dobrze.
– Aha.
– Poza tym – kontynuuje Liz – nie miałyby to większego sensu. Ty już miałeś żonę, a nasz układ był jasny od samego początku.
– Aha – powtarza Owen. – Ale w innym wypadku ożeniłbym się z tobą, wiesz o tym?
– Wiem – odpowiada Liz – i świadomość tego jest prawie tak samo dobra jak ślub. – Sieć zostaje wyciągnięta na powierzchnię, a oni opuszczeni na dno holownika.
– Hej, szefie – detektyw z biura śledczego zwraca się do Owena – chce pan sam pokierować łodzią?
Owen spogląda na Liz.
– Nie krępuj się – mówi dziewczynka. – I tak jestem śpiąca – dodaje, ziewając. *To był dzień pełen wrażeń* – myśli, podchodząc do sterty płaszczy przeciwdeszczowych, i kładzie się na niej.
Owen obserwuje, jak Liz przykrywa się jednym z płaszczy i postanawia ją poinformować o tym, że chce się z nią ożenić jutro, w przyszły weekend lub w dowolny dzień, możliwie szybko.
– Liz! – woła, ale na łodzi panuje zbyt duży hałas. Liz go nie słyszy i nigdy więcej nie wracają już do tego tematu.

W następny poniedziałek Curtis Jest odwiedza Liz w Sekcji Zwierząt Domowych. Nieczęsto zdarza mu się przychodzić do jej pracy, lecz Liz powstrzymuje się od komentarza.

– Jak się udało wesele? – pyta Curtis.
– Było dość typowo – odpowiada Liz – ale bardzo mi się podobało. Miło jest zobaczyć dawno niewidzianych bliskich.

Curtis kiwa głową.
– Ale przecież wszystkie wesela sprowadzają się do jednego, mam rację? Kwiatów, fraków, białych sukienek, ciasta i kawy – dodaje Liz ze śmiechem. – Nie wiadomo, o co to całe zamieszanie.

Curtis ponownie kiwa głową. Liz przygląda mu się i zauważa, że twarz jej przyjaciela jest wyjątkowo blada.

– Co się stało, Curtisie?

Mężczyzna bierze głęboki oddech. Liz nigdy nie widziała go tak zdenerwowanego.

– O to właśnie chodzi, Lizzie. Nie wiadomo, dopóki nie chodzi o twoje własne wesele.

- Nie bardzo rozumiem.
- Przyszedłem tutaj... – odchrząkuje – przyszedłem tutaj, żeby poprosić cię o zgodę...
- Zgodę na co?
- Nie przerywaj, Liz! I bez tego jest mi wystarczająco trudno – mówi Curtis. –

Przyszedłem tutaj, żeby poprosić cię o zgodę na mój ślub z Betty.

- Chcesz poślubić Betty? Moją Betty? – jąka się Liz.

– Jak wiesz, spotykam się z nią już od pięciu lat i ostatnimi czasy nabrałem głębokiego przekonania, że muszę zostać jej mężem – wyjaśnia Curtis. – Jesteś jej najbliższą krewną, więc przychodzę do ciebie jako pierwszej.

Li zarzuca ramiona wokół szyi Curtisa.

- Dobry Boże, Curtisie! Moje gratulacje!
- Betty nie powiedziała jeszcze *tak* – zauważa Jest.
- Myślisz, że się zgodzi?

– Pozostaje nam mieć taką nadzieję, moja droga. Pozostaje nam mieć nadzieję. – Curtis zaciska kciuki i nie wypuszcza ich aż do chwili, gdy blisko dwa dni później Betty przyjmuje jego oświadczenia.

Ślub zostaje zaplanowany na ostatni weekend sierpnia, dwa tygodnie po dniu, który mógłby być dniem dwudziestych drugich urodzin Liz. Betty prosi ją, by została jej starszą drużną. Thandi przypada rola młodszej drużny i dziewczynki ubierają się w podobne sukienki ze złocistego jedwabiu, uszyte przez pannę młodą.

Ceremonia odbywa się w ogrodzie Betty, na której prośbę ani jednemu kwiatowi nie dzieje się przy tej okazji krzywda.

Betty płacze, Curtis płacze, Owen płacze, Thandi płacze, Sadie płacze, Jen płacze i Aldous Ghent też. Tylko Liz nie roni ani jednej łzy – jest na to zbyt szczęśliwa. Dwie osoby, które lubi najbardziej na świecie, biorą ślub, a taka okazja nie zdarza się codziennie.

Na zakończenie ceremonii Curtis śpiewa piosenkę, którą napisał dla Betty podczas rekonwalescencji Liz.

Liz podchodzi do Thandi, która właśnie pochłania ogromną porcję weselnego tortu.

– Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, pomyślałam, że wyglądasz jak królowa – mówi Liz.

- A jednak nie powstrzymało cię to od obudzenia mnie – zauważa Thandi.
- Pamiętasz to? – dziwi się Liz. – Przecież byłaś wtedy półprzytomna.
- Niewiele rzeczy zapominam, Liz. Mam doskonałą pamięć. – Thandi uśmiecha się, prezentując szparę po dwóch przednich zębach.
- Co się stało z twoimi zębami?

Thandi wzrusza ramionami.

- Wypadły. Nie robimy się coraz starsze, przecież wiesz.
- Czy dziewięć lat to nie za wcześnie, by tracić stałe zęby?
- Za pierwszym razem późno zaczęły się wyrzynać – wyjaśnia Thandi.

Liz kiwa głową.

- Dziwnie jest się stawać coraz młodszym, prawda?
- Nie bardzo. To tak jakby wszystkie istotne sprawy przestawały się liczyć, jedna po drugiej. Podobnie jak u węża, który zrzuca z siebie skórę. – Thandi bierze kolejny kęs ciasta. – Tak naprawdę to starość jest ciężka. Ja z każdym dniem czuję się lżejsza. Niekiedy mam wrażenie, że mogłabym odlecieć.

– Nie wydaje ci się czasem, że śnisz? – pyta Liz.

– No nie! – kręci głową Thandi. – Czyżbyśmy wróciły do punktu wyjścia?

Liz wybucha śmiechem. Curtis Jest zaczyna śpiewać starą piosenkę kapeli Machine.

– Uwielbiam ją – mówi Liz. – Poproszę Owena do tańca.

– Zrób to, lunatyczko. – Thandi uśmiecha się i wraca do pałaszowania tortu.

Liz szybko odnajduje Owena.

– Szukałem cię – mówi.

– Zatańczmy – proponuje Liz, ciągnąc Owena na prowizoryczny parkiet pośrodku ogrodu

Betty.

Owen i Liz tańczą. Betty obserwuje ich z oddali, unosząc w górę kieliszek z szampanem.

– Mazal Tow⁴ – woła do niej Liz.

– Ślicznie dziś wyglądasz – szepcze jej do ucha Owen. – Podoba mi się twój strój.

Liz wzrusza ramionami.

– To tylko sukienka.

– A jednak pasuje ci zdecydowanie bardziej niż pianka do nurkowania.

Liz wybucha śmiechem, przymyka oczy, wsłuchuje się w dźwięki muzyki i rozkoszuje słodkimi, płynącymi z ogrodu Betty zapachami. Powiew chłodnego, przeganiającego lato wiatru targa suknią Liz, przyklejając materiał do jej nóg.

Czy mi się to podoba, czy nie, tak właśnie wygląda moje życie – myśli.

To moje życie.

Moje życie.

Zmiana

W roku, w którym Liz kończy osiem lat, Sadie staje się szczeniakiem.

W ciągu pozostałych do Uwolnienia miesiący Sadie maleje, jej futro staje się bardziej miękkie, oddech słodszy, a oczy mocno błyszczące. Odzywa się coraz mniej, aż wreszcie całkowicie traci zdolność mowy. Przed utratą zębów gryzie kilka książek należących do Liz. Chociaż większość czasu upływa Sadie na drzemkach w ogrodzie Betty, miewa dziwne ataki szaleńczej aktywności, kiedy jedyne, na co ma ochotę, to figle z Paco i Jen. Oba starsze od niej psy przyjmują te szczenięce wybuchy ze stoickim spokojem.

W ciągu pozostałych do Uwolnienia tygodni Sadie kurczy się tak bardzo, że trudno stwierdzić, czy w ogóle jest szczeniakiem. Równie dobrze mogłaby być wyrosniętą myszą. Powieki Sadie szczelnie się zamykają i Liz musi ją karmić maleńkimi kroplami mleka wprost z małego palca. Psiak w dalszym ciągu zdaje się reagować na swoje imię, słysząc je z ust swojej pani.

O poranku w dniu Uwolnienia, Liz i Owen odwożą Sadie na brzeg Rzeki. To pierwsze Uwolnienie, w którym Liz bierze udział od czasu własnej nieudanej próby sprzed sześciu lat.

O wschodzie słońca zaczyna dąć wiatr. Prąd znosi niemowlęta coraz szybciej w dół Rzeki, z powrotem na Ziemię. Liz obserwuje oddalającą się Sadie tak długo, jak tylko się da. Sadie zamienia się w kropkę, później w maleńki punkcik i wreszcie znika.

W drodze powrotnej do domu Owen zauważa, że Liz jest zadziwiająco milcząca.

– Smutno ci z powodu Sadie? – zgaduje.

Liz kręci głową. Nie płakała i nie czuje się szczególnie smutna. Nie żeby przepelniała ją radość. Prawdę mówiąc, niewiele czuje, nie licząc ucisku w brzuchu, jakby jej żołądek usiłował zacisnąć się w pięść.

– Nie – odpowiada. – Właściwie to nie jestem smutna.

– W takim razie o co chodzi? – dopytuje Owen.

– Nie odczuwam smutku, ponieważ od jakiegoś czasu Sadie nie była sobą i wiedziałam, że wcześniej czy później musi to nastąpić. – Liz milknie na chwilę, usiłując znaleźć właściwe słowa dla opisanego swych uczuć. – Chyba przepelnia mnie mieszanka strachu, szczęścia i podekscytowania.

– Aż tyle emocji naraz? – dziwi się Owen.

– Tak. Jestem szczęśliwa i podekscytowana, bo miło jest pomyśleć o tym, że mam swojego przyjaciela gdzieś na Ziemi. Podoba mi się myśl o psie, który będzie się wabił inaczej, a mimo to pozostanie moją Sadie.

– Wspomniałaś też o strachu.

– Martwię się o to, jacy ludzie będą się nią opiekować na Ziemi. Mam nadzieję, że jej nie skrzywdzą, potraktują ją życzliwie i z czułością, będą szcnotkować jej sierść i dawać jej coś innego niż suchy pokarm, bo Sadie szybko się nudzi, gdy karmi się ją w kółko tym samym. – Liz wzdycha. – Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, bycie dzieckiem jest strasznie niebezpieczne. Tyle rzeczy może pójść nie tak.

Owen czule całuje czoło Liz.

– Nic jej nie będzie.

– Nie możesz tego wiedzieć! – protestuje Liz. – Sadie może trafić do ludzi, którzy będą ją całymi dniami trzymać w zamknięciu lub gasić papierosy o jej grzbiet. – Na samą myśl o tym jej oczy napełniają się łzami.

– Wiem, że Sadie nic nie będzie – powtarza spokojnie Owen.

– Ale skąd ta pewność?

– Głęboko wierzę w to, że tak właśnie się stanie.

Liz przewraca oczami.

– Potrafisz być taki naiwny, Owenie.

Jej słowa ranią uczucia chłopca, który przez resztę drogi do domu milczy.

Tego samego wieczoru Liz płacze z żalu za Sadie. Jej łkanie jest tak głośne, że wyrywa Betty ze snu.

– Och, skarbie – mówi babcia. – Kupimy ci nowego psa, jeśli chcesz. Wiem, że to już nie będzie Sadie, ale...

– Nie – odpowiada Liz przez łzy. – Nie mogę. Po prostu nie mogę tego zrobić.

– Jesteś pewna?

– Nigdy więcej nie będę miała psa – oświadcza twardo Liz. – I proszę, żebyśmy nigdy, przenigdy nie wracały do tego tematu.

Miesiąc później Liz zmienia zdanie, kiedy Gdzie Indziej zjawia się podstarzały mops imieniem Lucy. Lucy odeszła w wieku trzynastu lat we śnie, w dawnym pokoju Liz. (Przedmioty należące do dziewczynki zostały spakowane do pudeł wiele lat temu, lecz Lucy nigdy nie przestała w nim sypiać.)

Liz stoi na brzegu i obserwuje, jak lekko artretyczna, posiwiała na pyszczku Lucy chwiejnym krokiem schodzi po trapie, zbliża się do niej, trzykrotnie macha luźno zakręconym ogonem, przekrzywia głowę i mruży wybałuszone brązowe oczy, przyglądając się swojej pani.

– Gdzieś ty była? – pyta Lucy.

– Umarłam – wyjaśnia jej w psim języku Liz.

– No tak, starałam się o tym zbyt często nie myśleć. Udawałam, że wyjechałaś trochę wcześniej do college'u i rzadko nas odwiedzasz. – Lucy kiwa swoim słodkim pomarszczonym łebkiem. – Bardzo za tobą tęskniliśmy, wiesz? Alvy, Olivia, Arthur i ja.

– Ja też za wami tęskniłam. – Liz podnosi Lucy z ziemi i trzyma małego, ale ciężkiego kanapowca w ramionach. – Przytyłaś – droczy się z psem.

– Może kilogram czy dwa, góra trzy – odpowiada Lucy. – Osobiście uważam, że z odrobiną ciała mi do twarzy.

– *Multum in parvo* – żartuje Liz, co po łacinie znaczy: 'wiele w małym'. Jest to motto życiowe jej mopsa i ulubiony dowcip w ich rodzinie, ze względu na tendencję Lucy do tycia.

– Liz – zwraca się do niej Lucy, spoglądając w chmury. – Czy to jest właśnie *tam na górze*? Czy to jest... Niebo?

– Nie wiem – odpowiada Liz.

– Ale nie jesteście też chyba *tam na dole*, co?

– Nie wydaję mi się – odpowiada ze śmiechem Liz.

Pies ostrożnie zaczyna węszyć.

– Trzeba przyznać, że pachnie tu podobnie jak na Ziemi – zauważa. – Tylko powietrze jest bardziej słone. Dobrze, że nauczyłaś się wreszcie porządnie mówić – szepcze do ucha Liz. – Mam ci tyle do powiedzenia.

– Nie mogę się już doczekać – odpowiada z uśmiechem Liz.

– Ale najpierw coś zjemy i utniemy sobie drzemkę. Później się wykapiemy i zdrzemniemy. Następnie przekąsimy to i owo i może przespacerujemy jeszcze kawałeczek. A później zdecydowanie wrzucimy coś na ruszt.

Liz odkłada suczkę na ziemię i ruszają w drogę do domu pośród radosnego poszczekiwania Lucy.

Amadou

W dniu, w którym Liz kończy pracę w Sekcji Zwierząt Domowych i przechodzi na emeryturę, do jej biura zagląda pewien człowiek. Chociaż zna go bardzo dobrze, jest to ich pierwsze spotkanie. Na żywo mężczyzna wygląda inaczej niż przez lornetkę. Jego oczy są łagodniejsze, a zmarszczki między brwiami lepiej widoczne.

– Nazywam się Amadou Bonamy – oznajmia z lekkim francusko-haitańskim akcentem.

Liz bierze głęboki wdech, po czym odpowiada:

– Wiem, kim pan jest.

Amadou zauważa balony z imprezy pożegnalnej Liz.

– Świątujesz coś. Przyjdę później – mówi.

– Przyjęcie odbyło się z okazji mojego przejścia na emeryturę. Jeśli przyjdzie pan później, już mnie tu nie będzie. Zapraszam.

Amadou przytakuje.

– Niedawno zmarłem na raka. Raka płuc. Nie paliłem, ale mój ojciec – tak.

Liz odpowiada skinieniem głowy.

– Nie prowadziłem taksówki od wielu lat. Skończyłem studia wieczorowe i zostałem nauczycielem.

Liz ponownie przytakuje.

– Przez te wszystkie lata dręczyły mnie wyrzuty sumienia, jakich nie potrafisz sobie wyobrazić. Potrąciłem cię i odjechałem.

– Zadzwoił pan z budki telefonicznej po karetkę, prawda? – pyta Liz.

Amadou kiwa głową ze wzrokiem utkwionym w czubki butów.

– Myślałam o tym częściej niż inni, jak sądzę, i doszłam do wniosku, że nawet gdyby się pan zatrzymał, to i tak niczego by to nie zmieniło – mówi Liz, kładąc dłoń na ramieniu Amadou.

W jego oczach pojawiają się łzy.

– Ciągle żałowałem, że mnie nie złapali.

– To nie była pańska wina – zauważa Liz. – Nie spojrzałam w obie strony, zanim przeszłam przez ulicę.

– Czy twoje życie tutaj było bardzo złe? Odpowiedz mi szczerze.

Liz przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią.

– Nie. Właściwie było dobre.

– Ale tęskniłaś za wieloma rzeczami?

– Teraz patrzę na to w ten sposób: i tak żyłabym albo tu, albo gdzie indziej – odpowiada Liz.

– Czy to żart? – pyta Amadou.

– Jeśli był zabawny, to tak – uśmiecha się Liz. – Amadou, muszę o to zapytać: dlaczego się pan wtedy nie zatrzymał? Zawsze chciałam się tego dowiedzieć.

– To żadne usprawiedliwienie, ale mój synek poważnie zachorował. Rachunki za leczenie były kosmiczne. Gdybym stracił taksówkę albo twoi rodzice zażądałyby ode mnie odszkodowania, to nie wiem, co stałoby się ze mną i moją rodziną. Byłem zdesperowany. Oczywiście to mnie nie tłumaczy. – Amadou potrząsa głową. – Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

– Wybaczyłam panu dawno temu – odpowiada Liz.

– Ale byłaś taka młoda. Ukradłem ci tyle lat życia.

– Życia nie mierzy się w godzinach i minutach. Liczy się nie ilość, lecz jakość. Wziąwszy wszystko pod uwagę, miałam więcej szczęścia niż wielu ludzi. Przeżyłam prawie szesnaście dobrych lat na Ziemi, osiem tutaj, a czeka mnie niemal osiem kolejnych, zanim mój czas Gdzie Indziej się skończy.

– Masz teraz siedem lat? Wydajesz się bardzo dojrzała.

– Właściwie to mam siedem-osiem lat, a to coś innego niż zwykle siedem. Na Ziemi miałabym teraz dwadzieścia cztery lata. Czasami rzeczywiście czuję, że staję się coraz młodsza.

– Jakie to uczucie? – pyta Amadou.

Liz zastanawia się przez chwilę.

– Jak zapadanie w sen w jednej minucie i budzenie się w następnej. Czasami zapominam różne rzeczy, a kiedy indziej boję się, że o czymś zapomnę – śmieje się. – Pamiętam, kiedy po raz pierwszy poczułam się naprawdę młodo. To był dzień dwunastych urodzin mojego braciszka Alvy'ego. W tamtym roku skończyłam jedenaście lat.

– To musi być dziwne – zauważa Amadou. – Całe to młodnienie.

Liz wzrusza ramionami.

– Nie jestem pewna, czy różnica między starzeniem się a młodnieniem jest tak duża, jak mi się kiedyś wydawało. Chce pan balonik dla syna?

– Dziękuję – mówi Amadou, wybierając czerwony balon z różnobarwnego pęku przy biurku Liz. – Skąd wiedziałas, że mój syn jest tutaj? – pyta.

– Obserwowałam pana co jakiś czas od wielu lat – przyznaje Liz – i wiem, że to dobry chłopiec, tak samo, jak pan jest dobrym człowiekiem.

Dzieciństwo

Owen ma sześć lat, a Liz cztery.

Przy ładnej pogodzie spędzają popołudnia w ogrodzie Betty. On ma na głowie papierową koronę, a ona ubrana jest w różowy kostium baletnicy.

Ostatniego dnia spośród czternastu bardzo dobrych Liz kładzie Owenowi na kolanach wysłużony egzemplarz *Źródła młodości*.

– A to co? – pyta chłopiec.

– Bajeczka? – Liz uśmiecha się słodko, odsłaniając nowiutkie mleczne zęby.

– Nie chcę czytać twojej głupiej dziewczyńskiej książki – mówi Owen. – Sama sobie czytaj.

Liz postanawia posłuchać rady Owena. Bierze książkę i kładzie ją przed sobą. Nagle dzieje się coś dziwnego. Liz nie może zrozumieć ani słowa. *Może mam coś z oczami* – myśli. Mruży je, wlepiając wzrok w tekst, lecz i to nie pomaga.

– Owenie – mówi – z tą książką jest coś nie tak.

– Pokaż. – Owen otwiera ją, uważnie ogląda i oddaje Liz. – Wszystko z nią w porządku – oświadcza.

Liz przysuwa tekst do oczu tak blisko, jak tylko się da, odsuwa od siebie książkę na długość ramienia, a później wybucha śmiechem, chociaż nie bardzo wie, dlaczego. Wreszcie podaje ją Owenowi.

– Ty to zrób – rozkazuje.

– Och, niech ci będzie – mówi Owen. – Czasami jesteś straszną nudziarą, Liz. – Wyjmuje zakładkę i zaczyna czytać fragment *Źródła młodości* pozbawionym emocji głosem: – *Tata uważa, że to pozostałość pewnego planu – planu, według którego powinien funkcjonować świat – powiedział Jesse – i który się nie sprawdził, przez co wszystko wywróciło się do góry nogami. Wszystko poza wiosną, która, tak czy inaczej, się skończyła. Może i ma rację. Nie jestem tego pewien, ale musisz wiedzieć...*

– Owenie – przerywa mu Liz.

Owen odkłada książkę na bok, poirytowany.

– Co znowu? Nieładnie jest prosić kogoś, żeby ci czytał, a później mu przerywać.

– Owenie – ciągnie Liz – pamiętasz tamtą zabawę?

– Jaką zabawę?

– Byliśmy duzi. Ja byłam straaasznie duża, z dnia na dzień większa, a nasze buzie ciągle wyglądały tak. – Liz wykrzywia się niemiłosiernie i marszczy brwi. – Był też dom i szkoła, samochód, praca i pies! A ja byłam stara! Starsza niż ty! I wszystko było szuru-buru szybkie i trudne, bardzo trudne. – Liz ponownie wybucha śmiechem wibrującym jak dźwięk dzwoneczka.

Po chwili Owen odpowiada:

– Pamiętam.

– Zastanawiam się, co w tym było takiego... trudnego?

– To była tylko głupia zabawa, Liz.

– Rzeczywiście głupia – przyznaje dziewczynka. – Nie bawmy się w nią więcej.

Owen kiwa głową.

– Nie będziemy.

– Wydaje mi się... wydaje mi się, że chyba... umarłam. – Liz zaczyna płakać.

Owen nie może znieść widoku jej łez i bierze Liz w ramiona. Jest teraz taka drobna.

Kiedy to się stało? – zastanawia się.

– Nie bój się, Liz – mówi. – Pamiętaj, że to była tylko zabawa.

– No tak, zapomniałam.

– Czy mogę teraz dokończyć czytanie bajki? – pyta Owen, podnosząc książkę.

Liz kiwa głową, a Owen wraca do czytania.

– Ale musisz wiedzieć, Winnie Foster, że nie kłamałem, mówiąc ci, że mam sto cztery lata, chociaż tak naprawdę mam ich tylko siedemnaście, i o ile mi wiadomo, nigdy się to nie zmieni. –

Owen odkłada książkę. – To koniec rozdziału. Przeczytać ci następny?

– Tak, poproszę – mówi Liz, wsuwając z radością kciuk do buzi.

Owen wzdycha i ponownie zabiera się za czytanie.

– Winnie nie wierzyła w bajki. Nigdy nie marzyła jej się magiczna różdżka, nie spodziewała się, że poślubi księcia i – przez większość czasu – traktowała babciną wiarę w elfy z pogardą. Siedziała więc z szeroko otwartymi ustami i oczami, nie wiedząc, jak zareagować na tę niesamowitą opowieść, która nie mogła być przecież w najmniejszym stopniu prawdziwa...

Liz zamyka oczy i po krótkiej chwili zapada w słodki, beztroski sen.

Narodziny

W łagodny styczniowy poranek, tuż przed świtem, Betty przynosi Liz do pielęgniarki.
– Skądś panią kojarzę – mówi Dolly, ostrożnie odbierając niemowlę od Betty. – Czy my się znamy?

Betty kręci przecząco głową.

– Dziecko również wygląda znajomo. – Pielęgniarka uważnie przygląda się Liz. – Założę się, że wyglądała dokładnie tak jak pani.

– Tak – odpowiada Betty. – To prawda.

Dolly łaskocze Liz w szyję.

– Śliczne niemowlę – szczebiocze, po czym kładzie Liz na stole i zaczyna ją owijać bandażami.

– Bardzo panią proszę. – Betty kładzie rękę na dłoni pielęgniarki. – Nie tak ciasno.

– Bez obaw – odpowiada łagodnie Dolly. – Robiłam to już wcześniej.

W Uwolnieniu Liz uczestniczy dużo więcej osób niż za pierwszym razem. Poza Betty jest też Aldous Ghent, który wygląda prawie tak samo jak podczas pierwszego spotkania z Liz. Ma tylko więcej włosów. Shelly przyniosła w nosidełku Thandi, którą wkrótce czeka podobna podróż. Oczywiście Thandi ma teraz dużo mniej włosów. Curtis ubrał się w ciemny garnitur, chociaż obyczaj każe zakładać na tę okazję białe rzeczy. Jest też Owen w towarzystwie Emily Reilly (dawniej Welles), która od czasu do czasu spełnia rolę jego opiekunki. Dziewczyna usiłuje zainteresować Owena ceremonią, lecz ten woli się bawić plastikową łódką w kałuży.

– Nigdzie nie odchodź, O – mówi Emily, zanim dołącza do reszty osób, przyglądających się Uwolnieniu.

Owen nie patrzy, kiedy Liz zostaje umieszczona w Rzece razem z pozostałymi niemowlętami, które narodziły się tego dnia, ani wtedy, gdy pielęgniarka popycha Liz w stronę nurtu, z którym popłynie na Ziemię. Niewprawny obserwator mógłby pomyśleć, że jej odejście nie zrobiło na Owenie żadnego wrażenia.

Curtis Jest przygląda mu się przez chwilę, nim postanawia podejść do chłopca.

– Pamiętasz, kto to był, Owenie? – pyta.

Owen unosi wzrok znad plastikowej łódki. Odpowiedź na pytanie Curtisa sprawia mu wyraźną trudność.

– Lizzie?

– Tak – mówi Curtis. – To była Lizzie, moja przyjaciółka. Była również twoją... twoją przyjaciółką.

Owen nie przestaje bawić się łódką i zaczyna nucić pod nosem imię Liz w niewymuszony sposób, w jaki czasem robią to dzieci:

– Lizzie, Lizzie, Lizzie. – Nagle Owen przerywa i podnosi wzrok na Curtisa. Na jego twarzy maluje się wyraz przerażenia. – Czy ona... odeszła?

– Tak – odpowiada Curtis.

Owen kiwa głową.

– Odeszłaodeszłaodeszłaodeszła. – Owen wybucha rozpaczliwym płaczem, chociaż nie bardzo rozumie, dlaczego. Curtis bierze chłopca za rękę i odciąga go od kałuży.

– Wiesz – mówi – może pewnego dnia znowu ją spotkasz.

– Fajnie – odpowiada Owen i jak na komendę przestaje płakać.

Stojąca po przeciwnej stronie parkingu Betty klaszcze w dłonie i woła:
– Zapraszam wszystkich na cygaro i kieliszek szampana!

Na drzwiach domu Curtisa i Betty wisi biało-różowy transparent z napisem: „To dziewczynka!”. Curtis rozdaje gościom cygara przewiązane różową wstążeczką. Poza szampanem i ponczem można się poczęstować kawałkiem tortu z napisem: „Żyj nam sto lat, Liz!”.

Aldous Ghent wkłada do ust kęs ciasta i wybucha płaczem.

– Torty urodzinowe zawsze mnie przygnębiają – stwierdza.

Rozmowy milkną, kiedy Betty uderza łyżeczką o kieliszek z szampanem.

– Jeśli nie macie nic przeciwko, chciałabym powiedzieć kilka słów na temat Liz – mówi.

– Liz była moją wnuczką, lecz gdyby nie trafiła Gdzie Indziej, nigdy byśmy się nie poznały. Umarłam, zanim przysła na świat. Liz była moją wnuczką, ale też dobrą przyjaciółką. Kiedy się tu zjawiała, była dziewczynką, która wyrosła na wspaniałą kobietę. Lubiła się śmiać i kochała spędzać czas w towarzystwie swoich przyjaciół i psów. Gdyby nie pojawiła się w moim życiu, nigdy nie poznałabym swojego męża. – Betty chwyta Curtisa za rękę. – Gdzie Indziej mydlimy sobie oczy wiarą w to, że znamy swoją przyszłość tylko dlatego, że wiemy, ile czasu nam zostało. Mimo to nie mamy pojęcia, co nas spotka. Nie wiemy, co się stanie, lecz wierzę w to, że dobre rzeczy dzieją się każdego dnia, tak jak wierzę w to, że dobre rzeczy dzieją się nawet wtedy, gdy przytrafiają się nam rzeczy złe. Wiem też, że w tak szczęśliwy dzień jak dziś, mamy prawo czuć lekki smutek. Takie jest życie, czyż nie? – Betty unosi kieliszek. – Za Liz!

Co myśli Liz

Moje życie było całkiem przyjemne – myśli Liz. Chociaż nie pamięta szczegółów, czuje, że kiedyś przydarzyło jej się coś wspaniałego. Ma też dobre przeczucia co do przyszłości.

Patrząc na otaczające ją ze wszystkich stron dzieci, zauważa, że większość z nich ma zamknięte oczy. *Dlaczego?* – zastanawia się. *Czy nie wiedzą, że wokół jest tyle rzeczy godnych zauważenia?*

Kiedy Liz płynie w dół Rzeki i coraz bardziej oddala się od domu Gdzie Indziej, wiele myśli kołaczę się po jej głowie. Będąc dzieckiem na początku długiej podróży, ma się dużo czasu na rozmyślanie.

Życie przeżywane na odwrót jest równie dobre, jak to przeżywane w zwykły sposób – myśli Liz. Nauczyła się kochać swoje życie na opak. Nie zaznała przecież innego.

Na dodatek wcale nie czuje się smutna, będąc niemowlęciem. Najmądrzejsi ludzie doszli już do wniosku, że starzenie się nie jest niczym strasznym. Podejmowane na Ziemi próby zachowania wiecznej młodości przez dojrzałe osoby kończą się fiaskiem. Stawanie się coraz młodszym również nie powinno nikogo smucić. Kiedyś Liz bała się, że zapomni o wielu rzeczach, lecz zanim jej pamięć naprawdę zaczęła szwankować, zapomniała o strachu przed zapomnieniem. *Życie jest łaskawe* – myśli.

Niemowlęta są unoszone przez fale i kołysane przez nie do snu. Nie mija wiele czasu, zanim i to dziecko zapada w sen.

Śpi i śpi. A śpiąc, śni.

Śni o dziewczynce zagubionej na morzu, która pewnego dnia zostaje odnaleziona na brzegu.

Epilog: Początek

Dziecko – dziewczynka – rodzi się o 6:24.

Waży trzy kilo i dwieście gramów.

Matka bierze je w ramiona i pyta:

– A kim ty jesteś, mój maluszk?

Dziecko, które jest i jednocześnie nie jest Liz, odpowiada jej uśmiechem.

Podziękowania

Książka ta znalazła się w Waszych rękach dzięki dużej grupie niezwykle czarujących, miłych i uroczych osób. Chciałabym podziękować mojej redaktorce Janine O'Malley z wydawnictwa FSG, która jest nieomylna, niezmordowana i przezabawna, oraz moim agentom: Jonathanowi Pecarski'emu, zawsze szczeremu i pełnemu optymizmu, i niezłomnemu Andy'emu McNicolowi. Podziękowania należą się również mojej redaktorce z Bloomsbury Sarze Odedinie, której entuzjazm i wiara były słońcem dla *Gdzie Indziej*. Dziękuję Richardowi i AeRan Zevinom – to wielkie szczęście mieć rodziców, którzy są jednocześnie wytrawnymi czytelnikami, oraz mojemu mopsowi, Mrs. DeWinter (D-Dub), która każdego dnia usiłuje mnie nauczyć języka psów i udowadnia, że jestem opornym uczniem. Chciałabym podziękować również mojemu partnerowi od dziesięciu lat Hansowi Canosie, który czytał każdą wersję książki i zawsze we mnie wierzył.

Podziękowania należą się też Kerry Barden, Annie DeRoy, Tracy Fisher, Eugenie Furniss, Stuartowi Gelwargowi, Nancy Goldenberg, Shanie Kelly, Mary Lawless, Brianowi Steinbergowi oraz pracownikom William Morris, Bloomsbury, a szczególnie Farrar, Straus i Giroux.

Przypisy

[1] *Oh, well* (ang.) – ‘no cóż’ (przyp. red.).

[2] Angielskie słowo *well* można tłumaczyć na język polski m.in. jako ‘studnia’ (przyp.tłum.).

[3] W. Szekspir, *Sen nocy letniej*, akt 1, scena 1, tłum. Stanisław Koźmian.

[4] *Mazal Tow* w języku hebrajskim oznacza ‘szczęście’ lub ‘gratulacje’ (przyp. red.).

